



Kryminał z myszką

59

Zautki

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

ZAUŁKI

Kryminał z myszką – Tom 59

Wydawnictwo Estymator
www.estymator.net.pl
Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-62-1

Copyright © Christofer Klodzinski

Pierwsza publikacja: Ilustrowany Kurier Polski i
Kurier Polski (w odcinkach), rok 1964

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na
chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10

Rozdział 1

- No, przesuwa się pan, czy nie?

Głos był zaczepny, nerwowy. Niski, łysy pan w ciemnym płaszczu mimo woli obejrzał się. Napotkał niechętne spojrzenie i ruch ręki, jakby tamten chciał go popchnąć do przodu.

- Przesuńże się człowieku, jak pragnę zdrowia! Śpi pan w kolejce, czy co? Spać można w domu.

Niski jeszcze milczał. Posunął się trochę, choć miejsca było jak na wróbla. Ale tamten się rozgadał.

- Przyjdzie taki do baru, stanie i stoi. Z Grójca przyjechał. Tu nie Grójec, tu stolica. Kolejka idzie naprzód, a ten śpi.

- Cóżes się pan mnie uczepił jak pijany płotu? - niski nie wytrzymał. - Gdzie mam się posunąć? Na głowę tej pani wejść?

Pani z torbą wypchaną jabłkami westchnęła. Chciała coś powiedzieć, ale stała już przed kasą. Położyła drobne na ladzie. Kasjerka bez słowa

wydała kwitek na małą kawę, po czym spojrzała pytająco na niskiego pana. Nie chciało jej się mówić, była zmęczona.

- Dużą kawę proszę. I ptysia.

Inżynier Waligórski machinalnie krok za krokiem przesuwał się w kierunku kasy. Rozmowy, kłótnie, śmiech, szcęk łyżeczek, szum ekspresu, przewijały się dokoła niego nie przerywając toku myśli. Przywykł już tak od dawna odseparowywać się wewnątrz, nie brać udziału w żadnej dyskusji czy sporze - po prostu trwać w rzeczywistości, otulony całkowitą dla niej obojętnością, jak flanelową kołdrą.

Staął przed kasjerką, powiedział grzecznie: - Poproszę małą kawę - podał odliczone pieniądze. Wziął kwitek i przesunął się w stronę barmanki. Jego twarz o regularnych rysach i oczach pełnych interesującego zamyślenia, ściągała zwykle uwagę kobiet. Najczęściej było mu to obojętne, czasami korzystał z przelotnych znajomości. Był wówczas uprzejmy, w miarę wymagający, przeznaczając na to dokładnie odmierzoną ilość czasu, po czym spoglądał na zegarek i sięgał do portfela. Sprawy pieniężne nie sprawiały mu w ostatnich latach kłopotu.

- Proszę, kawa dla pana...

- Dziękuję.

Przeszedł w dalszy kąt baru, gdzie było mniej osób. Szatniarz przyjmował płaszcze od tych, którzy windą wjeżdżali do kawiarni na szóstym piętrze. Od Hożej ktoś z rozmachem otworzył drzwi, przebiegł oczami po obecnych i znikł. Powiało chłodem kwietniowego wieczoru.

- Proszę drzwi zamykać - mruknął szatniarz nie patrząc. Dawno już prosił kierowniczkę, aby jesienią wejście od Hożej zamknąć na amen albo przynajmniej powiesić pluszową kotarę. Zeszłej zimy wciąż chorował na gardło.

- Przepraszam!

Inżynier Waligórski skrzywił się lekko. Rozlana kawa prysnęła na rękaw jego płaszcza. Wyjął chusteczkę i zaczął ostrożnie ścierać.

- Może ja... Ale to lepiej gorącą wodą. Może ja przyniosę od tej... od tej pani, co robi kawę?

- Nie, dziękuję. Chyba nie będzie znać. Zresztą płaszcz i tak nadaje się do pralni, już dawno miałem oddać.

- Eee, po co tyle płacić? Jest jeszcze czysty.

Mimo woli uśmiechnął się. Dziewczyna stała przed nim z twarzą trochę przestraszoną, trzymając w ręku łyżeczkę umazaną kremem. Jej ruchy były stanowczo zbyt zamaszyste. Duże, ciemnoniebieskie

oczy patrzyły na niego z zaciekawieniem. Nieumalowane usta, prosty nos, bardzo puszyste, zupełnie nieuczesane włosy blond. „Nie więcej niż osiemnaście lat – pomyślał przelotnie. – Pewnie zdaje w tym roku maturę. W domu jest nieznośna, chodzi ukradkiem do »Hybryd«, w barze próbuje stawiać pierwsze kroki... Cielątko”.

Nie zdawał sobie sprawy, że sądzi ją swoistymi kategoriami. Nie znał zupełnie dzisiejszych „nastolatek”, pamiętał tamte, dawniejsze. Własna czterdziestka z hakiem nie nadawała się do żadnych porównań. Ta młodzież była zupełnie inna. I on, i jemu podobni osądzali ją według tego, co pisały o niej gazety. Nie zawsze był to sąd słuszny, poza tym zmieniał się radykalnie, zależnie od nastroju lub humoru piszącego.

- Pan jest lekarzem? - usłyszał ze zdumieniem.

- Lekarzem? Nie. Dlaczego? Wyglądam na lekarza?

- Tak. Coś takiego.

Roześmiał się. Przyjrzał się jej uważniej. Owszem, ładna dziewczyna. Gdyby ją uczesać, ubrać... Wyjął paczkę „Piastrów”.

- Zapali pani?

Zmieszała się lekko, co go rozbawiło. Teraz będzie udawać, że pali od dawna i świetnie to robi.

- Dziękuję. Nie umiem palić.

Zdziwił się. To było coś nowego.

- Za poplamiony płaszcz należy mi się jakaś nagroda - powiedział żartobliwie. - Proszę mi powiedzieć, jak pani na imię?

- Teresa. Po co to panu? I co to za nagroda?

- W takim razie wymyślę inną. Ale to wymaga czasu. Może wobec tego pozwoli się pani zaprosić na górę? - Wskazał oczami windę.

- Tam jest kawiarnia?

- Tak. Nazywa się ślicznie: „Pod gwiazdami”. Widzę z tego, że pani tam jeszcze nie była. A więc?

Zrobiła dwa kroki w stronę windy i nagle cofnęła się.

- No? - spojrzał pytająco. - Co się stało? Boi się pani windy?

- Też coś? - zaczerwieniła się. Poprawiła pasek na granatowym płaszczu z ortalionu. - Nie, dziś nie mogę.

Zastanawiał się przez chwilę. Nie chciał jej urazić.

- Tam nie potrzeba żadnych specjalnych toalet - rzucił lekko - może pani doskonale pójść nawet w

sweterku.

- Nie, dziś nie. Kiedy indziej. Jak pan chce rozmawiać, to możemy i tu.

- Na stojąco?

- Nogi pana bolą?

Znów się roześmiał. Odwykł od takiej rozmowy z kobietami. Wszystkie inne certowały się, próbowały go wziąć „na intelekt” i plotły głupstwa albo też udawały księżniczki, według swego o nich wyobrażenia.

- Proszę mi coś opowiedzieć o sobie - rzekł, zapalając papierosa. - Pewnie mam przed sobą przyszłą maturzystkę. Świadectwo dojrzałości w rękę, a potem wielka, całonocna zabawa. Zgadłem?

Patrzyła na niego bez uśmiechu. W tej twarzy było coś, czego nie rozumiał. Może boi się, że nie zda? Pewnie ma kłopoty z matematyką albo z fizyką.

- Zgadłem? - powtórzył. Podobała mu się coraz bardziej, ale chciał jakoś się upewnić, że nie ma do czynienia z nieletnią.

- Tak - odpowiedziała wreszcie. W zamyśleniu zlizywała z łyżeczki resztki kremu. - Zgadł pan. W czerwcu matura.

- A potem? Uniwersytet, czy też nie wybrała pani jeszcze kierunku studiów?

W kącikach jej warg błąkał się dziwny uśmieszek. Oczy pozostawały wciąż poważne, spojrzenie miała teraz jakieś twarde, chłodne.

- Nie wiem jeszcze - odparła swobodnie. - Mam czas na wybieranie.

- Pewnie rodzice zdecydują za panią. I sędzę, że będą mieli rację. Czy nie?

Pomyślał, że wyszło to jakoś bardzo moralizatorsko i skrzywił się. Nie tymi torami chciał prowadzić rozmowę.

- Rodzice? - odwróciła na sekundę głowę w stronę drzwi, jakby patrząc, kto wchodzi. - Oczywiście, to ich sprawa. Coś tam dla mnie chyba wymyślą. A pan? Co pan robi?

Pytanie było obcesowe, trudno było się wykręcić. Zawahał się. O sobie nie chciał w tej chwili mówić. Z drugiej strony jednak, jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli, to i tak się dowie. Choćby z tabliczki na drzwiach.

- Ja? No, cóż. Pracuję w fabryce.

Rzuciła krótkie, badawcze spojrzenie na jego rękę.

- Eee, gadanie. Chyba że w administracji.

Ze zdziwieniem stwierdził, że uraziło to jego zawodową ambicję. Do licha, nie powinien przecież

przejmować się tym, co gada głupiutka smarkata. A jednak sprostował:

- Nie. Jestem głównym inżynierem. I prowadzę najważniejszy wydział produkcji.

- Ach, tak? - Przysunęła się do niego trochę bliżej, w oczach jej błysnęło przelotne zainteresowanie. Zaraz potem spytała jednak obojętnie: - Która godzina?

- Dochodzi siódma. Chyba się pani nie śpieszy?

- Zaraz muszę iść. Siostra... - urwała. - Siostra prosiła, żebym jej pomogła w lekcjach.

- Siostrzyczka w której klasie?

Przez sekundę zdawało mu się, że dziewczyna wybuchnie śmiechem. Trwało to jednak tak krótko, że odrzucił tę myśl, jako niczym nieuzasadnioną.

- W ósmej. Ja już naprawdę muszę iść, proszę pana.

Ujął ją za rękę i głaskał, nieznacznie rozglądając się, czy ktoś nie widzi go w tej niepoważnej sytuacji.

- Powiedz, dziecino, kiedy się znowu spotkamy? Może jutro, o szóstej godzinie, tutaj. Dobrze?

Widział jej wahanie i zaczęło mu na niej naprawdę zależeć. Ta dziewczyna miała w sobie coś bardzo pociągającego. Pomyślał, że jeśli się zgodzi przyjść

do mieszkania, trzeba będzie kupić jej jakiś mały prezent. Nie pończochy, coś subtelniejszego. U „Jubitera” widział zupełnie ładną i niedrogą sztuczną biżuterię. Ładny wisiołek czy bransoletkę. Żeby tylko umiała zachowywać się rozsądnie.

Wyrwała mu rękę i wsunęła w kieszeń płaszcza.

- Ludzie patrzą - mruknęła zaczerwieniona. - Nie wiem, czy jutro będę mogła. Ale postaram się. Pan naprawdę jest inżynierem?

Nagle zrobiło mu się głupio. Mała ma pewnie rodziców, którzy uczą ją dobrego wychowania, a on zachowuje się jak cham. Nie, to przesada, ale w każdym razie ona dotąd nie wie z kim ma do czynienia. Wyprostował się, ujął ją za rękę, pocałował i powiedział:

- Bardzo panią przepraszam, że dotychczas się nie przedstawiłem. Nazywam się Jerzy Waligórski, magister inżynier z Zakładów Narzędzi Pomiarowych. Czy teraz pani się ze mną umówi?

- Dobrze, ja przyjdę.

- Bardzo mi na tym zależy, Teresko.

- Mnie też - odparła z tak wyraźną szczerością, że aż go to zaskoczyło. Patrzała na niego, jakby coś jeszcze chciała powiedzieć. Czekał, mile

podekscytowany. - No, to przyjdę - powtórzyła zdecydowanie.

- Do widzenia.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już jej nie było. Zmieszała się z tłumem gości barowych, mignął w drzwiach granatowy płaszcz, ale kiedy przecisnął się do wyjścia i stanął na chodniku, nie dojrzał jej nigdzie. Widocznie wskoczyła do tramwaju albo złapała taksówkę.

Wolnym spacerowym krokiem poszedł w stronę domu.

*

Kapitan Szczęsny poruszył się niecierpliwie i odgarnął z czoła jasne, prawie białe włosy. Przy tych włosach dziwnie odbijała jego śniada cera i czarne oczy, głęboko osadzone pod wąskimi brwiami.

Odsunął na bok zdjęcia, przedstawiające wnętrze jakiegoś mieszkania, w którym wszystkie rzeczy był powyrzucane na podłogę, meble porozsuwane na boki, a całość wyglądała jak po najeździe Tatarów.

- Oni przecież zawsze działają tą samą metodą - powiedział ze znużeniem w głosie.

- Oni? - spytał ze zdziwieniem sierżant Tuczyński, siedzący po drugiej stronie biurka. - Myślicie, kapitanie, że było ich kilku? Znaleźliśmy tylko jedno odciski linii papilarnych.

- No więc co? - rzucił Szczęsny zaczepnie. - Jeden z bandy zapomniał w domu rękawiczek.

- Obywatel kapitan żartuje - chłodno stwierdził podoficer. Był urażony.

- Wcale nie mam ochoty do żartów. Jest to już trzecia kradzież na dużą skalę w ciągu ostatnich miesięcy. Żadna z tych trzech nie została przez nas wykryta, nic, śladu po przestępcach, jak kamień w wodę. Po co my siedzimy w komendzie? Do diabła z taką robotą.

- Nie prowadziłem dochodzenia w tamtych kradzieżach. A ta była dopiero dziś w nocy.

- Dobra, w porządku... - Szczęsny wstał, przeciągnął się i swoim zwyczajem przysiadł na brzegu parapetu. - Kto to jest, ten cały właściciel lokalu?

- Adwokat. Nazywa się Kazimierz Bieliński, pracuje w szóstym zespole. Zamożny gość. Żonaty, jedna córka zamężna, nie mieszka z rodzicami, tylko u teściów.

- Pokłócili się?

- Nie wiem - odparł sierżant ostrożnie. Stanowczo kapitan za wiele żąda. Może jeszcze zapyta, w kim się kocha adwokatowa.

- Więc w domu jest mecenas, jego żona... co ona robi?

- Nic. Mają gosposię.

- Dwie kobiety i pan domu. Gosposia młoda? Ładna?

- A, taki stary grzyb. Wygląda pocziwie.

- To bardzo źle - rzekł Szczęsny surowo. - Ludzie, wyglądający pocziwie, zwykle mają coś na sumieniu. Więc mieszkają we trójkę. Kiedy nastąpiła kradzież?

- Komendę zawiadomiono, to znaczy, zawiadomił adwokat, o godzinie - Tuczyński zajrzał do notesu - dwanaście minut po pierwszej. Radiowóz był u nich... był u nich dwadzieścia po pierwszej.

- Ejże - mruknął Szczęsny z niedowierzaniem.

- Tak zapisał dyżurny. Ja tam pojechałem z ekipą zaraz po ósmej rano. Wróciliśmy pół godziny temu. Odbitki jeszcze wilgotne.

- Widzę. No i co?

- Gdyby ekipa pojechała w kilka minut po zawiadomieniu, na pewno by się znalazło to i owo. A

tak... Wprawdzie adwokat mówił, że nic nie ruszyli, położył się tylko spać, nie dotykając niczego, ale ja tam im nie wierzę. Albo to kto wytrzyma we własnym mieszkaniu, żeby czegoś nie dotknąć, nie przesunąć?

- Dlaczego dyżurny nie powyciągał was z łóżek?

- Coś tam mówił, że nie miał kogo posłać, a mój telefon jak raz nawalił. Stało się, kapitanie, trudno. Nie mogę nawet dyżurnego objechać, bo wyższy stopniem.

Szczęśny wybuchnął śmiechem.

- Ot, zmartwienie. Opowiadajcie dalej. Gdzie byli gospodarze w nocy?

- W „Grandzie”, na Kruczej. Obchodzili jakąś uroczystość rodzinną, byli w dużym towarzystwie.

- Czy ktoś mógł o tym wiedzieć przedtem?

- Tak, mecenas mówił, że stoliki zamówił tydzień naprzód.

- A gospoia? Też była w „Grandzie”?

Sierżant uśmiechnął się. Widać kapitanowi przeszło, Dzięki Bogu.

- Spała. Tak spała, że nie słyszała, jak wynieśli pół mieszkania.

- Cwaniaki. Muszą mieć jednak dużą wprawę. Co zabrali?

Podoficer sięgnął znów do notesu.

- Dwa sznurki pereł, prawdziwych...

- O imitacjach możecie nie czytać - przerwał Szczęsny.

- Jeden pierścionek z szafirem, praw... tego, męski pierścień z sygnetem, czterdzieści tysięcy i dwieście złotych polskich, cztery garnitury męskie, wełniane, futro z nurków damskie, dwa srebrne lisy razem spięte, jedenaście koszul męskich popelinowych i jedwabnych, bieliznę damską... adwokatowa nie pamięta ile tego było, mówi, że dużo. Zegarek - złota Doxa, męski, aparat fotograficzny Leica... czytać jeszcze?

- Dobra, nie warto. Kilka pełnych walizek musieli wynieść.

- Nie. To znaczy, walizek nie ukradli, mimo że stały w pawlaczu. Wątpię, żeby taszczyli ze sobą własne. Są ślady jakby wleczenia, a w kurzu znaleźliśmy nitki lnu czy konopi, więc chyba mieli worki. Nawet się im dziwię, bo z workami gorzej iść przez ulicę, bardziej podpada.

- Na pewno nie szli. Musieli mieć na dole samochód. I gospoia nic nie słyszała? Zdrowy sen ma ta babka. O której gospodarze wrócili?

- Zapodają, że...

- Nie mówi się: zapodają. Potem cała prasa się z nas śmieje.

- A jak?

- Mówią, podają. Skąd wyście w ogóle wzięli to „za”?

- Ja tego nie wymyśliłem. W każdym protokole tak piszą. Niech będzie bez „za”, co mi zależy. Więc podają, że o pierwszej.

- Otworzyli drzwi bez żadnych trudności, kluczem? Czy były otwarte?

- Były zamknięte. Otworzyły się gładko, bez oporu, jak zwykle. Wygląda na to, że złodzieje mieli podrobione klucze.

- Tak. To nam nieco utrudni sprawę. Kto ma w domu klucze?

- Wszyscy troje.

- Nikt ostatnio nie zgubił, choćby na krótko, gdzieś w sklepie, czy może komuś pożyczał?

- O to jeszcze nie pytałem.

- Zadzwońcie tam sierżancie... albo nie. Pojedziemy do tego mieszkania. Ktoś z nich chyba będzie w domu.

*

Zanim zadzwonili do drzwi, Szczęsny długo i uważnie oglądał je od zewnątrz, przyświecając sobie latarką, bo na schodach panował półmrok. Wreszcie wyprostował się i przycisnął dzwonek.

W domu była mecenasowa i gosposia. Bieliński wyszedł do zespołu, ale miał wrócić za pół godziny.

- Zostaliśmy zupełnie bez pieniędzy - powiedziała pani Krystyna, przygryzając wargi z zażenowaniem. Widać było, że to wyznanie przychodziło jej z trudem.

- Na ile państwo oceniają straty wynikłe z kradzieży? - spytał kapitan, wchodząc wraz z sierżantem do pokoju. Widział ten pokój przedtem na zdjęciu, ale z trudem go teraz rozpoznał. Meble były już poustawiane, dywan na podłodze rozpostarty, szafy zamknięte, szafy w których pozostało niewiele...

Mecenasowa bezradnym ruchem rozłożyła ręce. Na jednym palcu miała duży pierścień z krwawo połyskującym kamieniem.

- Widzi pan - pokazała oficerowi - to jedyna biżuteria, która mi została. A straty? Nie mam pojęcia. Mąż coś tam obliczał... Chyba ponad dwieście tysięcy, licząc samą biżuterię i ubrania. Ten

typ aparatu fotograficznego kosztował w sklepie komisowym prawie szesnaście tysięcy.

Szczęśny dosłyszał leciutkie westchnienie stojącego za nim sierżanta i uśmiechnął się. Dobrze wiedział, co myśli w tej chwili ten skromny podoficer, którego półroczna pensja zaledwie starczyłaby na taki aparat.

- Proszę, może panowie zajmą miejsca - wskazała im foteliki. Sama przysiadła na taborecie przed pianinem. - Jak pan sądzi - zwróciła się do Szczęsnego, który był w cywilu, ale przedstawił się jeszcze w korytarzu i zapamiętała jego stopień - czy... czy da się coś z tego odzyskać? Chociaż część?

Patrzyła na niego błagalnie. Miała ładną, świeżą twarz zdrowej blondynki, nie wiadomo po co przemalowanej na rudo, prosty nos, pełny podbródek. Duże zmysłowe usta były nieumalowane; nie miała również lakieru na paznokciach. Oceniał ją na dwadzieścia pięć-sześć lat i zaciekał się nagle, jak też wygląda mąż tej kobiety.

- Trudno mi panią zapewnić, że tak - odparł - ale będziemy się starać. Czy nie ma pani żadnych podejrzeń?

Potrząsnęła głową. W oczach jej mignął jakiś cień niepokoju i natychmiast znikł.

- Nie, nikogo nie podejrzewam. Nasza gosposia to dawna niania mego męża, staruszka najpocześniejsza w świecie. Nie ma krewnych, którzy by do niej przychodzili. No, a nasi krewni czy znajomi, pan chyba rozumie, że nie mogę... - uśmiechnęła się blado, zamilkła. - Nie, proszę pana. To musieli być jacyś bandyci, którzy dowiedzieli się, że nasz dom jest zamożny i włamali się nocą, korzystając z nieobecności gospodarzy.

- Powiedziała pani: włamali się. Ale przecież drzwi były nieuszkodzone?

- Owszem, drzwi były tak zamknięte, jak myśmy je zamknęli wychodząc. Przynajmniej tak myślę - poprawiła się zaraz. - Nie potrafię tego udowodnić.

- Widać, że pani jest żoną prawnika - uśmiechnął się. - Czy gosposia spała, kiedy państwo wychodziliście? I o której to było?

- O wpół do ósmej wieczór. Nie spała, ale była zajęta w kuchni, więc nie zamykała drzwi za nami. W każdym razie, wchodząc do mieszkania w nocy, absolutnie nie spodziewaliśmy się, że coś jest nie w porządku. Dopiero kiedy weszliśmy do pokoju... Wszystko było poprzewracane, szafy otwarte, część ubrań i bielizny na podłodze. Ten pan - wskazała na sierżanta - widział, może powiedzieć.

- Kto z państwa nosi przy sobie klucze?

- Każdy z nas ma własne. Czasami wracamy o innych porach, niekiedy późną nocą... - urwała, jakby z zażenowaniem. - Różnie bywa.

- Czy nikt nie zgubił ostatnio kluczy?

- Nie, sama pytałam o to gosposię.

- A może była w domu czwarta para kluczy?

- Nie. Nigdy.

- Czy nie pożyczała pani swoich nikomu? Albo męż? Może znajomym, czy krewnym?

Potrząsnęła głową stanowczo.

- No dobrze - zdecydował nagle Szczęsny, podnosząc się z fotela. - Chciałbym pomówić z gosposią.

Staruszka była w kuchni. Na widok kapitana odłożyła ścierkę i spojrzała na niego zapłakanymi oczami. Widać bardzo się przejęła kradzieżą.

- Czy pani również coś zabrali? - spytał kapitan współczującym tonem. Rozejrzał się dokoła; kuchnia lśniła czystością, garneczki i patelnie były wyszorowane, podłoga aż biała, widać nie żałowano jej wody i mydła. Spojrzał na spracowane, pokurczone od reumatyzmu palce gosposi i zrobiło

mu się jej żal. Była już w tym wieku, kiedy powinna nie szorować, tylko odpoczywać.

- Nie, proszę pana - odpowiedziała, wycierając ręce w fartuch. - Co mi tam zresztą mogli zabrać.

- Książeczkę PKO gospościa miała przy sobie - wtrąciła szybko pani domu - a oni do kuchni nie chodzili.

Szczęśny dojrzał w kącie przysłonięte czymś w rodzaju parawanu, biało zasłane łóżko.

- Tutaj pani śpi? - pokazał na łóżko.

- Tak, proszę pana. Ale drzwi do przedpokoju były zamknięte. Pewnie dlatego nic nie słyszałam. Mój Boże, żebym ja przypuszczała, to bym nie zamykała tych drzwi i... i może bym jakoś - rozpląkała się.

- Przecież nie mamy do gospościsi pretensji - powiedziała pani Krystyna z lekkim zniecierpliwieniem.

- Myślę, że to szczęście, że pani do nich nie wyszła - rzekł sierżant. - Tacy ludzie się nie patyczkują. Rąbnęliby czymś w głowę i koniec pieśni. Chciałem powiedzieć, koniec życia.

- Czy w ostatnim czasie nikt obcy do państwa nie przychodził?

Szczęśny patrzył uważnie na staruszkę, która jakby lekko się zmieszała. Siąknęła nosem, utkwiała

oczy gdzieś w kącie kuchni.

- Zdaje się, że gosposia nam o nikim takim nie mówiła - na wpuł pytajaco stwierdziła mecenasowa.

- Prawda? - zwróciła się do niej.

- Ano, to już powiem. - Otarła oczy, pokiwała głową. - Tu była, proszę pana, Cyganka.

- Kiedy?

- Dlaczego gosposia nie mówiła?

Oba pytania padły niemal jednocześnie. Pani Krystyna gniewnie zmarszczyła brwi, Szczęsny uniósł swoje w górę, jakby dziwiąc się czemuś.

- Kiedy? Chyba z tydzień temu. Nie mówiłam, bo i nie było nic do opowiadania. Ktoś zadzwonił do drzwi, otworzyłam, widzę, że Cyganka, to chciałam zaraz zatrzasnąć. Ale ona z płaczem do mnie, że nogę skaleczyła, żeby jej wody dać i jaką szmatę do owinięcia. No jakże, proszę pana, takiej rzeczy człowiekowi odmówić? Przecie grzech. Spojrzałam, czy naprawdę skaleczona ta noga. Widzę, że na łydce rozcięte jak nożem i krew płynie. Wpuściłam ją do kuchni, posadziłam na stołku, gazetę rozłożyłam na podłodze, żeby nie poplamieć. Umyła sobie tę nogę - nawet czysta była, nie mogę powiedzieć - dałam jej trochę jodyny, z apteczki...

- Zaraz - przerwał kapitan - gdzie jest u państwa apteczka?

- W łazience.

- To znaczy, że Cyganka przez chwilę była sama, tak?

- Cóż za nieostrożność - syknęła mecenasowa.

- Ale ona z kuchni nie wychodziła, bo bym ją dojrzała. Innej drogi do pokojów nie ma z kuchni, jak obok łazienki, a drzwi miałam przecież otwarte. Mogłam stać koło apteczki najwyżej minutę.

Szczęśny odwrócił się nagle, wszedł do łazienki, przekręcił kontakt. Apteczka wisiała dość nisko na ścianie. Otworzył ją. Zobaczył kilkanaście różnych flaszeczek, papierowe torebki, pudełka, rozsypane pastylki. Widocznie opieka nad lekarstwami nie należała do gosposi.

Wrócił do kuchni i spytał:

- Często pani używa jodyny?

- Gdzież tam, ja wcale nie używam. Mnie to za bardzo piecze - wzruszyła ramionami. - Cyganka młoda, to tam może znieść takie coś, ale mnie to już niepotrzebne. W ogóle nic stamtąd dla siebie nie biorę.

- Aby w tym bałaganie - pozwolił sobie na uszczypliwe słowo - który widziałem w apteczce,

ktoś, nie korzystający z niej prawie nigdy, mógł odnaleźć flaszeczkę z jodyną, potrzebowałby na to pewnego czasu, liczę więc, że pani nie było w kuchni około czterech, może pięciu minut. Apteczka jest tak zawieszona, że aby w niej czegoś szukać, trzeba stanąć tyłem do drzwi. Cyganka mogła – oczywiście, nie musiała – w tym czasie przemknąć się do pokoju, rozejrzeć, otworzyć szafy, jednym susem zbadać sytuację. Mogła też... gdzie leżały pani klucze?

- Klucze? - Gospoia zakręciła się w miejscu niespokojnie. - Tam, gdzie zawsze. Na półeczce - wskazała drewnianą półkę nad zlewem. - Ale jak Cyganka wyszła, to klucze leżały na miejscu. Pamiętam, bo w chwilę potem wyszłam i ja do miasta.

- Czy potrafi pani stwierdzić z całą pewnością, że klucze leżały dokładnie w takiej samej pozycji, jak je pani położyła? Że nie były ruszane?

- Mój Boże... czy to kto patrzy, jak kładzie klucze, proszę pana. Nie umiem powiedzieć, czy tak samo. W każdym razie, były na półce.

- Mogła zrobić odcisk - mruknął sierżant Tuczyński. - Wystarczy воск albo plastelina.

- Tyle razy mówiłam gospoisi, żeby nigdy Cyganów do domu nie wpuszczają - westchnęła pani Bielińska.

- Na pewno wzięła odcisk kluczy. Teraz rozumiem, w jaki sposób oni tu w nocy weszli. Cyganie mają warsztaty kowalskie i ślusarskie, to jest przecież ich specjalność. Panie kapitanie, czy nie można by poszukać skradzionych rzeczy wśród Cyganów? Na pewno są jeszcze albo w mieście, albo niedaleko.

W tej chwili zgrzytnął klucz w zamku. Wszyscy jak na komendę odwrócili się w tamtą stronę. Wszedł mecenas Bieliński.

Był to niemłody już mężczyzna o mocno sklepionej, łysej czaszce, barczysty, z lekko wystającym brzuszkiem. Twarz miał rumianą, bystre oczy. Spojrzał na oficera z lekkim zdziwieniem.

- Kaziu, to jest pan kapitan - powiedziała mecenasowa zmęczonym głosem. - Przepraszam, ale nie dosłyszałam nazwiska... Wiesz, okazuje się, że to byli Cyganie.

- Sądzę, że to jest przedwczesny wniosek - rzekł Szczęsny, ściskając rękę gospodarza. - Nie mamy na razie żadnych dowodów, że ta Cyganka należała do jakiejś złodziejskiej grupy. Nie wszyscy Cyganie kradną, proszę pani, wielu z nich od dawna uczciwie pracuje.

- Zaraz, bo nie rozumiem - zaczął mecenas, spoglądając to na żonę, to na kapitana. - Czy u nas

była jakaś Cyganka?

Pani Krystyna streściła mu to, co opowiedziała gosposia, a twarz mecenasa zachmurzyła się. Popatrzył z wyrzutem na swoją starą nianię, która znów skrzywiła się do płaczu.

- Bardzo nieostrożnie, doprawdy - odezwał się. Widać było, że przy obcych wyraźnie hamuje gniew.

- Można było obyć się bez tej jodyny, wystarczyło obmycie i bandaż. Co tam zresztą, teraz... - machnął ręką. - Proszę, przejdźmy do pokoju - zaprosił obu funkcjonariuszy stanowczym gestem - nie będziemy przecież tutaj rozmawiać.

- Czy nie podejrzewa pan kogoś, panie mecenasie? - spytał Szczęsny, biorąc podsuniętego mu papierosa. Bieliński zwrócił ku niemu twarz ściągniętą gniewem. Szybkie, ukradkowe spojrzenie, jakim obrzucił panią Krystynę, zastanowiło kapitana. Pomyślał, że trzeba umówić się z adwokatem w Komendzie lub gdzieś na mieście, w kawiarni. Być może dowie się wówczas czegoś ciekawego.

- Czy podejrzewam? - powtórzył Bieliński w zamyśleniu zapalając papierosa. Ciężko opuścił się na fotel, przesunął ręką po wypukłym czole. Koło ust utworzyły mu się głębokie fałdy. Wyglądał na człowieka bardzo zmęczonego lub chorego. - Bo ja

wiem... Nie, oczywiście, że nie - poprawił się żywo, dojrzawszy błysk zainteresowania w oczach oficera. - Przecież bym o tym powiedział. Nie mam przed wami nic do ukrywania - spróbował się uśmiechnąć, ale wypadło to sztucznie. - Będę serdecznie wdzięczny za pomoc, sam jestem w tej chwili zupełnie bezradny. Straciliśmy bardzo dużo... - powtórzył i umilkł.

- Kaziu - szepnęła pani Krystyna - a może panowie odnajdą nasze rzeczy? Jestem niemal pewna, że to Cyganie. Grupa Cyganów to nie igła w stogu siana, można ich poszukać, muszą przecież gdzieś się zatrzymać po drodze.

- Po jakiej drodze? O czym ty mówisz?

- Myślę, że chyba nie zostali w Warszawie po takiej wielkiej kradzieży, na pewno jeszcze nocą wyjechali. Cygańskie wozy nie tak trudno znaleźć. Jeżeli znajdzie się u nich chociaż jedna nasza rzecz, to znaczy, że gdzieś ukryli resztę. Prawda, panie kapitanie? - zwróciła się do Szczęsnego, który w milczeniu przysłuchiwał się tej rozmowie. Coś mu się w niej nie podobało.

- Tak, niewątpliwie - przytwierdził lekko. Nie chciał dać się wciągnąć w dyskusję, wolał żeby oni rozmawiali między sobą. Sierżant jakby wyczuł jego myśli, bo również nie odzywał się.

- Moja droga - zaczął mecenas i nagle zmienił ton
- słuchaj, kawa chyba jest w domu? I cukier? Zaparz
nam mocnej kawy, to wszystkim dobrze zrobi.
Panowie się napiją?

- Chętnie - skłonił się Szczęsny. Nie chciał w tej
chwili wychodzić z mieszkania, choć poczęstunek
podczas prowadzonego dochodzenia to było wbrew
zwyczajowi. Sierżant zerknął na niego, ale nic nie
powiedział. Widocznie i on wolał zostać. Ukradkiem
zanotował coś w kalendarzyku.

Mecenasowa wyszła do kuchni. Kapitan spojrzął
na Bielińskiego i jakby z roztargnieniem spytał:

- Więc nie podejrzewa pan nikogo?

Znowu przychwycił to dziwne spojrzenie, jakim
adwokat pogonił za smukłą sylwetką pani Krystyny.

- Ma pan bardzo piękną żonę - odezwał się nagle
Szczęsny.

Wzrok mecenaso stał się lodowaty. Wydął wargi,
ściągnął brwi i patrzył na oficera jakby z góry.

- Sądzi pan? - głos był również lodowaty. - To
jednak chyba nie należy do sprawy kradzieży, którą
się pan zawodowo interesuje.

- Przepraszam - Szczęsny nie spieszył się, lecz z
trudem powściągnął uśmiech. - Nie odpowiedział mi
pan na pytanie.

- Odpowiedziałem już przedtem. Nikogo nie podejrzewam. Może pan zanotuje, aby nie pytać po raz trzeci.

- Rozumiem pana zdenerwowanie - rzekł kapitan współczująco. - Straciliście państwo ogromny majątek. Trudno wtedy o dobry humor i opanowanie.

Bieliński westchnął ciężko.

- Rzeczywiście, uniosłem się trochę. Przepraszam pana. Ostatecznie, prowadząc dochodzenie można pytać o wszystko. Co najwyżej można nie otrzymać odpowiedzi. Wracając do tej Cyganki... czy mogę liczyć, że milicja zajmie się sprawą, zwracając uwagę i na ten punkt?

- Bezsprzecznie. Nawet zaraz. Pozwoli pan, że zadzwonię? - Szczęsny podniósł się z miejsca, dojrząwszy na biurku aparat telefoniczny.

- Proszę bardzo.

Połączył się z Komendą, przywołał porucznika Kręglewskiego i dał mu kilka poleceń. Tamten słuchał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i powiedział.

- Czy ty dzwonisz w obecności tych okradzionych facetów? Bo mówisz mętnie, jak żaba w słoiku.

- Tak - odparł Szczęsny, zlekceważywszy żabę.

- Aha, rozumiem. No to popleć sobie jeszcze trochę. Słucham...

- Niech skontrolują wszystkie cygańskie wozy. Wyślij radiogramy. Zwłaszcza niech zwrócą uwagę na Cyganek z obandażowaną nogą.

- I na Cygana z brodawką na nosie. Rozkaz, już się robi. Kiedy będziesz z powrotem?

- Chyba za godzinę. Cześć.

Odłożył słuchawkę. Na wargach błąkał mu się lekki uśmiezek. Podeszedł do stolika, na którym gosposia rozstawiła talerzyki i filiżanki z dymiącą kawą. Pani Krystyna podała mu jedną, dotykając przy tym leciutko jego palców. Przelotnie zajrzał jej w oczy. Odwzajemniła spojrzenie. „Więc to tak” - pomyślał.

Sierżant ciągnął ostrożnie gorący płyn i właśnie zaczynał się pocić. Bieliński pił kawę z roztargnieniem, rozglądając się po pokoju, jakby na nowo obliczał straty.

- W kinie „Skarpa” idzie teraz zabawny film angielski - powiedział kapitan, siadając ostrożnie, aby nie rozlać aromatycznego napoju.

- Tak, „Poślubny rejs” - rzuciła mecenasowa. - Niezbyt mądre, ale śmieszne.

- Kiedyś ty na tym była? - spytał Bieliński, nie patrząc na żonę.

Szczęśny spojrział na panią Krystynę. Zmieszała się lekko, odwróciła głowę w bok.

- Och, nie pamiętam. Kilka dni temu, ze znajomą. Miałaś wtedy, zdaje się, jakąś konferencję czy naradę w Zrzeszeniu Prawników.

Mruknął coś, postawił na stoliku pustą filiżankę. Niemal jednocześnie to samo uczynili obaj pracownicy Komendy i podnieśli się z miejsca.

- Na nas czas - rzekł Szczęśny. - Dziękujemy za wyborną kawę. Panie mecenasie, będę z panem w stałym kontakcie. Gdybym znalazł jakiś ślad, choćby niezbyt pewny, zaraz pana zawiadomię. Wzajemnie proszę państwa o natychmiastowe powiadomienie mnie, gdyby ktoś z was dowiedział się czegoś ciekawego w tej sprawie. Proszę pamiętać, że każdy, nawet najdrobniejszy szczegół może być dla nas cenną wskazówką. Oczywiście mówię to raczej do pani - uśmiechnął się - bo pan mecenas, jako adwokat, doskonale się w tym orientuje. Do widzenia.

Kiedy byli już na ulicy, sierżant chrząknął i zapytał:

- Wierzycie, kapitanie, w tych Cyganów?

- Nie wierzę - odparł Szczęsny. - Ani w Cyganów, ani w wierność małżeńską. Zanotowaliście wiek tych dwojga?

- Tak. On jest starszy od żony o dwadzieścia trzy lata. Cholernie dużo, kapitanie. I to jest ładna babka, a on... Tyle, że ma pieniądze.

- Miał.

- To znów zarobi. Weźmie parę spraw poza zespołem. On jest cywilistą, tacy sporo wyciągają na rozwodach. Tu dwa tysiączki, tam cztery i tak leci. Odkuje się szybko, nie ma strachu. Zresztą, na pewno wszystkiego nie stracili. Tacy jak on nie trzymają całej gotówki w domu. Nie dałbym dwóch groszy za to, że żona nie ma pojęcia, ile mąż naprawdę zarabia.

- Ja też nie.

- Sądzicie, kapitanie, że ona kogoś ma? Albo on?

- Sądzę, że trzeba się nimi zająć. Zbadaliście, byli ubezpieczeni od kradzieży?

- Byli. Od sześciu lat. E, nie... adwokat by tego nie zrobił. Oni są za cwani na takie rzeczy. Zostawicie mnie, kapitanie, przy tej robocie?

- Tak. Weźmiecie dwóch do obserwacji mecenasa i jego żony. Muszą to robić bardzo ostrożnie, z prawnikami nie ma żartów. A swoją drogą,

dowiedzcie się, czy była wczoraj w mieście grupa Cyganów. Wyślemy radiogramy do jednostek w województwie. Myślę, sierżancie, że to wcale nie zaszkodzi, jeżeli będziemy trochę z szumem szukać tej Cyganki ze skaleczoną nogą. Ona pewnie kuleje. Muszę mieć od was w tej sprawie co dwa, trzy dni meldunki, żebym miał co przekazywać mecenasowi.

- O rany, kapitanie - sierżant zatrzymał się na chodniku jak wryty. - A skąd ja wezmę kulawą Cyganke?

- Wcale nie musicie jej „wziąć”. Nawet byłoby niewskazane. To ja muszę mieć od was meldunki. Tylko żeby nie były za bardzo lipne, bo adwokat zaraz się zorientuje.

- Rozumiem - odparł podoficer i rozchmurzył się.
- Mówiliście, że złodzieje z pewnością wywieźli skradzione rzeczy samochodem, a skąd Cyganie do samochodu?

- Sądzicie, że nie mają? To spytajcie w Komendzie Ruchu, ilu Cyganów zarejestrowało własne wozy. Jeden ma nawet pięknego mercedesa. Zresztą, ja wcale nie powiedziałem, że to na pewno był samochód. A może cygańska malowana buda, zaprzężona w parę koni?

Sierżant prychnął ironicznie.

- Może w żyrafy! Obywatel kapitan znowu mnie nabiera.

- To się nie dajcie.

- Gosposię też wziąć „na widelec”?

- Nie. Na popołudnie chcę mieć wyjaśnione odciski tych tajemniczych palców w mieszkaniu mecenasa. To przecież mógł być ktoś z ich znajomych, który pozostawił ślady swojej obecności przed kilku dniami. Słaba poszlaka. Ważniejsze są motywy, dla których jedno z tych dwojga pożyczyło komuś swoje klucze. Sprawdźcie, czy linie papilarne nie zgadzają się ze znalezionymi przy trzech poprzednich kradzieżach. O ile pamiętam, w jednym przypadku natrafiono tam na linie bardzo wyraźne, dotąd nierozszyfrowane.

Rozdział 2

Waligórski czekał przed barem, obok kiosku z gazetami. Na widok Teresy twarz mu pojaśniała. Nie bardzo wierzył, że przyjdzie. Te dziewczęta są czasami takie niezrozumiałe, byle co je rozgniewa albo spłoszy.

Podszedł do niej żywo i ujął pod ramię gestem człowieka, który już ma do tego pewne prawo. Poprzedniego wieczoru postanowił działać szybko i zdecydowanie.

- Dokąd pójdziemy, śliczna Teresko? - spytał i z udanym namysłem zaczął rozglądać się dokoła, jakby szukając odpowiedniego lokalu. W rzeczywistości, od paru godzin wszystko już obmyślił. Bał się tylko, czy ona mu w tym nie przeszkodzi.

- Bo ja wiem? - wahała się, spoglądając na niego spod oka. - Naprawdę nie mam pojęcia. Niech pan coś wybierze.

- Wobec tego, biorę panią pod swoją kuratelę - rzekł zadowolony. - Pójdziemy na kolację „Pod

Kandelabry”. To zupełnie przyjemny lokal i niezła kuchnia. Chyba... – urwał, jakby zażenowany – chyba rodzice pani nie mieliby nic przeciwko temu?

– E, nie. Zresztą nie ma ich w Warszawie – odparła beztrosko. – Wyjechali na urlop do Zakopanego. Na cały tydzień.

– A siostrzyczka? W domu została? – zdziwił się szczerze.

– Siostra też pojechała. To ja zostałam w domu – uśmiechnęła się. – Ale do nas... – umilkła.

– Co do nas?

– No, do nas na kolację iść nie możemy, bo nic nie ma w domu. Jak jestem sama, to jadam na mieście.

– Świetnie! Wobec tego zjemy razem, z tym, że ja panią zapraszam – przycisnął jej ramię, myśląc, że to doskonała okazja, taki familijny wyjazd aż do Zakopanego. Przynajmniej nikt nie będzie panienki kontrolował, o której wróci – i czy wróci – do domu. Zresztą, uspokoił zaraz swoje sumienie, jeżeli zostawili ją samą na cały tydzień, to widocznie tak bardzo nie dbają o jej morale. Swoją drogą, dziwni rodzice... Inna rzecz, że to już przecież dorosła dziewczyna. No, więc wszystko w porządku, nie ma sobie czym głowy zawracać.

Restauracja była jeszcze niemal pusta. Kelnerzy przy służbowym stoliku jedli kolację. Waligórski wybrał zaciszne miejsce w rogu sali, potem zamówił sałatkę włoską, szynkę i ćwiartkę wyborowej.

- Ja nie piję wódki - zastrzegła Teresa. - Nie lubię.

- Ależ dobrze, Tereseczko. Wódka będzie dla mnie, a dla pani - zwrócił się do kelnera, który patrzył na ładną dziewczynę z zainteresowaniem - dla pani weźmiemy wino. Lubi pani wermuth?

- Lubię. Może być.

- A co państwo życzą sobie z kuchni?

Waligórski szybko przebiegł oczami kartę. „Coś nie bardzo drogiego, bo ona i tak się nie zna, ale i nie za taniego, bo weźmie mnie za skąpca”.

- Może sznycelki cielęce? - podsunął kelner, jakby rozumiejąc jego wahanie. - Do tego zielona sałata ze śmietaną i frytki.

- Doskonale, niech będą sznycelki. I dla mnie piwo.

- Ja też piwo - upomniała się nagle dziewczyna.

- Och, przepraszam, nie sądziłem, że pani lubi. Oczywiście dwie butelki. Eksportowe.

Kelner podał wódkę i piwo, postawił z boku kieliszek wermuthu, zamówił w kuchni sznycle i

wrócił do służbowego stolika, aby skończyć kolację.

- Co to za parka? - spytał jeden z kelnerów, łysy jak kolano. - Babka wygląda całkiem świeżo, delikatna jak kurze udko.

- Nie bój się, prędko straci tę delikatność, jak się zacznie wodzić z chłopami po lokalach - rzucił drugi.

- On mi wygląda na kobieciarza, ale takiego „lepszego”, co to zaczyna elegancko, z szyldem. A ją to ja już chyba gdzieś widziałem - powiedział trzeci w zamyśleniu.

- Jakbym się dowiedział, że moja Joasia ze starym chłopem na kolację chodzi, to bym tak sprął, tak sprął... - Łysy skrzywił się, bo na salę zaczęli wchodzić goście.

- Ile już ma twoja najmłodsza?

- Czternasty jej leci. No idę, akurat u mnie usiedli.

Dźwignął się i podszedł do stolika pod oknem.

*

- Teresko, czy lubi pani muzykę? - spytał Waligórski, kiedy wyszli na ulicę.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Muzykę? - uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami. - Chce pan iść do Filharmonii, na koncert?

- Ależ nie! - roześmiał się, ubawiony.

Był teraz o sto mil od wszelkich koncertów, chciał szybko znaleźć się z dziewczyną w łóżku, tylko trzeba to było jeszcze poprzedzić jakimś dyskretnym eleganckim wstępem. Inaczej nie lubił, zbyt proste, rzeczowe stawianie sprawy żenowało go i wywoływało niesmak. Uważał się za estetę, lubił każdą rzecz w dobrej oprawie.

- Nie myślałem bynajmniej o Filharmonii - wyjaśnił - zresztą teraz już za późno na koncert. Ale dostałem niedawno od znajomego, który wrócił z zagranicy, bardzo ładne płyty. Mam adapter, więc może byśmy posłuchali? Mieszkam tu niedaleko, na Hożej.

- Dobrze - odparła po prostu, a on, rozejrzawszy się wpierw dyskretnie dokoła, musnął przelotnym pocałunkiem brzeżek jej różowego ucha.

Na drzwiach mieszkania, przed którymi się zatrzymali, widniała podłużna wizytówka: „Jerzy Waligórski, magister inżynier”. Właściciel wizytówki wyjął z kieszeni klucze, czując z lekkim zdziwieniem, że ma ręce spocone. Był jednak mocno

podekscytowany, zresztą ćwiartka wódki i piwo też zrobiły swoje. Otworzył drzwi szeroko, przekreślił kontakt, cofnął się, i zwróciwszy się do dziewczyny z szerokim uśmiechem, uczynił ręką gest zapraszający.

W przedpokoju zdjął z niej granatowy płaszcz, starannie powiesił na wieszaku, sam przygładził szybko włosy.

- Proszę, niech pani wejdzie do pokoju, ja nastawię wody na kawę - zawołał już z kuchni. Bał się, że bez kawy będzie wciąż lekko pijany, a to popsułoby mu całą zabawę. Lubił każdą przyjemność smakować i oceniać na trzeźwo, wtedy nic nie tracił.

Pokój, do którego weszła, był duży, dwuokienny i dziwnie przytulny, mimo swoich rozmiarów. Może sprawiał to ogromny, puszysty dywan i łagodnie spływające, kolorowe zasłony na oknach, a może zielone rośliny ozdobne, poustawiane to tu, to tam w harmonijnym nieładzie. W kącie, na niskim stoliku, stało radio, obok adapter i płytoteka ze sztucznego tworzywa, pełna płyt w barwnych okładkach. Spojrzała na dywan. Poczwała nagłą ochotę, aby pochodzić po nim boso. Musiał być bardzo miękki. Niewiele myśląc zrzuciła pantofelki i nagimi stopami stanęła na wzorzystej wełnie. Roześmiała się, takie to było przyjemne.

- Ślicznie! - zawołał inżynier, zatrzymując się na progu z tacą zastawioną filiżankami i kieliszkami. Zachwiał się i o mało nie upuścił tacy. Kręciło mu się trochę w głowie. Teresa ze śmiechem odebrała zastawę i umieściła ostrożnie na stoliku.

Inżynier podszedł do adapteru, włączył i nachylił się nad płytami.

- Co pani lubi? - spytał, wyjmując kilka i rozkładając na podłodze. Jedna płyta wypadła mu z drżących palców, nie zwrócił na to uwagi. - Nowoczesny jazz czy smętne piosenki? Mam Paula Ankę, Juliette Greco, dwie płyty Raya Charlesa. Jest parę melodii brazylijskich...

- Może coś z polskich piosenek? - powiedziała z wahaniem. - Ja bardzo lubię Wojnickiego. Albo „Czerwono-Czarnych”. Ma pan Karin Stanek „Malowaną lalę”?

Przełknął ślinę, aby stłumić czkawkę. Pomyślał, że ta dziewczyna wciąż go zadziwia. Był niemal pewien, że zażąda na przykład Helen Shapiro, Ankę czy Presleya, to są przecież ich bożyszczka. A może ona tak przez przekorę?

Przyjrzał jej się, ale nie dostrzegł ironii w oczach ani w uśmiechu. Więc wyszukał w płytotece „Monikę”, niech będzie Wojnicki. Raptem poczuł, że

wbrew zdrowemu rozsądkowi, tu, we własnym przytulnym mieszkaniu, kiedy nikt obcy już im nie może przeszkodzić, opanowało go niczym niewytłumaczone skrępowanie. Czy dlatego, że stała tak na dywanie prawie bez ruchu, przyglądając mu się ciągle wielkimi, niebieskimi oczami, których wyrazu nie mógł odczytać... Czy też dlatego, że po prostu wciąż wymykała się ze szkicu, jaki jej w swym wyobrażeniu nakreślił: „taka jesteś, taką cię znam i innej nie chcę” - że sprawiała mu drobne, zaskakujące niespodzianki. Może więc jest zupełnie inna niż sądzi. Ale - jaka jest? I kim jest?

- Tak się pan zamyślił - powiedziała, nie spuszczać z niego oczu. - O mnie?

Nagle ogarnęło go zmęczenie. Usiadł w fotelu tuż koło niej, ujął drobną, dziewczęcą dłoń i przytulił ją do twarzy. Był zdziwiony, niezadowolony, ale z tym wszystkim nie było mu źle. Bał się jednak, że ze strony tej milczącej dziewczyny czeka go raptem coś, czego w ogóle nie przewidział i nie chciał. Nie chcąc przyznać się do tego sam przed sobą, zląkł się nagle, że po tylu latach zimnych, rozsądnych przygód i banalnych flirtów naszło na niego coś, przed czym od dawna się bronił.

„Do diabła z tym”, pomyślał gniewnie. Wstał, objął Teresę mocno, zaczął wpierw delikatnie, potem coraz gwałtowniej całować jej oczy, usta, szyję...

Teresa nie broniła się.

*

- Co? - spytała sennie. Nie otwierając oczu, namacała koło siebie poduszkę, ale było tam pusto. Leniwie uchyliła powieki.

Siedział na brzegu tapczanu, w rozchełstanej na piersiach pidżamie w szare i zielone paski, z nogami podwiniętymi pod siebie. Włosy miał rozczochrane, tkwiło w nich białe, skręcone piórko. Zachichotała.

- Czego się śmiejesz? - zapytał zdziwiony.

- Masz pierze we włosach. Ot, tu... Podobają mi się twoje włosy, wiesz? Są takie miękkie i ciemne. O co przedtem pytałeś?

- O wszystko. Co robisz, gdzie mieszkasz, czy masz jakieś zainteresowania. Przecież wcale cię nie znam.

- Z tą maturą, to lipa - odpowiedziała, wtulając twarz w poduszkę.

- Lipa? - bezwiednie sięgnął do włosów, namacał piórko, wyciągnął i odrzucił. - To dlaczegoś tak mówiła?

- Z siostrą też lipa. Mam siostrę, dużo starszą ode mnie.

- Ale z rodzicami chyba nie lipa? Bocian cię nie przyniósł?

Znów zachichotała, przewróciła się na drugi bok, rozrzuciła ręce. Miała gładkie, opalone ramiona. Po raz nie wiem już który stwierdził, że jest śliczna.

- Z rodzicami też lipa - mruknęła. - Mam tylko matkę. A gdzie mieszkamy, to nie twoja sprawa.

- Powiedzmy. Pracujesz gdzieś? Uczysz się?

- Nie.

- Co: nie?

- Jedno i drugie: nie.

- Więc co robisz cały dzień?

- Dobre wrażenie. Uczepił się! Co ci do tego?

- Co robi twoja siostra?

- Pracuje. Na nocnej zmianie - parsknęła śmiechem.

Nie zrozumiał i pytał dalej, jak nieustępliwy, surowy sędzia:

- Pracuje wobec tego na ciebie i matkę. Nie, poczekaj, a matka co robi?

Odwróciła twarz.

- Różnie - odparła z niechęcią. - W domu i tak tam...

- Pewnie chodzi gdzieś sprzątać i prac - domyślał się. - A ty się tego wstydzisz. Niemądra. A sama co? Siedzisz za piecem i czekasz, aż ci jeść dadzą. Nie wstydzisz się? Jesteś młoda, zdrowa, silna. Masz pracowitą, uczciwą siostrę i matkę, co sobie ręce urabia, żebyś miała na sukienki, na taki ładny, drogi płaszcz ortalionowy, na pantofelki. Nie wstyd ci?

- Głędzisz - mruknęła. - Jak ksiądz na ambonie. Albo jak ci z Zetemesu. Nic, tylko: pracuj, ucz się, miej cel w życiu, nie bądź leniem! Jak długo pracujesz w tej swojej fabryce? Ile lat?

- Osiem - odparł nie bez dumy. - Czemu pytasz?

- Osiem lat. Jesteś inżynierem, kierownikiem czegoś tam. No i co masz z tego?

- Jak to, co mam? Mnóstwo rzeczy.

- Masz samochód? Masz willę? Ile wydajesz miesięcznie?

- Nie mam willi ani samochodu - uśmiechnął się. - Ale zarabiam dobrze, ponad sześć tysięcy

miesięcznie. Oczywiście, tyle nie wydaję, więc coś niecoś sobie już zbierałem.

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Ile tam można zbierać z pensji!

- Przepraszam, wcale nie tak mało. Odkładam około trzech tysięcy. Zresztą, sama widzisz, że mieszkam bardzo przyzwoicie. Zajrzyj do szafy, zobacz, jak się ubieram. Przecież jestem sam, więc wydaję tylko na swoje potrzeby. Byłem już parokrotnie za granicą, to też coś znaczy.

Milczała, nie otwierając oczu. Znowu miała ten nieodgadniony, ostry wyraz twarzy, jak wtedy w barze. Przekręciła się na tapczanie, zwinęła w kłębek, uśmiechnęła sennie.

- Powiedz, dlaczego nie poszłaś do pracy? Jakież z ciebie straszny leń. To w życiu nie popłaca.

- Co ty tam wiesz o życiu.

Roześmiał się. To było zabawne, nie potrafił się nawet obrazić.

- Zapewniam cię, moja droga, że wiem o nim więcej niż ty - zauważył lekko. - Ja nie miałem takich warunków w twoim wieku. Brnąłem przez to życie, jak przez gęste błoto. Ale wszystko, co mam, co tu widzisz - pokazał ręką dokoła - zawdzięczam tylko sobie. Swojej pracy. Tego mi nikt nie odbierze.

Uśmiechnęła się.

- Powiedz, Teresko, na co ty czekasz? - ujął jej rękę, przytulił do siebie. - Na bogatego męża?

- Właśnie! - przytaknęła skwapliwie. - Na takiego, jak ty.

Roześmieli się. Odrzucił kołdrę, położył się koło niej. Wsadziła mu nos pod pachę, westchnęła, po chwili spała już jak młody psiak. Leżał bez ruchu, nie chcąc jej obudzić. Potem zasnął.

Kiedy się zbudził, za oknami było już jasno. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Zerwał się z tapczanu, przetarł oczy. Teresy nie było w pokoju. Wsunął stopy w pantofle, poczłapał do łazienki, potem do kuchni. Nie znalazł nikogo. Trochę niespokojny, wrócił do pokoju. Wtedy dostrzegł białą karteczkę na stoliku, obok tacy z filiżankami. Wziął papier do ręki, zobaczył nieznaną, trochę dziecinne pismo:

„Dzień dobry, śpiochu, musiałam już iść. Zadzwoń do ciebie, do tych zakładów albo przyjdę znowu. Pa! Tereska.”

Zauważył, że filiżanki są umyte. W kuchni widać było, że ktoś szykował sobie śniadanie, czajnik zachował jeszcze ciepło, pewnie gotowała w nim wodę na herbatę.

Ziewnął, przeciągnął się. Nagle coś go tknęło. Wzruszył ramionami, ale podszedł do szafy, otworzył i zwymyślał sam siebie za głupotę. Wszystkie rzeczy wisiały i leżały jak zwykle. Zajrzał jeszcze do szuflady w biurku, już tylko dla uspokojenia nerwów. Portfel z pieniędzmi, książeczka PKO, obrączka po ojcu – wszystko było na miejscu, jak co dzień.

*

Doktor Wiliński ściągnął gumowe rękawice i zaczął rozcierać zmęczone palce. Trepanacja trwała ponad godzinę, obawiał się nawet o wstrząs operacyjny, ale na szczęście do tego nie doszło. Klasyczny przypadek *abscessus cerebri*, jako skutek nieleczzonego zapalenia ucha środkowego. Jeszcze jeden przykład, do czego prowadzi lekceważenie choroby, wyjaśniał teraz młodemu asystentowi, który obok niego mył ręce i z powagą potakiwał.

Kiedy wyszedł na mały, zadrzewiony plac przed gmachem szpitala, zaczął siąpić drobny, ciepły deszcz, tak drobny, że nie warto było nawet brać taksówki. Szedł przez ulice, głęboko wdychając świeże wilgotne powietrze i nadstawiając zmęczoną

twarz pod spadające krople. Myślał o urlopie, który spędzi w sierpniu w Bułgarii. Jego żona, wraz z dwojgiem dzieci, wyjechała już trzy tygodnie temu do Karpacza, gdzie wynajął dla nich pokój na całe lato.

Wszedł na schody, odświeżony tym nocnym spacerem po deszczu. Stał przed drzwiami pustego mieszkania, przez chwilę pożałował, że żony nie ma w domu. Była malarką, ale potrafiła z dużym zainteresowaniem i uwagą słuchać jego opowiadań o każdej ciekawszej operacji. Poduczyła się z tych opowiadań już tyle, że bezbłędnie rozróżniała wszystkie rodzaje kleszczy kostnych i nigdy, robiąc porządek w jego szafce z instrumentami, nie myliła haka „Fritsch” z hakiem „Roux”.

Włożył klucz w zamek, właściwie chciał to zrobić, ale nie mógł. Coś przeszkadzało. Przez sekundę pomyślał z radością, że może przyjechała i przez pomyłkę zostawiła klucz z tamtej strony. Nacisnął więc dzwonek. Odezwał się przenikliwie w głuchej ciszy nocnej, raz, drugi, trzeci... Nic. Wiedział, że ma bardzo lekki sen, gdyby była w mieszkaniu, na pewno by się zbudziła.

Jeszcze raz spróbował wsunąć klucz do otworu. Tym razem wszedł, ale z pewnym oporem. Coś zgrzytnęło, wreszcie drzwi otworzyły się. Tuż za

progiem, w bladym świetle żarówki palącej się na schodach, dostrzegł w przedpokoju ciemny nieduży przedmiot. Coraz bardziej zdziwiony i zaniepokojony, zatrzasnął drzwi i przekręcił kontakt.

Na podłodze leżał jego własny kapelusz. Pomyślał, że pewnie spadł z wieszaka. Schylił się i w tej samej chwili przypomniał sobie zupełnie dokładnie, że kapelusz nigdy nie wisiał w przedpokoju, lecz schowany był w szafie. Bardzo rzadko go używał, zazwyczaj chodził z gołą głową.

Zdecydowanym ruchem szarpnął drzwi do swego gabinetu, zaświeceł lampę i zmartwiał.

*

W centrali Pogotowia Komendy Miasta Milicji Obywatelskiej tej nocy było spokojnie. Z rzadka błyskały lampki telefonów, wzywających pomocy. Parę drobnych awantur przed knajpami na Pradze, kilkunastu pijaków, odwiezionych do Izby Wytrzeźwień, ponad dwadzieścia spraw rodzinnych – w tym jedna „z nożem” i jedna „z butelką” – nie, doprawdy, była to spokojna noc.

Dyżurny oficer, kapitan Nowak, przeczytał obie popołudniówki i zagłębił się we wspomnieniach. Niedawno pokłócił się ze szwagrem, który zupełnie nie miał racji i kapitan odczuł jego słowa dość boleśnie. Należało to jakoś załagodzić, ale nie bardzo wiedział jak.

*

- Pogotowie milicyjne, słucham... - powiedział starszy sierżant do słuchawki. - Tak... kto?... Tak, słucham... Gdzie pan mieszka?... Proszę podać swój numer telefonu... Wszystko zabrali? Niech pan poczeka przy aparacie...

Odłożył na bok słuchawkę, wstał i przeszedł przez zwykłą centralę telefoniczną do dyżurki. Kapitan Nowak zastanawiał się właśnie nad argumentami, których w rodzinnej dyskusji używać nie należy. Spojrzał więc na wchodzącego z roztargnieniem.

- Kapitanie, dzwoni jakiś doktor Wiliński. Wrócił ze szpitala i zastał całe mieszkanie obrabowane. To może być coś podobnego, jak tamte kradzieże. Kapitan Szczęsny kazał meldować sobie o każdej następnej.

Nowak z pewnym trudem powrócił myślami do Komendy.

- Tak - odparł żywo. - Zaraz do niego zadzwonię, a wy powiedzcie facetowi, niech czeka w domu, niczego nie rusza, nie dotyka. Przyjedziemy najdalej za pół godziny. Czy on jest sam w mieszkaniu?

- Nie pytałem.

- Jak tam ktoś jest, to niech nie wychodzi. Każ im się i nie ruszać się, dopóki nie przyjedziemy.

Połączył się z mieszkaniem Szczęsnego, chwilę czekał, potem odezwał się z uśmiechem:

- Twardo śpisz! Słuchaj, znowu kradzież, coś z twojej specjalności. Podobno całe mieszkanie wyczyszczone na glanc... Nie, dopiero przed chwilą było zgłoszenie... Dobrze przysyłam ci wóz... Ekipę?... Dobrze, wydzwonię, wiem, kto jest dziś pod telefonem... Będą wściekli, nic nie szkodzi. Jak ja nie śpię, oni też mogą nie spać. Cześć.

*

Wiliński nie od razu otworzył drzwi, wpierw przez założony łańcuch i małą szparę przyglądał im się

nieufnie, aż zniecierpliwiony sierżant Tuczyński wsunął nogę w otwór i powiedział z urazą:

- Najpierw pan nas wzywa, a potem nie chce otworzyć.

- Przepraszam - lekarz zdjął szybko łańcuch i otworzył drzwi szeroko. Na widok kilku funkcjonariuszy w mundurach i jednego cywila, odetchnął z ulgą.

- Jestem tak roztrzęsiony, że doprawdy... proszę, niech panowie pozwolą.

Minęli go, jak szafę stojącą na drodze i szybko rozbiegli się po mieszkaniu. Fotograf zatrzymał się w progu pierwszego pokoju, błysnął parokrotnie flesz, ktoś rzucił z przekąsem: - Nie możesz chwilę poczekać? - i fotograf znikł w kuchni.

Szczęśny przywitał się z lekarzem, przejrzał jego dowód osobisty, spytał o rodzinę, potem skierował się w stronę gabinetu. Ekipa pracowała tu prawie bezgłośnie, stąpając po podłodze jak duchy, aby nie przeoczyć lub nie zatrzeć jakichkolwiek śladów.

- Nie będziemy na razie wchodzić - rzekł, przystając we drzwiach. - Czy zorientował się pan, co zginęło?

Chirurg westchnął ciężko.

- Jak tylko wszedłem i otworzyłem drzwi do pokoju, zrozumiałem że właściwie pozostały tylko meble - odparł i zagryzł wargi. Ręce mu się trzęsły, głos załamywał. Szczęsny podsunął mu papierosa i zapalniczkę.

- Drzwi wejściowe były otwarte?

- Nie, zamknięte. Ale mój klucz...

Lekarz urwał, bo do gabinetu wszedł jeden z funkcjonariuszy i rzekł:

- Tym razem weszli na pasówkę. - Skrzywił się, podrapał za uchem. Miał kark pogryziony przez komary, swędziło piekielnie. - Niezła robota, muszą tam mieć jakiegoś fachowca. Pasówka angielska, są ślady cyny. Miareę zamku brano chyba ze dwa dni temu.

- Dobrze - rzekł Szczęsny z zadowoleniem. - To już jest coś. Tylko, poruczniku, żeby to nie było „chyba”, ale na pewno. Bardzo ważne.

- Zrobi się. Piękny ślad buta z gumową zelówką na drewnianej wycieracze do nóg w łazience. Tlenek miedzi jest jednak lepszy od argenteratu.

- Tak. Spróbujcie też taśmą klejową, zwłaszcza na szafach i biurku.

- Nie mam do niej przekonania, ale mogę spróbować.

Porucznik wyszedł, a kapitan zwrócił się do lekarza, który patrzył z roztargnieniem na fotografa. Ten przyglądał się reprodukcji na ścianie. W pewnej chwili spojrzenia ich spotkały się i fotograf powiedział wskazując na obraz:

- To Van Gogh, te łodzie, prawda?

Wiliński skinął głową z bladym uśmiechem.

- Zanim obliczy pan straty i poda nam, co zginęło - powiedział Szczęsny - proszę przypomnieć sobie możliwie dokładnie, kto był u pana w domu podczas ostatnich kilku dni. Czy przyjmuje pan tutaj pacjentów? No tak, oczywiście - odpowiedział sam sobie, dojrzwawszy białą oszkloną szafkę z instrumentami chirurgicznymi. - Ma pan zanotowane nazwiska chorych, którzy byli tutaj w ciągu ostatnich dwóch, trzech dni?

- Mam, naturalnie. Czy mogę już podejść do biurka?

- Można, doktorze - rzucił, usłyszawszy pytanie, jeden z członków ekipy. - Ten pokój już zrobiony.

- Ślady? - rzucił kapitan pytająco.

- Tylko jedno, wszędzie. Chyba byli w rękawiczkach. Pokaż pan, doktorze, swoje paluszki, weźmiemy odcisk linii i porównamy, żeby nie było wątpliwości.

Linie papilarne na wszystkich meblach w gabinecie należały jedynie do chirurga. Sierżant Tuczyński wzruszył ramionami. To było do przewidzenia. Banda zawsze pracowała w rękawiczkach. Wiliński przejrzał pośpiesznie zawartość biurka. Znikło z niego wszystko, co miało jakąś wartość materialną. Pozostały tylko dokumenty, spisy pacjentów, listy i fotografie. Znikły oczywiście i pieniądze, odłożone oddzielnie na wyjazd do Bułgarii. Przepadł cały urlop.

- Odwagi, doktorze! - uspokajał go Szczęsny, bojąc się o stan nerwów lekarza. - Strata wielka, ale pieniądze to naprawdę nie najważniejsza rzecz na świecie. Musi pan teraz zachować zdrowie. Zrobimy co możemy, aby odzyskać dla pana skradzione rzeczy. Proszę mi powiedzieć, czy miał pan ostatnio jakiś nowych pacjentów?

- Z nowych było dwoje, to pamiętam doskonale. Mężczyzna i kobieta. Mężczyzna jest człowiekiem dość wybitnym w świecie naukowym... to nonsens, on na pewno nie ma z rabunkiem nic wspólnego. Dlatego nie wymienię jego nazwiska.

- A kobieta?

- Podała, że nazywa się Maria Kowalska. Adresu nie zapisałem, niestety, nie mam tego zwyczaju.

Sądzę teraz, że Marii Kowalskich jest w Warszawie chyba ze sto. O ile było to jej prawdziwa nazwisko.

- Jak wyglądała?

- Młoda, ładna, ciemne włosy krótko ostrzyżone, zdaje się grzywka na czole... Ciemne oczy. Ładna, ale przeciętna twarz.

- Długo siedziała sama w poczekalni?

Lekarz zastanawiał się przez chwilę.

- Może ze dwadzieścia minut. Czy to wystarczy, aby wziąć... jak pan to nazwał? Miarę zamka?

- Aż nadto.

- Kapitanie, czy pan jednak zbyt pochopnie nie posądza moich pacjentów? Czy miary zamka nie można również pobrać od zewnątrz? Mam na myśli zewnętrzną stronę drzwi, od schodów.

- Oczywiście, że można. Na przykład w nocy, kiedy wszyscy w domu śpią. Toteż ja wcale pacjentów nie posądzam, chcę tylko uzyskać od pana pewne informacje, które mogą mi być potrzebne. Nawiasem mówiąc, takie dłubanie w nocy przy zamku, jeżeli ktoś w mieszkaniu ma wrażliwy sen... Myślę, że w dzień, podczas badania i rozmowy z pacjentami, na pewno by pan nie zwrócił uwagi na chrobot czy szmery. Natomiast w nocy byłoby to coś niepokojącego, coś, co przerywa sen. Uporczywe

brzęczenie komara tuż nad głową potrafi wyrwać człowieka z najlepszego snu. Ale to tylko taka uwaga na marginesie.

- To prawda, w nocy każdy szelest koło drzwi jest podejrzany - przyznał Wiliński.

Przeszli do drugiego pokoju, gdzie ekipa zakończyła swoją robotę. I stąd zabrano wszystko, co tylko nadawało się do użytku lub sprzedaży. Zostały meble, obrazy, trochę zniszczonych ubrań. Jedynie pokój dziecinny banda rabusiów potraktowała wyraźnie lekceważąco, nie ruszając niczego.

- Miękkie serce mają chłopaczki - mruknął któryś z ekipy. - Dzieci pożalowali, dorosłych nie.

- Raczej kierowali się brakiem zapotrzebowania - odparł Szczęsny. - Zresztą, co tu mogli zabrać? Zabawki, pościel... To nie dla nich. Czy pan jest ubezpieczony, doktorze?

- Nie - westchnął lekarz. - Zdaje się, że byłem mocno lekkomyślny i teraz za to zapłacę.

*

Spojrzał na nią ostro.

- Jolanta, sędzę, że już najwyższy czas - powiedział spokojnie, ale wyczuła w jego głosie niebezpieczny ton, którego tak się bała. - Ileż to trwa? Dwa, trzy tygodnie? Może miesiące?

Spróbowała się uśmiechnąć, ale jakoś nie wyszło. Nerwowo zwilżyła językiem wargi. Nie dał jej nawet usiąść, trzymał przed biurkiem na stojąco, nogi ją bolały.

- Nie ma dwóch tygodni - odparła cicho.

Uderzył tak szybko i zręcznie, że nie zdążyła się odchylić. Podniosła rękę do zaczerwienionego, gorącego policzka. Skóra ją piekła, w oczach zakręciły się łzy.

- Kłamiesz. Czterdzieści trzy dni mija dzisiaj. Kogo chcesz wprowadzić w błąd, mnie?

Roześmiał się ironicznie.

- No więc?

- Leopold, ja... nie mogę.

- Co nie możesz? Jolanta, chyba znasz swoje obowiązki? Płacę za nie dostatecznie dobrze. Poza tym, przypominam ci o twoim ojcu. Tylko mnie zawdzięczasz, że nie poszedł na zieloną trawkę. I tylko mnie będziesz zawdzięczać, że kiedyś wyjdzie.

- Wiem, ja... - umilkła. Przełknęła łzy, próbowała się uśmiechnąć. Trudno, widocznie nie ma na to

rady, tak już musi być.

- W porządku? - spytał, widząc jej uśmiech. - Poprzednim razem spisałaś się bardzo dobrze - pochwalił. Wiedział, że nie należy przeciągać struny, nigdy mu się ten błąd nie zdarzał. A więc?

- We czwartek - szepnęła.

- Tak? - spojrzał na nią, zastanowił się przez chwilę. - Może być. Pamiętaj, że im później tym trudniej, tym większe niebezpieczeństwo i ryzyko. Ale ty jesteś przecież rozsądna dziewczynka, prawda?

Niespodziewanie wstał, obszedł biurko i stanął tuż przed nią. Widziała w półmroku pokoju jego piękne, fascynujące oczy. Już nie pamiętała, że ją uderzył. Przymknęła powieki. Poczuć jego chłodną, wąską dłoń na włosach, na skroni. Nic, tylko chociaż jedno dotknięcie - delikatne, rozpalające krew, pieszczotliwe... Tak, właśnie to.

Musnęła wargami palce, przesuwające się po jej oczach, brwiach, po szyi. Drżała z pragnienia, czekała na jedno słowo. Czekwała od wielu miesięcy.

Odsunął się, chrząknął lekko, sięgnął po papierosa.

- Idź teraz - rzucił, nie patrząc na nią. Myślami był już daleko.

Stała jeszcze przez chwilę, nieruchoma jak posąg, zastygła w oczekiwaniu. Potem odwróciła się i wyszła bez słowa. Leopold usiadł za biurkiem, sięgnął po słuchawkę.

*

- Trzeba wziąć pod ścisłą obserwację całą sprzedaż na bazarach, nie tylko tę odręczną, ale i na straganach. Dotychczas nie udało nam się ani razu nakryć kogoś, kto sprzedawałby rzeczy zabrane w tych wielkich kradzieżach. Cztery - major lekko uderzył dłonią w stół - aż cztery wielkie rabunki i ani śladu. Cóż to się dzieje, towarzysze?

- W dodatku, ten czwarty zdarzył się w niecały tydzień po trzecim - zauważył kapitan Biłek, inspektor z Komendy Głównej. - Źle pracują wasi ludzie, majorze.

Major Daniłowicz zmarszczył brwi. Takie uwagi wolno było wygłaszać tylko jemu samemu, a nie komuś spoza Komendy Miasta. Poczuł się zagrożony w swoich prawach i nie zaproponował Biłkowi kawy.

- Banda kieruje jeden, bardzo sprytny i chyba inteligentny człowiek - odezwał się Szczęsny, siedząc

na parapecie okiennym. - Dlatego do tej pory nie rozpoczęli sprzedaży zrabowanych rzeczy, albo też robią to daleko od Warszawy. Myślę jednak, że raczej to pierwsze.

- Co pierwsze? - skrzywił się Biłek. Uważał, że siedzenie podczas narady na parapecie jest niewłaściwe.

- Nie sprzedają. Siedzą cicho. Części rzeczy oczywiście używają, koszule, garnitury, zegarki i tak dalej. Trudno przecież zatrzymać kogoś na ulicy, złapać za rękaw i krzyknąć: panie, pan nosi moją koszulę. Tego nikt z poszkodowanych nie zrobi, nie chcąc się narażać na śmieszność.

- Mógłby dostać w zęby - zachichotał porucznik Kowalik i umilkł, spłoszony ostrym spojrzeniem Biłka.

- Czy wiecie już nareszcie, do kogo należą odciski palców znalezione w mieszkaniu adwokata Bielińskiego? - inspektor zwrócił się właśnie do porucznika, aby go pognębić do reszty.

- Nie wiemy - odparł za Kowalika Szczęsny. - To znaczy, wiemy, że nie należą do kilkunastu jego znajomych, którzy w ostatnich tygodniach byli w tym domu.

- Czyli, że nie wiecie - skonkludował Biłek z satysfakcją. Wyraźnie dążył do tego, aby śledztwo przejęła Komenda Główna.

Szczęśny patrzył na niego z zadumą. Wiedział, że major Daniłowicz nie wypuści tej sprawy z Pałacu Mostowskich, znał go zbyt dobrze i nie obawiał się groźnych spojrzeń inspektora. Działy one zresztą jedynie na Kowalika, który nie był do tego przyzwyczajony.

- Metoda eliminacji jest bardzo skuteczna - zauważył. - Linie papilarne, o które chodzi, są stosunkowo świeże i można być niemal pewnym, że zostawił je któryś z członków bandy. Dla pewności jednak wyeliminowaliśmy inne osoby. Aby mieć czyste sumienie...

Daniłowicz zerknął na mówiącego spod oka. Szczęśny był porywczy i łatwo mogło między tymi dwoma dojść do niepotrzebnych spięć w dyskusji.

- Zastanawia mnie jedno - zaczął z namysłem. - Jak to się stało, że nikt do tej pory nie zauważył złodziei wynoszących walizy czy worki z łupem, taszczących je do samochodu. Żaden dozorca, lokator wracający później do domu, nasze patrole? Nikt. Cztery kradzieże i nikt!

- To właśnie dowodzi, że szajką kieruje ktoś mądry, kto zawczasu wszystko dokładnie obmyślił, porozstawiał czujki, przygotował samochód. Ostatecznie nietrudno tak urządzić, aby przemknąć się z walizami po schodach do czekającego przed bramą samochodu - i nikt tego nie zauważy. Kwestia dwóch, trzech minut. Wiecie, jak nasze ulice są źle oświetlone, a o drugiej lub trzeciej rano nie ma na nich prawie nikogo. Kawiarnie zamykane są, niemal wszystkie, o dziesiątej wieczór, restauracje w godzinę później, a te dwa czy trzy nocne lokale... Ileż tam może być gości? Kropla w morzu wielkiej Warszawy, która chodzi spać z kurami.

Szczęśny machnął ręką, umilkł.

- Dobrze. Więc obstawiamy bazary, place targowe, komisje - major zanotował coś na planie miasta, który miał rozłożony przed sobą. - Wchodzimy w ścisły kontakt z Komendą Wojewódzką, niech zrobią to samo we wszystkich miejscowościach podwarszawskich i nieco dalej, zwłaszcza tam, gdzie jest ruch targowy. Co jeszcze? Porozumiem się z Komendą Ruchu Drogowego, żeby zwrócili uwagę na samochody. Oni mają dobre oko. Szkoda, że już się rozpoczął ruch turystyczny i urlopowy.

- Ba - roześmiał się Szczęsny. - Szajka natomiast wcale tego nie żałuje. Im to właśnie na rękę. Kto wie, czy nie jeżdżą ze znakami dyplomatycznymi albo z tablicą rejestracyjną obcego państwa.

- Właśnie dlatego trzeba, żeby ci z Ruchu wzmogli obserwację. Co dalej? No, oczywiście, meliny. Punkty nielegalnej sprzedaży alkoholu. Kawiarnie, wiadomo: „Kopciuszek”, „Parana”, „Roxana” - i inne, na peryferiach. Jakiś ślad musi się znaleźć.

Rozdział 3

- Więc co, panie inżynierze? Będziemy robić te wiertła?

Waligórski wzruszył lekko ramionami. Był śpiący.

- Moi drodzy, czy to ode mnie zależy? - odparł wymijająco. - O wszystkim przecież decyduje Zjednoczenie.

- Chciałbym zaznaczyć - wtrącił szef produkcji - że wiertła, które robi huta „Śląska”, są złe i nie nadają się na eksport. Mamy szansę. Odbiorcy zagraniczni ostatnio bardzo krytykowali obróbkę termiczną tych wiertel i geometrię ostrza.

- Ameryka? - rzucił któryś z techników.

- Nie wiem. Ale chyba tak. Więc dlatego mówię, że mamy szansę - powtórzył i spojrzał wyczekująco na Waligórskiego.

Inżynier bębnił palcami po stole, usiłując skupić uwagę na wiertłach. Tak, szef ma rację, to była szansa dla Zakładów. Wpakować się na rynek

zagraniczny i sprzątnąć hucie sprzed nosa produkcję eksportową.

- Musielibyśmy je wykonać w układzie calowym - mruknął. Potarł ręką czoło. - I według norm amerykańskich. To oczywiście nie jest problemem. Ale... - umilkł. Przeniósł wzrok na kierownika działu zaopatrzenia. Tamten zrozumiał.

- Opakowania - przypomniał i od razu wszyscy się zasepili.

- Opakowania - rozważał głośno inżynier. - To znaczy, według ich wymagań. Plastik, tektura, mocne kolory, estetyczny wygląd, te wszystkie szczegóły. Czy mamy ładny plastik?

Pytanie było retoryczne i nikt nie odpowiedział. Wiadomo było, że w magazynach central handlowych plastiku i innych tworzyw sztucznych jak na lekarstwo.

- A frezy? - spytał ktoś nieśmiało. - Piłkowe albo modułowe?

- No i co z tego? - odparł kierownik zaopatrzenia. - Frezy czy wiertła, jeden diabeł. Nie o narzędzia chodzi, ale o opakowania.

- Więc co? Rezygnujemy? - Szef produkcji tylko czekał na potwierdzenie, aby rozpocząć generalną

batalię o wiertła. Zawsze tak było. Waligórski wiedział o tym i postanowił zepsuć mu zabawę.

- Nie. Dlaczego? - odparł z dobrze udanym zdziwieniem. - Oczywiście, że zrobimy co się da, aby zdobyć materiał na opakowanie. Dyrektor naczelny wraca jutro z Belgii, przedstawię mu wasz projekt i poprę.

- No, to świetnie.

Szef był rozczarowany, przygotował sobie liczne argumenty, przemawiające za wiertłami. Pocieszył się, że może przydadzą się w Zjednoczeniu. Tam sprzeciwiali się wszystkiemu „z zasady”, o ile nie była to ich własna inicjatywa. Od lat trwała cicha walka pomiędzy Zjednoczeniem a Zakładami o to, kto pierwszy. Szef był zadowolony, że zupełnie przypadkowo dowiedział się o wiertłach.

- Jeszcze coś? - spytał Waligórski, patrząc pytająco po twarzach zebranych.

Nie. Nie było innych pytań ani nowych propozycji. Wstawali, przeciągając się nieznacznie, gasili niedopałki w pełnej już popielniczce, spoglądali na zegarki. Potem wychodzili, nie spiesząc się, pogadując jeszcze między sobą.

Sekretarka przyniosła pocztę, wzdychając jak zwykle nad nieporządkiem w pokoju. Otworzyła

okno, sprzątnęła popielniczkę, poprawiła na biurku kalendarz.

- Zrobić kawy? - zaproponowała, widząc zmęczoną twarz inżyniera.

- Nie, dziękuję - odparł z roztargnieniem. Przyszło mu na myśl, że być może dyrektor przywiezie z Belgii wzory opakowań i katalogi. Sięgnął nawet po słuchawkę, aby porozumieć się z kierownikiem zaopatrzenia, ale telefon go uprzedził.

- Słucham, Waligórski - powiedział i nagle zmieszał się. - Chwileczkę... - Popatrzył wymownie na sekretarkę, która zbierała po kątach porozrzucone papiery.

- Przecież wychodzę - oświadczyła z godnością, biorąc teczki pod pachę.

Począł, aż drzwi się za nią zamknęły, po czym rzekł do słuchawki: - Dzień dobry, Teresko... Bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś. Myślałem, że przyjdiesz wczoraj, czekałem w domu... Nie, przyjdź od razu do mnie, po co w tych kawiarniach. - Roześmiał się. - Oczywiście, kupię po drodze, u Gajewskiego... Rożki? Takie z żółtym kremem?... Jeżeli tylko będą, to wezmę... Dobrze, dziecino. Będę w domu najpóźniej o piątej. Pójdziemy do kina, a kolację zjemy gdzieś na mieście, tak będzie wygodniej. Musiałbym stanąć w

kolejce po szynkę i ser, a jestem zmęczony... Nie, bilety już mam... Zobacysz. Ładny film, wesoły... Dobrze. Pa, kochanie!

Odłożył słuchawkę i siedział przez chwilę bez ruchu, z przymkniętymi oczami. Od pewnego czasu nie poznawał siebie. To już nie była zwykła przygoda miłosna czy krótki, przelotny romans.

Teresa była inna. Zupełnie inna niż kobiety, z którymi dotychczas miał do czynienia. Jej okrutna nieraz, bezgraniczna szczerość, z jaką zwierzała mu się ze swoich poprzednich flirtów – nie powiedziała mu przy tym ani razu, że go kocha, nawet, że lubi – jej wymijające odpowiedzi, kiedy pytał o matkę, siostrę czy inne osoby rodziny... Jej tajemnicze znikanie nad ranem, kiedy zasnął (dotąd nie udało mu się wydostać z niej nawet nazwiska), wszystko to, prawem niezrozumiałego kontrastu sprawiało, że pożądał jej wciąż z tą samą siłą, klnąc czasem dzień, w którym ją poznał.

Znali się już kilka tygodni. Nigdy nie chciała wziąć od niego pieniędzy, przyjmowała jedynie drobne podarunki – pończochy, jakiś szalik jedwabny, broszkę, perfumy.

Byli parę razy w kinie i nocnych lokalach. Potem Teresa uznała, że daleko przyjemniej jest przyrzadzić

coś w domu. Kupował więc w garmazerniach sałatki, pasztet, szynkę, parzył w elektrycznym imbryku kawę, do której zawsze musiało być coś słodkiego.

- Jakaś ty jeszcze dziecinna - mówił, uśmiechając się, kiedy starannie zlizywała krem z łyżeczki albo wyjadała wiśnie z tortu węgierskiego. - Kiedy dorośniesz, Teresko?

Wzruszyła ramionami. Nie lata się liczyć. Znała młodsze od siebie, które były już dorosłymi kobietami.

Waligórski objął ją ramieniem i pocałował. Drugą ręką usiłował otworzyć drzwi. Był jednak niezupełnie trzeźwy, dlatego szło mu to trochę opornie. Klucz dwa razy upadł na słomiankę, w końcu Tereska, śmiejąc się, odebrała mu go i sama otworzyła.

Weszli, trzymając się w pół, rozweseleni dobrą kolacją, zwłaszcza butelką wina, do której inżynier skrycie przemycił nieco wódki.

- Aaa, spać! - Teresa przeciągnęła się, szeroko rozkładając ręce. - Coś ty tak stanął? Ducha zobaczyłeś? - zachichotała widząc, że zatrzymał się na progu pokoju. Podeszła bliżej. Pokój wyglądał, jak zwykle. Zasłony zaciągnięte, tapczan nieruszony. - Co ci się stało?

Waligórski spojrzał na nią z roztargnieniem.

- Zdawało mi się - rzekł, pocierając czoło - że tu ktoś był.

- Gdzie? W pokoju? Gdzieżby się schował. Zwariowałeś?

- Nie teraz, ale... zresztą, nie. Głupstwo. Idziesz pierwsza do łazienki?

- Tak. Ja szybko, raz dwa.

Zniknęła w łazience, ale po chwili usłyszał jej niespokojny głos:

- Jurek, nie widziałeś mojej bransolety? Była na półeczce, obok maszynki do golenia.

- Może spadła? Poszukaj, zaraz do... O, Boże!

Na krzyk, wyskoczyła z łazienki w bieliźnie i wbiegła do pokoju. Waligórski stał przed szafą, a jego oczy rozszerzały się coraz większym zdumieniem i przerażeniem. Szafa była zupełnie pusta.

- Gdzie twoje rzeczy? - zawołała Tereska. - Co tu się stało? Zawróciła do łazienki, zaczęła gorączkowo szukać na podłodze, potem bezradnie załamała rękę. - Jurek, nie ma! Ktoś zabrał bransoletę.

- To jeszcze mniejsza - odparł inżynier ponuro. - Bransoleta była tylko pozłacana. Ale zginęły wszystkie moje ubrania. I koszule, skarpety, płaszcz zimowy... Boże drogi, okradli mnie.

Rzucił się do biurka, odetchnął. Zamek był nie ruszony.

- No, przynajmniej pieniądze zostały. Czekał sprawdzę jednak.

Wyjął z kieszeni mały kluczyk, otworzył szuflady. Zbladł. Brakowało książeczki PKO, na której miał kilkadziesiąt tysięcy złotych. Gotówkę na szczęście trzymał przy sobie.

- Wzięli coś? - szepnęła dziewczyna.

- Książeczkę. Wiesz, to jeszcze nie najgorsze. Zaraz jutro rano pójde do centrali PKO, powiem jak było. Pieniądze nie przepadną. Może przy tej okazji złapie się złodzieja. Ale ubrania, bielizna...

- I buty - jęknęła Tereska. - W czym ty teraz będziesz chodził?

- Boso - mruknął. Usiadł ciężko na tapczanie, sięgnął po papierosa. Ręce mu drżały. Tereska podała zapalniczkę, siadła obok, objęła go w pół pocałowała.

- Biedny ty... Może w Zakładach dadzą ci jakąś pożyczkę?

- Każdą pożyczkę trzeba oddać, a z czego? Nie, no oczywiście, że będą tam chcieli mi pomóc, bo w PKO może to trochę potrwać. Mam jeszcze przy sobie około tysiąca złotych, do pierwszego wystarczy. Ale

tak chciałem ci kupić nową sukienkę... i mieliśmy razem wyjechać. Cholera, co za pech! Ale jak to się stało?

Zerwał się z tapczana, podbiegł do drzwi wyjściowych. Oglądał uważnie zamek z obu stron. Ani tu, ani w biurku nie znalazł żadnego śladu, żadnej świeżej rysy, świadczącej o użyciu ostrego narzędzia.

- Jak oni weszli? - mruknął, wracając do pokoju. - Drugich kluczy w domu nie ma. Ja moich nigdy nie zgubiłem. A jednak złodzieje weszli, używając podrobionych kluczy.

- Może mieli wytrych?

- Nie. Znam się trochę na zamkach, za okupacji robiłem takie różne tam... Trudno, trzeba zaraz zadzwonić.

- Dokąd?

- Po milicję. Nie myślisz chyba, że nie będę próbował odzyskać swoich rzeczy i twojej bransolety. Podaj mi książkę, leży na półce.

- Pogotowie Milicyjne... Jest. 6-24-24. - Nakręcił numer, czekał chwilę. - Pogotowie? Mówi inżynier Waligórski z ulicy Hożej sześć. Proszę pana, przed chwilą wróciłem do domu i zastałem mieszkanie okradzione... Tak... Nie wszystko, ale szafa z

ubraniami i bielizną jest pusta, wzięli książeczkę Pekao, bransoletę, obuwie... Dobrze, nie będę niczego ruszał... Mieszkania czternaście. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i westchnął głęboko.

- Jurek - Teresa wstała, sięgnęła po płaszcz - ja pójdę. Nie chcę, żeby mnie tu milicja zastała. Już strasznie późno i gotowi sobie o mnie różne rzeczy pomyśleć. Jeszcze powiedzą mamie albo siostrze...

- Dobrze, dziecko. Nie pomyślałem o tym. Idź, oczywiście. Pośpiesz się, bo oni zaraz tu będą. Do widzenia, kochanie - ucałował ją mocno, przytulił. - Nie martw się bransoletą. Jak wydostanę pieniądze z PKO kupię ci taką samą. Pa!

Odprowadził ją do drzwi, zamknął cicho, aby nie zbudzić sąsiadów, zbyt ciekawych, jak na jego gust. Potem wrócił do pokoju, usiadł w fotelu i czekał. Był zupełnie trzeźwy. Wypalił szybko papierosa, aby milicjanci nie poczuli od niego zapachu alkoholu.

*

Waligórski okazał wartownikowi wezwanie i ze zgnębioną twarzą zaczął wstępować na drugie piętro. Dobrze jeszcze, że nie przysłali tego papierka

do Zakładów, zamiast do domu. W myśli widział już podniecone, zdumione spojrzenia kolegów, sekretarki, woźnego, gońców... Oczywiście, wszyscy byliby poinformowani. Taka rzecz rozchodzi się natychmiast i nie pomoże tłumaczenie, że milicja z pewnością wzywa go w sprawie kradzieży. – Kto wie, co tam rzeczywiście było – szeptałoby do siebie. Ach, te kochane koleżanki... I koledzy.

Odnalazł drzwi z numerem dwieście dwanaście, zastukał. Usłyszał: – Proszę! – Wszedł. Kapitan Szczęsny wstał zza biurka i wyciągnął do niego rękę na powitanie, po czym wskazał krzeselko.

– Słucham – powiedział inżynier, nie mogąc się pozbyć przykrego uczucia, że oto za coś tam będą go przesłuchiwać, jak przestępcę.

Szczęsny przyglądał mu się przez chwilę, a potem rzekł:

– Wolałby pan rozmawiać ze mną w kawiarni? Możemy wyjść.

Waligórski rzucił mu nieufne spojrzenie. Słyszał i czytał przecież o nowoczesnych urządzeniach podczas przesłuchiwań, o bezszelestnym nagrywaniu każdej rozmowy na taśmę, o ukrytych tajemniczych kontaktach i guziczkach. Ile w tym wszystkim było prawdy?

Machnął lekceważąco ręką. W kawiarni? To chyba, jeszcze gorzej. Wprawdzie kapitan nie był w mundurze, ale ktoś go może znać. Nie, lepiej tu. Jak już wlaź do tej Komendy, to niech się to wszystko raz odbędzie i spokój. I tak mu rzeczy nie odnajdą.

- Nie, dlaczego? - odparł. - Możemy i tu. Ma pan dla mnie jakąś wiadomość?

W głosie jego nie było ożywienia ani nadziei. Od kradzieży upłynął przecież tydzień i nic.

- Mam.

Aż go poderwało z miejsca.

- Naprawdę? Znaleźliście coś?

- Nie jestem pewien. To tylko właśnie pan może rozstrzygnąć.

Szczesny wstał, podszedł do jednej z szaf i wyjął stamtąd szare, flanelowe spodnie wraz z trochę ciemniejszą marynarką. Jeszcze nie zdążył zapytać, kiedy Waligórski wyciągnął ręce i krzyknął:

- Moja marynarka! I spodnie, szyłem je u krawca Szymańskiego, na Wilczej, tam powinien być znak. A marynarka była raz w artystycznej cerowni. Na lewym rękawie, o, tu, widzi pan? - Tu jeszcze trochę widać pod światło. Czy tylko to... więcej rzeczy nie ma? - spytał niemal błagalnym tonem.

- Niestety - odparł kapitan, wracając na swoje miejsce. - Na razie tylko to. Więc rozpoznaje pan ubranie, jako swoje, skradzione z szafy w mieszkaniu?

- Tak, oczywiście. Dzięki Bogu, że choć to jedno. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie ono było?

- Na bazarze. To jednak wszystko, co mogę panu powiedzieć.

- Na bazarze... Różyckiego?

Szczęśny w milczeniu rozłożył ręce i uśmiechnął się lekko.

- Dlaczego robicie z tego taką tajemnicę? - zdziwił się inżynier. - Przecież ja mógłbym wam pomóc, mógłbym pochodzić po tym bazarze i rozpoznać swoje rzeczy. Przecież wasi wywiadowcy nie znają moich marynarek czy koszul. Ja mógłbym od razu...

- Właśnie chodzi o to, żeby nie. Dopiero by pan nam zepsuł robotę.

- Ja? - zawołał Waligórski z ogromnym zdziwieniem. - Panie, przecież nie jestem dzieckiem, umiem zachować się dyskretnie.

- Drogi inżynierze, czy pan naprawdę sądzi, że szajka, która pana okradła, nie zna doskonale pańskiej twarzy? Nie sądzi pan, że na jej widok

zwiną natychmiast manatki i wywędrują na drugi koniec bazaru albo nawet w ogóle zmienią miejsce transakcji?

- No, dobrze - powiedział inżynier nieco zdeprymowany. - A milicjanci? Myśli pan, że oni ich nie znają? Widziałem kiedyś taki film, co prawda zagraniczny - bodajże duński - w którym właściciel knajpy, były przestępca, przechowuje cały album ze zdjęciami i rysopisem policjantów i pokazuje go, w dowód zaufania, niektórym swoim znajomym. Czy nie myśli pan więc, że tamci znają również dobrze milicyjnych wywiadowców?

- I tak, i nie. Niewątpliwie, niektórzy z naszych ludzi są im już znani, choćby z wielokrotnych przesłuchiwań czy konfrontacji sądowych. Ale to są rzeczy nie do uniknięcia. W każdym razie, bardzo pana proszę nie przeprowadzać poszukiwań na własną rękę. Przestępcy... jednym słowem, może pana spotkać gorsza nieprzyjemność niż kradzież. Takie amatorskie dochodzenia często źle się kończą.

Waligórski spojrział na niego z niedowierzaniem, ale już nie zaproponował.

- Poprosiłem pana do Komendy nie tylko w sprawie ubrania - zaczął Szczęsny z namysłem. - Chciałbym zapytać, czy zdecyduje się pan jednak i

powie mi nazwisko tej znajomej, która była u pana w dzień kradzieży i której wówczas skradziono, zdaje się, bransoletę, prawda?

- Tak. Połączoną bransoletę, prezent ode mnie. Ale ja zdania nie zmieniałem, kapitanie.

- Szkoda. Wielka szkoda. Zmusza pan nas do szukania tej kobiety innymi drogami, a wówczas może jej być trochę nieprzyjemnie. Czy to mężatka, że pan ją tak osłania? Ostatecznie, żyjemy w dwudziestym wieku i kobieta ma prawo przecież odwiedzić kogoś w jego mieszkaniu. Ma pan trochę staroświeckie poglądy, inżynierze. Świat poszedł naprzód również i w dziedzinie konwenansów. Nie widzę nic strasznego w fakcie, że ludzie odwiedzają się wzajemnie, nawet jeżeli wizytę kobiety przyjmuje samotny mężczyzna. To właśnie pan robi z tego przede mną „wielki romans”, ukrywając wszystko niczym tajemnicę państwową. Gdyby nie to, sądziłbym po prostu, że wypiliście w mieszkaniu kawę i poszliście do kina... No, czy nie mam racji?

- Nie wiem - odparł Waligórski trochę bezradnie. Nie mógł przecież przyznać się, że nie zna nie tylko adresu, ale nawet nazwiska Tereski. Trudno, trzeba było brnąć dalej konsekwentnie, chociaż sam od dawna widział śmieszność swego postępowania.

- Bo pan przecież zna tę panią, prawda? - odezwał się nagle kapitan. Inżynier drgnął. Facet czyta w cudzych myślach.

- Oczywiście, że znam - mruknął niechętnie. - I właśnie dlatego nie chcę... Nie mówmy już o tym. Zaraz, co pan przedtem powiedział? Że będziecie jej szukać innymi drogami? Co to znaczy, kapitanie?

Szczęśny nie odpowiedział. Wstał, twarz miał surową, niemal odpychającą. Waligórski bezwiednie podniósł się również.

- Do widzenia panu - oficer ostentacyjnie wyciągnął rękę. - Proszę zabrać ubranie.

- Ależ, proszę pana...

- Dać panu coś do zawinięcia? Proszę, tu jest papier i sznurek.

- Nie chcę sznurka ani papieru - rzekł Waligórski gniewnie i usiadł z powrotem. - Niech mi pan odpowie na pytanie.

- Nie mam już nic do powiedzenia. Pan nie ma do mnie zaufania, więc... trudno. Do widzenia.

Znowu ten gest ręki, wyciągniętej w jego kierunku. I oschła twarz. Na pewno przestaną szukać skradzionych rzeczy, bo facet się rozgniewał. Cholera jasna.

- No, kiedy ja nie wiem! - wykrzyknął zrozpaczony. Było mu już wszystko jedno.

Szczęśny momentalnie znalazł się na krześle za biurkiem. Sięgnął po papierosy, poczęstował inżyniera. Zapalili, jak dwaj bliscy znajomi, spoglądając na siebie ukradkiem, ale już bez gniewu.

- Tak sądziłem - mruknął kapitan, przechylając się niebezpiecznie z krzesłem w tył. - Dawno pan ją zna?

- Dawno - odparł tamten z westchnieniem. - Parę miesięcy. Nie chciała powiedzieć, jak się nazywa ani gdzie mieszka.

- Niech pan ją jakoś określi.

- Cóż... młoda, chyba siedemnaście albo osiemnaście lat. Bardzo ładna. Złote, długie włosy.

- Gdzie pan ją poznał?

- W barze kawowym „Cafe Club”. Wie pan, na górze jest kawiarnia „Pod gwiazdami”, a na dole bar. I tak się to wszystko zaczęło... Przychodziła, odchodziła o świcie, kiedy jeszcze spałem.

- Przepraszam, dawał jej pan pieniądze?

- Chciałem, ale ona nigdy nie brała. Kupowałem jej jakieś drobiazgi, potem tę bransoletkę. Bardzo ją lubiła. Jak zobaczyła, że nie leży na półeczce w

łazience, to się rozpląkała. Chciałem jej kupić drugą taką samą, ale już nie było w sklepie.

- Nic o sobie nie opowiadała? O rodzinie, znajomych?

- Mówiła, że ma matkę i siostrę, która pracuje w fabryce.

- W jakiej fabryce? Pewnie pan nie wie.

- Nie wiem - przyznał inżynier ze skruchą. - Zdaje mi się, że mieszka na Woli, bo kilka razy, jak ją odprowadzałem z kina czy kawiarni i nie chciała do mnie wstąpić, to wsiadała na placu Konstytucji do szesnastki, w kierunku na Bema.

- Czy nie mówiła, że się uczy albo gdzieś pracuje?

- Ona właściwie nic nie robi. Obiecała mi, że od jesieni pójdzie do szkoły zawodowej, u nas, w Zakładach. Pomógłbym jej w wyrobieniu miejsca, bo z tym są pewne trudności.

- Tak... Czy widział pan ją może kiedyś w innym towarzystwie? W jakimś lokalu albo na ulicy?

- Nie. Nigdy. Wie pan, ona zdaje się wstydzi się trochę, że jej matka sprząta i pierze u ludzi, więc może dlatego nie chciała podać mi adresu, abym jej tam kiedy przypadkiem nie odwiedził.

- Jak się ubiera? Skromnie, elegancko, wulgarnie?

- Raczej skromnie. Kapitanie, właściwie po co panu te szczegóły? Przecież Teresa była wtedy razem ze mną, przez cały czas, więc nie mogła... a poza tym, ona też została poszkodowana. Co to panu da, jeżeli nawet ją znajdziecie?

- Być może, nic. Trudno z góry przewidzieć - odparł Szczęsny wymijająco.

*

Dochodziła druga nad ranem. Burza nadciągała powoli, nie śpiesząc się, błyskawice raz po raz przecinały horyzont, ale grzmot był jeszcze daleki, niebudzący strachu. Tylko wiatr rozkołysał już gałęzie drzew, obsypane świeżą zielenią i strącał na ziemię płatki kwitnących czereśni. Mimo wiatru było duszno.

W altanie ogródka działkowego ktoś spał. Pewnie w domu było mu za gorąco albo też bał się o los młodych warzyw, które na rynku można było teraz sprzedać za dobrą cenę. Spał jednak tak mocno, że nie słyszał czyichś ostrożnych kroków, skradających się obok altany, a potem pod drzewami. Młody, szczupły mężczyzna w rozpiętej wiatrówce i

sandałach typu „Arab” rzucił przelotne spojrzenie na śpiącego w altanie człowieka, minął ogródek i wyłonił się po chwili z rowu przy Alei Waszyngtona. Tam postać kilka minut, spojrzął na zegarek, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, ale natychmiast schował ją z powrotem.

Od strony Wisły nadjeżdżał biało-pomarańczowy wartburg. W świetle coraz częstszych błyskawic i palących się latarni widać było wyraźnie, że samochód sunie ostrożnie, hamując co jakiś czas, jak gdyby kogoś czy czegoś szukał dokoła.

Mężczyzna, stojący przy rowie, śledził przez kilka sekund te manewry, potem wyszedł na chodnik i machnął ręką, oglądając się przy tym na wszystkie strony.

Z wartburga dostrzeżono go widać, bo wóz przyśpieszył biegu i za chwilę zahamował tuż przy człowieku w wiatrówce. Uchyliły się drzwiczki, kierowca wyszedł na asfaltową jezdnię.

- Jestem, szefie - szepnął młody chłopak. - Nikt nie widział, jak szedłem.

- Dobrze - odparł przybyły, mężczyzna w wieku lat około trzydziestu kilku, średniego wzrostu. - Szedłeś przez ogródki, „Mały”?

- Tak jak szef kazał. Cicho, wszyscy śpią. Samochody też rzadko jeżdżą o tej godzinie.

- Dobrze - powtórzył kierowca wartburga. - Wiesz, po co cię wezwałem?

Chłopak uśmiechnął się. Miał mocne, zdrowe zęby i twarz pełną młodzieńczych pryszczycy. Odgarnął z czoła gęste, dawno nie strzyżone i nie myte włosy.

- Myślę, że jakaś robota - rzekł z zadowoleniem. - Szef chce, żeby tamci o tym nie wiedzieli i dlatego tylko ze mną... Szef wie, że u mnie żelazo-beton, jak w studnię.

- Tak. Wiem. Siądźmy tu, w tym rowie, pogadamy. Burza nadciąga, musimy się śpieszyć, bo nas zleje. Tak... Owszem, chcę tę robotę zatrzymać tylko dla nas dwóch. Nikt nie może o tym się dowiedzieć, rozumiesz?

Pryszczaty uderzył się mocno w piersi.

- Rozumiem, żebym tak skonał!

- Doskonale. - Mężczyzna uśmiechnął się końcami warg, ale był to zły uśmiech. - Przedtem musimy sobie jednak pewną rzecz wyjaśnić. Powiedz mi, „Mały”, gdzie są te szare flanelowe spodnie i ciemniejsza marynarka, które dostałeś po ostatniej robocie?

Chłopak poruszył się niespokojnie.

- A bo co, szefie?

- Uważam, że cię skrzywdziłem. Oddasz mi to ubranie, a dostaniesz w zamian dwa inne, tak samo z setki. Gdzie to masz?

- Ja... W domu. Schowane.

- W domu? Gdzie schowałeś?

- No... na strychu, jak zawsze. Nikt tam nie wypatrzy. To jest pod belką, taka dziura i tam... - zająknął się, umilkł. Jakieś niejasne podejrzenie zaczęło przenikać do jego nie bardzo bystrej głowy. Poczul chłodny dreszcz, a może to wiatr tak ziębił spocone plecy.

- Mówisz, że na strychu. Więc wytłumacz mi proszę, jak to się stało, że dwa dni temu ubranie, o którym mówię, znalazło się na Bazarze Różyckiego?

- Na bazarze?

- Tak, na Bazarze Różyckiego. Nie powinieneś powtarzać moich słów. Było u grubego Franka na straganie. I zostało wykupione przez wywiadowcę albo podstawionego przez glinę faceta. Przewieziono je, o ile się nie mylę, do Pałacu Mostowskich. Czy nic o tym wszystkim nie wiesz?

Ton głosu mówiącego był tak spokojny, niemal łagodny, że chłopak odparł z głębokim przekonaniem:

- Nie, szefie. Naprawdę nie wiem. Chyba, że ktoś mi rąbnął to ubranie ze strychu... Tak, chyba musieli mi rąbnąć.

- Widocznie twoja skrytka jest jednak nieodpowiednia. Ciekawe, wobec tego, dlaczego gruby Franek twierdzi, że przyniosłeś mu ubranie do domu i sprzedałeś za trzysta trzydzieści złotych i karton papierosów „Extra mocnych”. Tak, właśnie takich, jakie masz przy sobie, nie musisz się chwytać za kieszeń.

- Szefie, ja musiałem... Potrzebowałem moniaków.

- Po ostatniej robocie, oprócz ubrania, dostałeś jeszcze ode mnie półtora tysiąca złotych. Mało ci było?

- Niemało, ale... wydałem. Robiliśmy większy ochlaj, Rysiek miał imieniny. Szefie przysięgam, to już ostatni raz.

- Dziś, a raczej wczoraj przed południem, ten inżynierek z Hożej wchodził do Pałacu Mostowskich - ciągnął kierowca, jakby nie słysząc słów chłopaka.
- Jak myślisz „Mały”, po co on tam wchodził? Czy nie po to, aby odebrać swoje ubranie?

- Nie wiem - szepnął chłopak ze strachem. Nieznacznie odwrócił głowę w bok. Zdawało mu się, że w altanie ktoś się poruszył. Zmierzył oczami

odległość pomiędzy rowem a najbliższymi drzewami. Uda się?

- Sądzę, że właśnie po to - mówił dalej mężczyzna. - Ale nie musisz decydować się teraz na ucieczkę, „Mały”. Ja już znalazłem jedyne rozsądne wyjście z tej niebezpiecznej sytuacji. Bo pamiętasz przecież, że podstawowym obowiązkiem każdego z was jest zasada: nie sprzedajemy nic na warszawskich bazarach ani w warszawskich sklepach. W ogóle, wy nie sprzedajecie nic z rzeczy, uzyskanych przy robocie. Ja sam, i tylko ja, tym się zajmuję. Nie tutaj. Nie wiedziałeś o tym?

- Wiedziałem - mruknął chłopak, opuszczając głowę. - Szeffie, to już na pewno ostatni raz.

- Jestem o tym przekonany - rzekł mężczyzna.

Błysk otwieranego sprężynowego noża był tak nieuchwytny, że chłopak jeszcze się nie zorientował. Potem uczył okropny ból w krzyżu, gdzieś tuż koło karku. Zobaczył jeszcze, jak gałęzie pobliskich drzew pochyliły się gwałtownie ku ziemi. To wiatr zrywał się, coraz mocniejszy. Burza była tuż - tuż.

Człowiek, śpiący w altanie poruszył się, ocknął i usiadł na posłaniu. Usłyszał szum deszczu, więc zaniepokoił się, czy dach nie zacznie przeciekać. Wstał, narzucił nieprzemakalną pelerynę i wyszedł

przed altaną. Ziewając szeroko, przeciągnął się, spojrzał na ulicę. Jakiś samochód oddalał się szybko w kierunku Wisły.

Człowiek wsunął nogi w trepy, obejrzał dach. Był szczelny. Wzdrygnął się, bo piorun strzelił gdzieś blisko. Zaszumiały coraz gęstsze krople.

„Powypłukuje mi sałatę” – myślał człapiąc w stronę zagonków z warzywami. Nagle zatrzymał się jak wryty. Zdawało mu się, że ktoś jęknął. Przez parę chwil stał bez ruchu i słuchał. Potem wzruszył ramionami. – Pewnie koty – szepnął.

Obejrzał sałatę, tu i ówdzie powsadzał z powrotem leżące na ziemi, jasnozielone pęczki liści, raz jeszcze stanął i nasłuchiwał. Ale to był tylko deszcz i szelest gałęzi, szarpanych przez wiatr.

Wrócił do altany, zrzucił mokrą pelerynę i wsunął się pod koc. Przedtem spojrzał na zegarek, wiszący obok posłania na długim łańcuszku. Była za piętnaście trzecia. Burza powoli oddalała się. Rano zabłysło już słońce.

*

Gruby Franek nie lubił takich widoków. Zaraz go mdliło. Spojrzał tylko przelotnie i szybko odwrócił głowę.

- Będę rzygał - ostrzegał stojących obok milicjantów. Odsunęli się trochę, na wszelki wypadek.

- Ten sam? - spytał kapitan Szczęsny niecierpliwie.

- Ten - sapnął gruby Franek. Splunął, otarł usta rękawem szarego swetra. Odważył się spojrzeć jeszcze raz. - Na pewno on. Nawet tak samo ubrany.

- Zna go pan?

- Gdzie tam! - wzruszył ramionami. - Drugi raz go widzę. Ale ja mam dobre oko. On chyba nie był z Pragi.

- Żadnych dokumentów? - zwrócił się kapitan do milicjantów, którzy znaleźli zwłoki.

- Nic, kapitanie. Śladu papierka. Nawet biletu tramwajowego. Tylko paczka papierosów „Extra mocne”. No i to... - plutonowy pokazał, leżący na chusteczce, krótki nóż sprężynowy. - Miał w kieszeni spodni.

- Nie zdążył - mruknął gruby Franek. Szczęsny zastanowił się chwilę.

- Sądzi pan, że nie zdążył go wyciągnąć, aby się obronić?

- No! Taki chłopak by się nie bronił? Tamten musiał być chytrzejszy. Zaskoczył go. Pewnie z tyłu, bo w kark... Mogę już iść? - spytał czując, że znów go „wzbiera”.

- Tak. W razie czego dostanie pan wezwanie.

Gruby Franek odszedł, kołysząc się jak kaczka na swych masywnych ciężkich udach. Milicjanci rozpędzili gromadkę dzieci, które przybiegły z pobliskich domów, dowiedziawszy się, że w ogródkach działkowych znaleziono trupa. Taka sensacja nie zdarzała się często.

Nagle spośród gapowiczów wysunął się człowiek niemłody już, łysawy, o twarzy spalonej słońcem, rumianej. Podszedł do funkcjonariuszy i stanął, jakby chcąc, żeby go zapytali, o co chodzi. Czekał.

- Zna pan zabitego? - spytał Szczęsny, zauważywszy ten manewr.

- Nie. Ale ja tej nocy spałem w altanie. W swoim ogródku - pokazał ręką na pobliską działkę. - Zdawało mi się, że słyszałem w nocy jęk. Może to... - spojrzał na martwą, jakby kamienną twarz chłopca, leżącego na skraju rowu. Westchnął. - Gdybym

zaczął szukać, może bym mu pomógł. Mógł jeszcze wtedy żyć, nie?

- Niech pan opowie dokładnie, jak to było.

- Zbudziłem się, kiedy nadchodziła burza. Właściwie już przyszła, deszcz lał. Bałem się, że mi wybijie flance sałaty. Wstałem i wyszedłem na dwór. Właśnie wtedy usłyszałem coś jakby jęk. Nawet czekałem parę minut, czy się nie powtórzy, ale nie. Więc pomyślałem, że koty. Tutaj na działkach jest ich dużo, nocą polują na ptaki.

- O której godzinie to było?

- Jak wróciłem potem do altany, spojrzałem na zegarek. Była za kwadrans trzecia. Później zasnąłem. Gdybym przypuszczał...

- Czy nie pamięta pan żadnego innego szczegółu? Nie widział pan nikogo na ulicy?

- Nie. Słyszałem tylko samochód. Jechał w stronę Warszawy. Znaczący, w stronę Wisły.

- Widział pan ten samochód?

- Nie. Nie zwracałem uwagi, bo po co? Coraz to jakiś samochód tędy przejeżdża.

- I już więcej żadnego jęku pan nie słyszał?

- Już więcej nic. Pomyślałem sobie przed chwilą, że może panom przyda się godzina, o której to się

mogło stać. Chociaż, prawdę mówiąc to on mógł tutaj leżeć i jęczeć dosyć długo, a ja nie słyszałem, bom spał. Sen mam twardy, dużo na powietrzu jestem. Gdybym wiedział... – powtórzył i umilkł.

- Tak. No, trudno. W każdym razie, dziękuję panu. Poproszę tylko o nazwisko i adres, gdybyśmy pana jeszcze potrzebowali.

Działkowicz podał swój dowód osobisty. Plutonowy zajął się spisywaniem personaliów, a Szczęsny raz jeszcze w zamyśleniu pochylił się nad martwym ciałem. Cios był mistrzowski, zadany przez kogoś, obdarzonego nie tylko dużą siłą fizyczną, ale posiadającego również znajomość anatomii. Oczywiście noża, którym cios zadano, nie było.

- Fachowa robota - zauważył sierżant Tuczyński. Spojrzał na drogę. - Przyjechali z medycyny sądowej.

Dwóch mężczyzn z noszami precyzyjnie się do zwłok i zabrało do swojej roboty. Po chwili samochód z trzema żywymi ludźmi i jednym martwym odjechał, nie śpiesząc się, w kierunku centrum miasta.

Milicjanci z ekipy wsiadali również do wozu technicznego Komendy. Tutaj nie mieli już nic do roboty. Szczęsny zabrał się z nimi, Tuczyński został jeszcze, bo wśród gromady ciekawych dojrzał dawno niewidzianego znajomego.

Około południa kapitan wszedł do gabinetu naczelnika wydziału, majora Daniłowicza, i bezapelacyjnym tonem zażądał kawy. Był bez śniadania.

- Wystarczą ci moje kanapki? - zaproponował major z niebezpieczną uprzejmością. Szczęsny spojrzał na niego spode łba.

- Może - odparł, sięgając po bułkę. - Jesteś zły? Biłek rozrabia?

- Mhm. Ma rację. Czuję w kościach, że lada chwila będzie deszcz i następna kradzież. Szczęsny, bój się Boga, co się z tobą dzieje? Mam ci odebrać sprawę i z pokorną miną przekazać na Ksawerów?

- Za nic. Stefan, przecież nie siedzę za biurkiem. Trafiliśmy na grubego Franka, Waligórski odebrał swoje ubranie. To był jeden ślad. Co prawda, już nie żyje.

- Co pleciesz! - zirytował się Daniłowicz. - Waligórski nie żyje?

- Nasz ślad nie żyje. Chłopak, który sprzedał grubemu Frankowi ubranie. Ten zabity w ogródkach działkowych przy Waszyngtona, to właśnie on. Nazywa się Kazimierz Suchocki.

- Więc jednak. Znaleźliście nóż?

- Tak, przy nim, ale to inny. Ten, którym go zabito, został przez kogoś uprzednio zabrany. Mówię: przez kogoś, bo mógł zabrać zabójca, a mógł też porzucić go przy trupie i ktoś inny, przechodzący aleją, wziął sobie na pamiątkę. Przynosi szczęście, jak sznurek wisielca. Nie zwalaj na mnie, Stefan, jestem wściekły. Myślisz, że mnie to nie dojadło? Pięć dużych kradzieży. Cholera by to wzięła. W dodatku wczoraj inżynier przyznał się, i chyba powiedział prawdę, że nie zna ani nazwiska, ani adresu tej swojej znajomej. Diabli nadali z facetami. Przyuwają sobie dziewczynkę, sprowadzą do domu, wodzą się z nią parę miesięcy i nawet nie wiedzą, kto zacz. A potem - dom obrabowany, milicja ratuj.

- Nieostrożny gość - przyznał major. - I popatrz: inżynier, na dużym stanowisku, czterdziestka mu dawno minęła, zamiast ożenić się z jaką uczciwą dziewczyną, poluje po barach czy knajpach na tajemnicze nieznajome. Pokazywałeś mu fotografie z sekcji do walki z nierzędem?

- Tak. Przytaskałem mu do domu cały album, żeby się nie fatygował do Komendy, bo się wstydzi.

- Żartujesz? - major wybuchnął śmiechem. - Przecież nie ma na czole wypisane, po co tutaj przychodzi!

- Ale on się wstydzi z zasady. Nie przywykł, rozumiesz?

- Nie. I co, naturalnie nikogo nie rozpoznał?

- Owszem - odparł Szczęsny z uśmiechem. - Poznał dwie swoje dawne znajome. Wiesz, rudą Zośkę i Hankę, co zawsze siedzą w barze kawowym naprzeciwko „Grand Hotelu”. Speszył się biedak, chciał ukryć te znajomości, ale gdzie tam jemu do ukrywania. Ma twarz, z której czyta się jak z książki. A tej jego Tereski w albumie nie było.

- Może to rzeczywiście porządna dziewczyna. Kochają się czy jak?

- Czort go wie. Pytałem, czy go jeszcze odwiedza, ale nie dał mi wyraźnej odpowiedzi. Chociaż, poczekaj... to by mogło być ważne. Jeżeli przestała przychodzić, to znaczy, że swoją rolę spełniła i skończyła się wielka miłość.

- Możliwe. Masz jej rysopis?

- E, tam. Do... - Szczęsny wyraził się brzydko - z takim rysopisem. Ładna, młoda, blondynka. Co dla jednego ładne, dla drugiego nie. A blondynek teraz na kopy.

- Założyłeś u niego obserwację?

- Oczywiście, od wczoraj. To znaczy, odkąd mi wyznał w wielkim pomieszaniu, że zna jej wszystkie

szczegóły osobiste z wyjątkiem nazwiska i adresu. Nasz pracownik naprawia tam schody. Są mocno popękane, można się tym bawić przez kilka tygodni. W nocy będzie ktoś po prostu obserwował dom. Jeżeli dziewczyna o podobnym rysopisie nie przyjdzie przez dłuższy czas, to znaczy, że miałem rację. Waligórski mówił, że normalnie widywał się z nią kilka razy w tygodnia.

- Dobrze. A jeżeli przyjdzie?

- To trzeba będzie zaobserwować, gdzie mieszka i co to w ogóle za środowisko. Może ją zna ktoś w komendzie dzielnicowej, może sąsiedzi coś niecoś powiedzą. To jest zresztą tylko jeden z kierunków śledztwa. Mecenasowa Bielińska od tygodnia przesiaduje w kawiarni „Nowy Świat”, bardzo zdenerwowana. Wciąż sama, wciąż na kogoś wyraźnie czeka. To drugi kierunek obserwacji. I w jednym, i w drugim przypadku złodzieje weszli przy pomocy dorobionych kluczy. Musieli chyba mieć pomoc od któregoś z lokatorów. Zwłaszcza zwróć uwagę, że do biurka inżyniera też szajka miała kluczyk, bo nie znalazłem śladu włamania.

- No, dobrze - powiedział major niezdecydowanie.

- Ale jeżeli Teresa byłaby tą, która w jakiś sposób ułatwiła szajce rabunek, to przecież wątpię, aby

zaprzyjaźniła się przedtem do tego stopnia z Bielińską, żeby tamta pożyczała jej swoje klucze. Zresztą po co? Te dwie sprawy mi nie pasują do siebie. W mieszkaniu Bielińskich jest gosposia i pan domu. Któreś z nich zauważyłoby obcą dziewczynę, która wchodzi do mieszkania, otwierając sobie sama drzwi. A jeżeli odpada wariant: „Teresa – wabik”, to w takim razie sprawcy czy sprawców należy szukać zupełnie gdzie indziej.

– Tak czy inaczej, musimy obserwować – mruknął Szczęsny, dopijając kawę. – A jeżeli jedno i drugie się nie uda, zrobimy coś innego.

Rozdział 4

Z baru obok kwaciarni na placu Konstytucji wyszedł młody chłopak, chwiejąc się lekko na nogach. Miał na sobie czarny, luźny sweter i czarne spodnie. Okrągła, dziecinna jeszcze twarz o miękkich rysach, była zaczerwieniona, białka niebieskich oczu przekrwione.

Spojrzał bezmyślnie na stojącą przy kwaciarni dziewczynę w zielonym, popelinowym płaszczu, z dużą torbą w kolorowe słonie. Uśmiechnął się do niej kątami warg. Właściwie było to raczej skrzywienie. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Wiesz, wlałem się trochę - zwierzył jej się, pochylając do ucha.

- Niech pan nie zaczepia nieznajomych kobiet - powiedziała ironicznie. - Najpierw trzeba się przedstawić. A poza tym, nie mam czasu.

- Wlałem się - powtórzył. - Wiesz?

- Widzę - odparła chłodno.

- Co tu robisz?

- Co cię obchodzi?

- Czekasz na frajera? Mogę iść z tobą - zaofiarował się wspaniałomyślnie. - Nie bój się, mam więcej forsy niż potrafisz policzyć. - Roześmiał się, obejrzał. Dokoła nich było pusto. - Ja sam wczoraj nie potrafiłem. Do osiemdziesiątki dojechałem, a dalej ani rusz. Dwa razy liczyłem... nie, trzy razy. A może dwa? - zamyślił się. Podniósł głowę w górę i patrzył w niebo. Noc była ciemna, bezgwiezdna, ciepła. - Trzy razy i nie policzyłem. Wyobrażasz sobie? Jak ci na imię?

- Co ci do tego? Idź spać, wytrzeźwiejesz. - Nie brała poważnie tego, co powiedział o pieniądzach. Nie wyglądał na bogacza. Odwróciła się i zaczęła iść w stronę Koszykowej. Ale chłopiec nie zważał, szedł obok niej i mówił bez przerwy. Mimo woli zaczęła słuchać uważniej.

- ... i zapaliłem światło, uważasz, wcale się nie bałem, że ktoś wejdzie. Patrzą sobie dokoła, patrzą, no, nic takiego. Pokój jak pokój. Szafa stała obok drzwi, taka bieliźniarka. - Zniżył głos do szeptu, mimo iż na ulicy nie było przechodniów. - Otwarta.

- Co otwarte?

- No, ta szafa. I takie pudełko tam stało, tekturowe, zwyczajne. Po mydle czy coś takiego, bo jeszcze pachniało. A w pudełku właśnie to wszystko leżało. Zabrałem, wiesz, tak wygarnąłem i pakuję do kieszeni, jednej, drugiej, za rękaw, pod sweter, ale ciągle jeszcze leżą. Rozsypało się trochę, pewnie parę tysięcy. Już tego nie zbierałem, nie było gdzie utknąć. Postawiłem pudełko porządnie, jak było, zamknąłem szafę, zgasilem światło. I wyszedłem przez ten balkon, tak, jak przyszedłem.

- Skoczyłeś z balkonu? - zaczynała coś rozumieć.

- No, to był parter. Wysoki parter, nic wielkiego. Po drodze do domu chyba też trochę pogubiłem. Za dużo tego było. W domu poszedłem od razu na górę, rozumiesz, tam jest taki stryszek. Mogę ci wszystko mówić, bo i tak nie wiesz, gdzie mieszkam ani jak się nazywam - roześmiał się znowu. To dobrze. - Przystanął, odetchnął głęboko, przeciągnął się. - Od wczoraj czułem, że muszę komuś o tym powiedzieć. Wiesz, to mi tak siedziało, jak ość w gardle, ani przełknąć, ani wypluć. Teraz lepiej. Na stryszku przeliczyłem. Osiemdziesiąt tysięcy. A może siedemdziesiąt?... - zastanowił się.

- Komuś to zabrał? Nie stójmy tak, chodź dalej.

- A czy ja wiem? - parsknął śmiechem. - Chciałem rąbnąć pięćsetkę, tyle mi było trzeba. Szedłem, sobie tą ulicą, nie powiem ci nigdy, jaką. Patrzą, wysoki parter, ciemno, balkon uchylony. Wiesz, tak mi serce zaczęło mocno bić. I ręce, jakby zaswędziały. Wszedłem na podwórze, patrzą, policzyłem okna, tam musiała być kuchnia - ciemno. Dziewiąta wieczór, chyba niemożliwe, żeby spali. Pewnie wyszli. I ten balkon uchylony... Najbliższa latarnia o jakie trzydzieści metrów. Balkon to frajer, na gimnastyce w szkole lepsze kawałki musieliśmy odstawiać. Wszedłem. Dalej już ci mówiłem.

- I co teraz zrobisz z tymi pieniędzmi?

- Czy ja wiem? Żebym miał tysiąc albo dwa, to bym lepiej wiedział. No, niech leżą. Pięćsetkę dałem kumplom, bo się składamy na motor. Sweter sobie kupiłem, buty, w kinie byłem, w restauracji. Na coś się w końcu wyda.

- A twoi rodzice? - spytała ostrożnie. Już wiedziała, co ma robić.

- Stary na delegacji w Wietnamie. Na dwa lata pojechał. Matki... matka nie żyje. W domu jest tylko ciotka, wiesz, przygłucha i kiepsko widzi. Stary miał się żenić z taką jedną, nawet całkiem fajna babka,

ale się rozeszło po kościach, bo ona do tego Wietnamu nie chciała jechać.

- Dlaczego?

- Nie wiem dobrze. Tam podobno ameby się dostaje, wody pić nie można.

- Co to ameby?

- Jakieś robaki. - Ziewnął szeroko, zatrzymał się. - Ty, gdzie my właściwie idziemy?

Byli już na końcu Koszykowej. Zawrócili znowu w stronę placu Konstytucji. Dziewczyna nad czymś rozmyślała.

- Jak ci na imię? - spytała.

- Andrzej. A tobie?

- Barbara.

- Fajna dziewczyna z ciebie. Dawno tak chodzisz?

Zrozumiała, co miał na myśli. Uśmiechnęła się lekko.

- Niedawno. Podobasz mi się, chcesz ze mną pójść? Tu niedaleko jest taka piwnica, właściwie stara kotłownia po centralnym ogrzewaniu. Tam dozorca wpuszcza, tylko trzeba mu dychę dać. Ale ty przecież masz? - roześmiała się. - Bo u mnie w domu nie bardzo... rodzina i w ogóle. Chcesz?

Przyjrzał jej się z uwagą. Była niebrzydka, miała ciemne włosy, ostrzyżone krótko na karku i nad czołem w grzywkę, prosty nosek, podmalowane oczy i rzęsy.

- Ciotka pewnie już śpi - rzekł z namysłem. - Wiesz, ona jak co, to zaraz do ojca pisze i potem stary mi pieniędzy nie wypłaca. Bo on tu w kraju bierze drugą pensję. Ciotka podejmuje, mnie nie wolno. Więc jak jest o coś zła, to pisze do starego i potem mi forsy nie daje. Zresztą, pies ją drapał, teraz mam więcej niż stary przez cały rok zarobi. Chodźmy do tej piwnicy.

Na Koszykowej weszli do bramy, rozglądając się ostrożnie dokoła. W podwórzu, za rusztowaniami jakiejś budowy, Andrzej zobaczył czerniejący w mroku otwór. Stało przed nim kilku mężczyzn. Zatrzymali się na chwilę, dziewczyna nasłuchiwała.

- ... a on do mnie: cholerna pitruwa, bez żaby nie poradzę. Kusz miał być po pałam, meta jak lala, wszystko fertig, Jurek na świecy moknie, a ten cholerny konus ledwie na robotę wyszedł, już się łamie. Mówię ci, aż mnie zemgliło.

- Niefart, co?

- Jużem siebie widział, jak garuję w mentowni na sękach. Ale Jurek, to jest ostry facet, u niego raz-dwa

i po wszystkim. Zobaczył, że ja do tamtego z dobrym słowem, wiesz, ja jestem miękki, to Jurek jego po twarzyczce, po twarzyczce i: nie grypsuj, mówi, bo się zdenerwuję, mówi, to bym ci większą przykrość zrobił. Patrzą, konus leży i za mordę się trzyma. To my z Jurkiem we dwóch...

Urwał, obejrzał się. Barbara pociągnęła za sobą chłopca, podeszli do rozmawiających.

- No i jak? - rzucił jeden, przypatrując się Andrzejowi uważnie. Drugi przysunął się bliżej, poczuł jego oddech na karku.

- Tak sobie - odparła. - Koleś jest ze mną. Chawiry szukamy. Ciec dziś jaki?

- Ten sam. Dychę bierze. Idź tam - pokazał drzwi do piwnicy. - Czeka! - złapał ją nagle za ramię. - A ten szczeniak, to co?

- Zawiadam szefa.

Otworzył usta ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział. Drugi gwizdnął przeciągle.

- Masz fart - rzekł z podziwem. - Patyki polecą. Słuchaj, ale żebyś nie oberwał, bo ci mordę skuję na pasztet.

Wzruszyła ramionami.

- Przecież mówię wyraźnie: zadzwoń do szefa. I już, szkoda mego gadania. Chodź - ujęła chłopca za

rękaw swetra, pociągnęła w stronę piwnicy.

Namacalał palcami futrynę jakichś drzwi, były otwarte, pchnęła. Prowadziły w głąb. Z daleka przebłyskiwało nikiłe światło. Nagle koło nich ktoś się poruszył. Andrzej drgnął przestraszony. Przed jego oczami mignęła ręka, wionęło zapachem starego kozucha i tytoniu. Zrozumiał, wetknął w łapę dwudziestozłotówkę. Łapa stuknęła, kozuch odsunął się, przepuszczając ich dalej.

Na końcu piwnicznego korytarza były jeszcze dwa schodki w dół, a potem uchylone drzwi, zza których płynęła jasna smuga światła. Dziewczyna pchnęła je ostrożnie, aby nie uderzyć kogoś w plecy. Weszli.

Tak, musiała tu być kiedyś kotłownia centralnego ogrzewania - myślał, rozglądając się; wskazywały na to rury, przebiegające wzdłuż ścian i ślady po wymontowanych kotłach. Teraz kamienna podłoga zasłana była słomą i kocami.

Naliczył pobieżnie około piętnastu chłopców i dziewcząt, może zresztą było ich więcej. Leżeli lub siedzieli, oparci o mur, kilku przy mocnej elektrycznej latarce grało w karty, przebijając silnie i sprzecząc się co chwila. Jakaś dziewczyna w niebieskim golfie i błyszczących koralach, przytulona do mężczyzny we flanelowej czerwonej koszuli z

podwiniętymi rękawami, nuciła zachrypniętym głosem „Malowaną lalę”. Inna, dużo młodsza, pociągała rzęsy tuszem z pudełka, do którego popluwała, kiedy tusz zaczynał wysychać. Dwie spały pod samą ścianą, odwrócone plecami do drzwi. Chłopak w przepoconym swetrze tańczył, na odgarniętym ze słomy skrawku kamiennej podłogi, coś w rodzaju twista. Inny przygrywał mu z cicha na akordeonie.

Na wchodzących nikt nie zwrócił uwagi. Tak było przyjęte. Każdy, kto zapłacił, miał prawo tu nocować, nikogo nie obchodziło, skąd przyszedł i po co. Za pytanie o takie i inne, osobiste sprawy można było dostać w zęby, albo co gorszego.

Usiedli z boku, dziewczyna poszeptała z jednym z grających w karty, ten po krótkim wahaniu podał jej nierozpieczętowaną butelkę. Barbara wprawnym ruchem wybiła korek, upiła kilka łyków i podsunęła chłopcu.

- Pij. Na trzeźwo kochanie psu na budę, nic nie warte. Chcesz szluga?

Wypił, zakrztusił się, pociągnął jeszcze raz, aby nie myślała, że z niego nowicjusz w picciu.

- Czego? - spytał zdziwiony.

- Szluga chcesz? No, papierosa - wyjęła z torebki paczkę „Giewontów”. Potrząsnęła głową. Szumiało mu w niej, jak kiedyś podczas grypy.

- Nie jarzysz? - zdziwiła się. Zapaliła sama, roześmiała się.

- Czego się śmiejesz? Płuca mam słabe.

Wzruszyła ramionami. Takie rzeczy jej nie obchodziły, o zdrowiu się tutaj nie mówiło. Lekko, jakby od niechcienia dotknęła jego twarzy, przesunęła dłoń na ramię.

- Ładny jesteś - mruknęła. Objął ją ramieniem, przycisnął, zaczął całować. Alkohol robił swoje. Trochę go krępowali ci inni, zwłaszcza dziewczyny. Ale kiedy jej o tym powiedział, wybuchnęła takim śmiechem, że zły, przycisnął jej usta dłonią. Więc dobrze, jeżeli ona chce...

*

Ktoś przebiegł cicho jak kot schodami, przystanął koło niej. Poczwała zapach wódki. To był ten chudy, wysoki z podwórza, „Cwaniak”. Siadł obok, przysunął usta do jej ucha, zaszeptał.

Ostrożnie, powoli wyciągnęła rękę spod pleców Andrzeja, który spał z półotwartymi ustami, oddychając głęboko. Oboje przyglądali mu się chwilę uważnie.

- Kima jak noworodek - chudy machnął lekceważąco ręką. - Idź, szef nie lubi czekać. Ja przy nim posiedzę.

Zerknęła znowu na twarz chłopca, potem podniosła się cicho i wyszła na podwórze. Obciągnęła sukienkę, uczesała się, zapięła płaszcz, umalowała usta. Spojrzała jeszcze raz krytycznym okiem w lusterko. Dobrze, można iść.

Na ulicy rozejrzała się w obie strony, poczekała chwilę. Było pusto, z rzadka przemknął jakiś samochód lub spóźniony przechodzień. Na placu Konstytucji przed barem „Kandelabry” dojrzała to, o co jej chodziło. Podeszła jakby od niechcenia, a kiedy drzwiczki pomarańczowobiałego wartburga uchyliły się, wskoczyła lekko na siedzenie obok kierowcy. Wóz ruszył z wolna, zakręcił i pomknął w stronę Mokotowa.

- Mówić? - spytała niespokojnie, kiedy milczenie kierowcy przedłużało się. Rzuciła na niego krótkie, ostrożne spojrzenie. Kątem oka widziała ostry profil z trochę ściętym nosem i gładkie, ciemne włosy.

Nigdy nie było wiadomo, co robi i w jakim jest humorze.

- Za chwilę - odparł, kładąc samochód na wirażu. Wjechali w Puławską, minęli remizę i kino „Moskwa”. Wtedy zwolnił i powiedział, nie odwracając do niej głowy: - Opowiadaj.

- Więc tak. Szefie, on jest zupełnie „zielony”, chodzi do szkoły i ma ojca za granicą, a w domu starą i głuchą ciotkę. Potrzebował pół patyka na motor, bo się składają z kolegami. Szedł jakąś ulicą zobaczył...

- Kiedy to było?

- Mówi, że we wtorek. Dziś mamy piątek.

- Dalej.

- Więc zobaczył na parterze uchylone drzwi od balkonu i ciemno w oknach. Wlazł tam, w pokoju znalazł otwartą szafę, a w szafie pudełko tekturowe z grubszą forszą. Mówi że tam było z osiemdziesiąt tysięcy albo i więcej, nie mógł policzyć. Zabrał, trochę mu tam pospadało na podłogę, to nawet nie zbierał bo już nie miał gdzie chować. Wyniósł do domu, wsadził do jakiejś skrytki na strychu. Szefie, on tam ma prawie wszystko, bo mówił, że kupił tylko sweter i buty.

- Co jeszcze ci powiedział? Podał jakieś szczegóły?

- Jego stary jest na delegacji w Wietnamie, matka nie żyje. Jak byliśmy już w piwnicy, powiedział coś tak... zaraz, niech sobie przypomnę - zamyśliła się. - Że to było blisko od jego domu.

- Jak to powiedział? Przypomnij sobie dokładnie.

- Bo spytałam się, jak już był dobrze przyprawiony, czy się nie bał iść tak przez ulice ze skradzioną forszą. I że pewnie długo szedł. Na to on się zaśmiał i odparł, że gdzieś tam, to było na sąsiedniej ulicy. Aha, to jakaś krótka ulica. I na niej są same nowe domy. Osiedle, czy coś takiego.

- Dobrze.

- Co dobrze, szefie? - odważyła się zapytać.

- Dobrze się sprawiłaś. Dostaniesz z tego podwójny zarobek.

- Dziękuję, szefie.

- A teraz słuchaj, Barbara. Wysadzę cię przed domem „Długiego” i „Zbyszka”, oni mieszkają w jednej kamienicy. Postarasz się ich jakoś z domu wyciągnąć, ja poczekam sto metrów dalej. Najpierw idź do „Zbyszka”, jego matka jest teraz na urlopie i nie ma jej w Warszawie. „Zbyszek” niech jakoś

zabierze z mieszkania „Długiego”. Niech coś wymyśli, ale rozsądnego. I pośpieszcie się.

- Dobrze, szefie.

Długo musiała dzwonić do drzwi, zanim „Zbyszek” - rozczochrany i tylko w slipach - otworzył, klnąc nieprzytomnie.

- Na mózg ci upadło? - mruknął. - Wiesz, która godzina?

- Nie. Wiem tylko, że szef czeka na ciebie w samochodzie i śpieszy się. Masz zaraz iść i zabrać ze sobą „Długiego”. Ja będę na dole.

„Zbyszek” momentalnie otrzeźwiał i utkwiał w niej przestraszone oczy.

- Barbara, jak ja teraz wyciągnę go z domu? - jęknął, opierając się o framugę i trąc zaspane oczy. - Jego familia cała w komplecie. Przecież nie pójdę tam o wpół do pierwszej w nocy i nie powiem po prostu: Chodź na spacer. On ma tatę wysokiego urzędnika, należy mnie i tyle.

- Wymyśl coś. Czekał, wejdę i może co razem wykombinujemy.

Usiedli w kuchni, po chwili „Zbyszek” zerwał się, przemył oczy wodą z kranu i wyszedł, aby się ubrać. Barbara tymczasem rozmyślała gorączkowo nad

sposobem wydobycia „Długiego” spod rodzinnej opieki.

- Mam! - krzyknęła nagle. - Słyszysz?

- No? - mruknął „Zbyszek” z drugiego pokoju, mocując się z guzikiem u koszuli.

- Zachorował wasz kolega, najlepiej gdzieś daleko, na Pradze albo na Bielanych. Więc posłał do ciebie swego młodszego brata...

- Po co? W dodatku w nocy. Idiotyczne.

- Prawda - przyznała ze skruchą.

- Czekał, mam coś lepszego. „Długi” przecież grywa czasem na chałturkach. No więc powiem, że zachorował nagle gitarzysta w jakiejś knajpie i przysłali po niego.

- Ale dlaczego do ciebie?

- Poczekaj, inaczej. Ja byłem w tej knajpie, zobaczyłem co się dzieje i powiedziałem kierownikowi zespołu, że po niego polecę. O, widzisz? To się trzyma kupy. Jego stary jest skąpy, lubi, jak „Długi” sobie dorabia. Na granie na pewno się zgodzi. Zresztą, jak „Długi” chodzi z nami na robotę, to też niby gra. No, jazda!

Pomysł widocznie chwycił, bo po kwadransie obaj zjawili się przed bramą. We trójkę już poszli w

kierunku placu Unii. Po stu metrach zobaczyli samochód szefa.

- Wsiadajcie - powiedział. - Na ulicy nie będziemy rozmawiać.

Ruszyli. Po drodze powiedział im co mają zrobić. Dokładnie, gruntownie przemyślał całą sprawę. Spytał, czy mają przy sobie dowody osobiste, bo może będą musieli okazać je w milicji. Mieli.

Samochód podjechał niedaleko miejsca, w którym była stara kotłownia. „Długi” i „Zbyszek” wraz z dziewczyną zeszli w dół, opędzając się od natarczywie wyciągniętej łapy w kożuchu. Mruknęli, że zaraz wychodzą. Barbara prowadziła ich pewnie, zastanawiając się, czy wszystko dalej pójdzie gładko. W tym pomyśle było jednak sporo ryzyka.

Andrzej spał jak zabity. „Cwaniak” czuwał przy nim wytrwale, wyłapując na swych nogach pchły i rozgniatając je na gazecie. Na widok tamtych uśmiechnął się szeroko.

- Fajerant? - mruknął, podnosząc się z miejsca. Zachwiał się trochę, czknął. Barbara ze złością spojrzała na pustą butelkę. Oczywiście, nie zostawił ani kropelki. Szarpnęła go za włosy, odchylił się bez gniewu.

- Za darmo miałem siedzieć? - spytał łagodnie. - Co robimy z tym fantem, co leży przy moich nogach?

- Zabieramy - sapnął „Długi”, unosząc wraz ze „Zbyszkiem” bezwładne, spite ciało. - Baśka, a nie zbudzi się?

- Nie ma strachu. Dałam mu coś na sen. Niedużo, w sam raz. Zbudzi się za dwie, trzy godziny. A może dopiero w południe.

- No to bierzemy.

Stęknęli, chłopak był dosyć ciężki. Nieśli go jak worek, raz zaczepili głową o wystającą cegłę, został na niej pęk włosów, ale Andrzej nie zbudził się, jęknął tylko przez sen.

- Uważajcie - syknęła Barbara. - Włosy mu powyrywacie.

- Twój Romeo? - skrzywił się „Zbyszek”.

Wzruszyła ramionami. Mimo wszystko, chłopiec podobał jej się. Wytaszczyli go na podwórze. Samochód już tam stał z wygaszonymi światłami. Któryś z chłopaków pilnował przed bramą, czy nie nadchodzi patrol. Ułożyli śpiącego na tylnym siedzeniu, „Długi” wcisnął się obok niego, „Zbyszek” usiadł obok kierowcy.

Jechali teraz szybko, wreszcie właściciel samochodu zahamował obok jednej z bram na

Sadowej.

- Sprawdź jeszcze raz, czy nie ma w portfelu żadnych dokumentów - rozkazał „Długiemu”. Ten skrupulatnie przetrząsnął zawartość skórzanej portmonetki, ale było tam tylko siedemset złotych i trochę bilonu.

- Nie, szefie - rzekł. Miał wielką ochotę zostawić sobie w ręku jedną setkę, ale bał się trochę. Wiedział, że z szefem nie ma żartów.

- Ile jest? - spytał kierowca.

- Siedemset i bilon.

- Zgadza się. Masz szczęście, „Długi”, że zwyciężyłeś pokusę. Wiesz, że nie uznaję partyzantki w robocie.

- Szefie, ale czy Barbara mu trochę przedtem nie rąbnęła, za to nie ręczę - rzekł chłopak, urażony.

- Widzisz, drogi chłopcze, jeżeli ktoś zdąży mnie okłamać tak, że mu tego nie potrafię udowodnić, to w porządku. Ale na to ty jesteś za głupi.

- Ojej, ciekawym, co by szef wymyślił na moim miejscu - poskarżył się.

- Na twoim? Tę setkę, którą teraz przez chwilę trzymałeś w swoich nieumytych palcach, wziąłbym w trakcie wynoszenia go z piwnicy. O ile naturalnie nie podpadłbyś Barbarze.

- Co teraz, szefie? - spytał „Zbyszek”, rozglądając się niespokojnie dokoła. - Położymy go w bramie i wzywamy gliny, tak?

- Tak. Dalej już wiecie.

Ułożyli śpiącego pośrodku bramy, poczekali, aż samochód znikł za zakrętem. Wtedy wyszli na chodnik i zaczęli głośno rozmawiać, rozglądając się dokoła. Minęło może dwadzieścia minut, gdy usłyszeli miarowy, głośny rytm kroków.

- Są - mruknął „Długi” - Podejdziemy?

- Dobra.

Pobiegli w stronę idącego w ich kierunku patrolu milicyjnego, machając rękami i wołając: - Proszę panów! Milicja!

Patrol przystanął. Jeden z milicjantów zapytał:

- Co się stało?

- Tam ktoś leży w bramie. Może zabity... Przechodziliśmy, a on jęczy.

- Jak jęczy, to nie zabity - stwierdził milicjant rzeczowo. - Gdzie jest? W tej bramie?

Podeszli, nachylili się nad śpiącym. Któryś wzruszył ramionami.

- Spił się i śpi. Trzeba go zabrać na Żelazną. Tadek, tam jest budka, zadzwoń do Centrali. Niech

przyślą „Nyse”. A wy, chłopcy? – zwrócił się do stojących grzecznie obok. – Chyba najwyższa pora spać. Co robicie tak późno na ulicy?

- Myśmy byli na „Jam-session” w Hybrydach – powiedział uprzejmie „Zbyszek”. Jego świeża, miła twarz o oczach pełnych ufności i rozbajającym wyrazie pulchnych, różowych warg budziła w starszych instynkty opiekuńcze. – Kolega właśnie grał na pianinie – wskazał ruchem głowy na „Długiego”.

„Długi” zmierzwił jeszcze bardziej włosy i popatrzał na milicjantów ponuro.

- Panowie czytali Grochowiaka? – spytał z urazą.

- No, dobra – westchnął drugi z milicjantów. – Idźcie spać.

- Do widzenia – „Zbyszek” skłonił się uprzejmie, „Długi” bąknął coś pod nosem. Odeszli, nie śpiesząc się. Na rogu minęła ich milicyjna „Nysa” do przewożenia pijaczków, jak ich w Izbie Wytrzeźwień nazywano.

Kiedy znaleźli się w bramie kamienicy, w której mieszkali, „Długi” pokręcił głową z podziwem.

- Szef, to ma łeb! Niech go kaczka...

- Poczekaj, zawiozą gościa do Izby i co?

- I tam już czeka jeden z naszych albo też zaraz będzie. Rano, jak chłoptaś wytrzeźwieje, powie przecież tym z Izby, kim jest i gdzie mieszka. Zresztą, nasz będzie się trzymał blisko niego i już go z oczu nie spuści. W ten prosty sposób, chłoptaś nie będzie mógł wkopać piwnicy ani Baški, bo milicja znalazła go przecież zupełnie gdzie indziej i nie da mu wiary. Sam zresztą nie potrafi zrozumieć, jak się znalazł na Sadowej. A szef będzie bez trudu jutro wiedział, gdzie chłopak mieszka. No i forsa nasza.

- Czekaj, a jeżeli on od razu pójdzie na ten stryszek i forszę zabierze?

- Nie bój się. Jak szef raz wie o tej forsie, to chłopak jednej złotówki z niej nie wyda, ręczę ci. A piwnicy gliny długo jeszcze nie znajdą.

*

Starszy sierżant Lebański zajrzał do pokoju.

- Już po robocie, kapitanie - oznajmił, zsuwając czapkę na tył głowy i ocierając spocone czoło. - Wygarnęliśmy nielichą gromadkę. Będzie tego chyba ze dwadzieścia sztuk, zaraz przyjdzie porucznik, to powie dokładnie.

Kapitan Szczęsny odłożył pióro i oparł się plecami o krzesła.

- Gdzie to było? Na Koszykowej? - spytał, częstując sierżanta papierosem. - Tam, gdzieśmy przypuszczali?

- Tak. W starej kotłowni centralnego ogrzewania. Dozorca brał od każdego po dziesięć złotych. Tanio jak barszcz. Ale co najmniej setka mu się jednak co wieczór uzbierała! Spali na słomie i zawszonych kocach, jedno przy drugim, dziewczyny i chłopaki razem. Dwoje czy troje nieletnich, reszta po siedemnaście, dwadzieścia.

Siadł przy małym, okrągłym stoliku i westchnął. Był zmęczony. Od drugiej rano zwozili, przesłuchiwali, badali dokumenty. Dwie dziewczyny odwieźli radiowozem do domów, miały po czternaście lat.

- Rodzice w krzyk. A ja do nich: to tak córek pilnujecie? Jeden ojciec od razu za pasek i do bicia. Przytrzymałem go trochę, mówię: trzeba było dziecko inaczej chować, to by z domu nie uciekało na taką poniewierkę. Kapitan z nimi pogada?

- Z rodzicami? - Szczęsny spojrzał na podoficera ze zdziwieniem. - Są tutaj?

- Nie, z tymi młodymi, co ich przywieźliśmy, bo byli bez dokumentów. Trzy dziewczyny i pięciu chłopaków. Wszystko pełnoletnie.

Szczesny zamyślił się. Wszedł porucznik Kręglewski, mruknął coś, położył czapkę na biurku. Rozpiął szaroniebieski mundur, powiesił pas i siadł obok sierżanta. Miał twarz ściągniętą zmęczeniem, oczy zaczerwienione.

- Chciałbym, żebyś z niektórymi sam porozmawiał - rzekł, przecierając zdrętwiałe z niewyspania policzki. - Tam jest taka jedna, wygląda mi na początkującą. Dwóch chłopaków też całkiem do rzeczy. Jeden nawiał z domu, bo mu ojciec matkę zamordował. W mieszkaniu została teraz stara babka, chłopak musi koło niej chodzić jak koło niemowlęcia, karmić, myć... Rozumiesz, już ma tego dość. Żyją tylko z tego, co im da komitet pomocy społecznej i co ojciec z więzienia przyśle. Chłopak chciał iść do pracy, ale mu jakoś nie wyszło. Znam przypadkowo tę historię, przesłuchiwałem jego ojca, zanim poszedł siedzieć. Widać zaciął się, twardy chłopak. Nie chce nic mówić. Powiedział tylko, że woli do więzienia iść niż do domu. Cholera wie, co tam było.

- Nie złapałeś żadnego śladu w naszej sprawie?

- Na razie nie. Dlatego myślę, że może ty byś z nimi pogadał. Bo ja bym chciał się trochę przespać.

Rozmowa z „piwniczną młodzieżą”, aczkolwiek nasunęła kapitanowi wiele niewesołych refleksji, nie popchnęła sprawy pięciu kradzieży ani o krok naprzód. Ci chłopcy i dziewczęta albo rzeczywiście nic nie wiedzieli, albo też nie chcieli mówić, obawiając się zemsty. „Spałem, nic nie widziałem, nie słyszałem” - taka była treść wszystkich odpowiedzi.

*

- W każdym razie, nie posądzam was o to, że któreś wyśpiewało w kawiarni czy knajpie o kotłowni. Raczej sędzę, że milicja dowiedziała się o tym od lokatorów sąsiednich domów, którzy mogli coś zauważyć. Dobrze, że nikt z was nie dał się nakryć. Toteż... - Szef pochylił się na chwilę nad biurkiem. Nikt z obecnych nie zdążył nawet zauważyć, jakim sposobem znalazła się tam nagle metalowa kasetka. Wyjął z niej posegregowane pliki banknotów i spojrzał z uśmiechem na siedzących. Mimo woli powyciągali głowy, twarze ich poczerwieniały z

emocji. Podchodzili po kolei, każdy odbierał swoją dolę. Barbara dostała dwa razy więcej. Szef dotrzymał słowa.

- Wyobrażam sobie, jak ten Andrzej się tam wścieka! - mruknął któryś. - Tyle forsy poszło mu sprzed nosa. Pomysł był na medal.

Szef pokwitował komplement pobłażliwym uśmiechem. Tylko on jeden wiedział, ile pieniędzy naprawdę było w schowku na strychu. Dostali po trzy tysiące, Barbara sześć. Zresztą, z Barbarą trzeba będzie...

- Jeszcze jedno - zatrzymał ich, kiedy już mieli wychodzić. - Ta wiadomość nie będzie dobra ani przyjemna. Trudno, bywa i tak. „Mały” nie żyje. Został zabity.

Patrzyli na niego ze strachem i zdumieniem. Któraś z dziewczyn zapłakała. Zapamiętał, która. To było ważne.

- I ja go ogromnie żałuję. Zwłaszcza, że zginął tak marnie. Został zamordowany nożem w kark... To ohydne i nikczemne, mordować młodego chłopca. Myślę jednak, że „Mały” był trochę nieostrożny i podpadł komuś z Ochoty. Przestrzegałem, aby się tam nie kręcił. Żal mi go.

- Kto go znalazł, szefie? - spytał jeden z mężczyzn.

- Jakiś woźnica. „Mały” leżał na brzegu rowu przy ogródkach działkowych w Alei Waszyngtona. Zawiadomiono milicję. Przyjechali, samochód zabrał ciało do zakładu na Oczki. W związku z tym, proszę odtąd nie kontaktować się ani z matką „Małego”, ani z jego rodzeństwem. Ja tylko... - urwał, przygryzł wargi, jakby namyślał się nad czymś. - Tak. Ja to załatwię. Jego matka powinna dostać jakieś pieniądze, żeby nie została nagle bez grosza. Przeznaczam na to, z przypadającej na mnie części... powiedzmy, trzy tysiące.

Wyjął portfel, położył na biurku sześć pięćsetek. Pochylił nad nimi lekko głowę, jakby chcąc oddać hołd pamięci zmarłego.

Spojrzeli na siebie, zaczęli szeptać, wreszcie „Długi” wysunął się do przodu i do tych pięćsetek dołożył swoją. Nie powiedział przy tym ani słowa, ale inni go zrozumieli. Niektórzy chętnie, inni ociągając się, wszyscy jednak - razem z dziewczętami - dołożyli każdy po jednym pięćsetzłotowym banknocie.

- Dziękuję wam w imieniu jego matki - rzekł cicho. - Jutro jej to będzie przekazane. Przypominam

jednak raz jeszcze, że milicja w sprawie jego śmierci prowadzi śledztwo i nikomu z was nie wolno tam się pokazywać.

- Szeffie - zaczął z wahaniem „Cwaniak” - a może my się zajmiemy wykryciem, kto go zabił?

- Mówisz, jak głupi - odparł szef poważnie. - Nie wolno nam się do tego mieszać. Rozumiesz? Bo moglibyśmy ściągnąć sobie gliny na kark, a wtedy...

Nie musiał kończyć, sami rozumieli. Postali jeszcze chwilę, ze zwieszonymi głowami. Potem powoli wychodzili, pojedynczo, nie spiesząc się, jak od nich wymagał. Barbarę zatrzymał ledwo dostrzegalnym ruchem głowy. Kiedy wyszli, odezwał się:

- Twój bohater trochę cię okłamał. W schowku znalazłem tylko trzydzieści tysięcy. Chyba rzeczywiście nie umie liczyć.

Mówiąc to, obserwował bacznie jej twarz, na którą padało jaskrawe światło spod uchylonego abażuru.

Milczała, przyglądając się jakby z roztargnieniem kupce pieniędzy, leżącej na biurku. Mimo woli poszedł oczami za jej wzrokiem. Coś w sobie rozważała i czekała. Wreszcie powiedziała obojętnym tonem:

- Pewnie, że tak.
- Co: tak?
- Że nie umie liczyć.

Przez chwilę oboje nie odzywali się.

- Jeszcze coś, szefie?
- Nie, to wszystko. Dobranoc.
- Dobranoc, szefie.

Po jej wyjściu zamknął starannie drzwi na specjalne zamki, które tylko on potrafił otworzyć, i wrócił do biurka. Z ironicznym uśmiechem odjął z leżących na nim banknotów sześć pięćsetek, dwie wsadził do portfela, a resztę schował do żelaznej kasy. Potem wyszedł do kuchni, skąd po chwili wrócił, ale już z pustymi rękoma.

Barbara schodziła powoli ze schodów, sunąc ręką po balustradzie jak ślepiec. Na parterze czekał na nią „Długi”. Niecierpliwie palił papierosa za papierosem.

- Co się tak wleciesz? - mruknął. Jak na niego, była to przyjazna uwaga. Nie czekając na odpowiedź, dodał, kiedy schodzili już razem: - Wiesz, nie myślałem, że szef ma takie miękkie serce. Aż się zdziwiłem. Trzy patyki na „Małego” wyłożył bez mrugnięcia.

- Tak - odparła krótko. Było w jej głosie coś, co kazało mu spojrzeć na nią uważniej.

- Barbara, co jest? - spytał niespokojnie.

Nie od razu odpowiedziała. Dopiero kiedy wyszli na ulicę i przeszli na drugą stronę, szepnęła:

- „Długi”, jak myślisz... kto zabił „Małego”?

Chłopak zatrzymał się na parę sekund, jak wryty. Wsadził ręce w kieszenie kurtki, wtulił głowę w ramiona. Wyglądał teraz, jakby miał garb.

- Szef mówił, że pewnie ci z Ochoty - odrzekł również szeptem.

- Znałeś „Małego”?

- Głupie pytanie.

- Bo jeżeli go znałeś, tak jak każdy z nas, to wiesz dobrze, że „Mały” nigdy na Ochotę nie chodził. I z nikim tam nie zadarł. Aż na Pragę by zresztą za nim lecieli, żeby go zabić? I co on robił w nocy przy ogródkach działkowych?

- Barbara - „Długi” potrząsnął głową, jakby chcąc odpędzić od siebie jakieś niedobre myśli - przestań z tym, słyszysz? Ja wiem, co myślisz. Nic nie mów! - przerwał pośpiesznie, widząc, że ona otwiera usta. - Nie chcę słyszeć. Bo jeżeli to nieprawda, to... Czasem myślę, że on wie nawet, co my do siebie

mówimy na ulicy czy w kawiarni. A jeżeli to prawda... no, to nas czekać może podobny los.

Wzdrygnęła się. „Długi” miał rację.

- Ale co „Mały” mógł takiego zrobić, że... - nie dokończyła.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. I dość o tym.

*

Dopiero następnego dnia Andrzej odważył się zajrzeć na strych. Kiedy przyprowadzono go z Izby Wytrzeźwień - zajął się nim odchodzący z dyżuru milicjant - ciotka ze zgrozą załamała ręce. Zanim jednak rozpoczęła dłuższą przemowę, milicjant, który sam był zmęczony i niewyspany, powiedział stanowczo:

- Chłopca ktoś upił i nie ma teraz po co robić mu wyrzutów, bo on jeszcze śpi na stojąco. Potem mu pani wszystko powie, co trzeba. Na razie niech się jeszcze położy i odeśpi, bo ma kaca.

- Miłosierdzie boskie - mruknęła ciotka, ale stanęła na wysokości zadania. Andrzej, który rzeczywiście drzemał, chwając się na nogach, został położony do łóżka i przespał w nim cały dzień, noc i

pół dnia następnego. Widać środek nasenny, zaaplikowany mu przez Barbarę, podziałał mocniej niż przypuszczała.

Następnego więc dnia, a raczej wieczoru, kiedy ciotka wyszła z domu, zakradł się na strych. Postanowił uciec do Wietnamu i sądził, że jak postawi ojca przed faktem dokonanym, będzie musiał się nim zająć. Uważał, że paszport, wiza i tym podobne drobiazgi, dadzą się jakoś załatwić przy pomocy większej gotówki. „Pieniądz otwiera wszystkie drzwi” – mawiał nieraz jego wuj, człowiek obrotny i wpływowy.

Wsunął się na strych, zapalił światło i starannie zamknął za sobą drzwi. Po namyśle jednak uchylił je, gdyż zamykanie się na klucz na strychu mogło wydać się podejrzane. W razie gdyby ktoś nadszedł, powiedziałyby, że wylęgły się tu gołębice, którym przyniósł grochu. Była to zresztą prawda, z wyjątkiem tego, że gołębice grochu nie jadły, bo o tej porze już dawno spały.

Ostrożnie stąpając na palcach podszedł do okienka. Z boku, pod belką, w specjalnie przez siebie zrobionej skrytce, trzymał od kilku lat skarby. Dawniej były to gwoździe, kawałki ołowiu, proch i kapiszony, które ciotka wyrzucała mu z szafy, teraz

skradzione pieniądze. Zagłębił rękę w otwór i poczuł pustkę pod palcami. Wsunął jeszcze głębiej, dosięgnął dna. Skrytka była próżna.

Wyprostował się powoli, czując, jak serce zaczyna mu bić coraz mocniej. Czoło zaperliło się kropelkami potu, starł je machinalnie rękawem swetra. Wyjął z kieszeni latarkę, poświecił. Zobaczył okrągły, zupełnie pusty otwór. Nie było w nim nic, nawet jednego papierka – nawet głupiej pięćdziesiątki. Nic.

- Zaraz... - mruknął do siebie. - A może ja je gdzieś przенiosłem?

Rozejrzał się po strychu. Ale już rodziła się, rosła w nim natrętna myśl: ktoś ukradł. Ktoś zabrał. Nie ma innego schowka na strychu. Ktoś go podpatrzył i ukradł pieniądze. Zapomniał, że przecież kilka dni temu on zrobił to samo. Uważał, że odkąd znalazły się w jego rękach, stanowiły już jego wyłączną własność.

Poczuł, że ogarnia go niepoohamowana wściekłość. Uderzył raz i drugi pięścią w drewnianą belkę, zaczął uderzać coraz silniej, szepcząc coś do siebie i płacząc ze złości. Otrzeźwił go ból i widok krwi na skaleczonej dłoni. Wtedy powlókł się na dół, klnąc pod nosem słowami najgorszymi jakie znał. Gdyby

teraz spotkał złodzieja „swoich” pieniędzy – sądził, że byłby gotów go zabić.

Usiadł w pokoju na tapczanie, podparł głowę rękami i zamyślił się. Kto to mógł zrobić... Kto? Ciotka? Nonsens, odpada. Sąsiedzi? Nikt nie widział, jak wkładał czy wyjmował cokolwiek ze schowka, tego był pewien. Skrytka była doskonale ukryta, nie można było jej dostrzec, jeżeli się uprzednio nie wiedziało o jej istnieniu.

Więc kto? Nie zwierzył się nikomu. Nikomu... Zaraz. Co to było z tą dziewczyną na ulicy... i potem... byli w jakiejś starej kotłowni. Spali tam, a potem... co było potem? Aha, ta Izba Wytrzeźwień. Milicja go tam zawiozła, mówili ciotce, że go znaleźli... gdzieś na Sadowej.

Ścisnął rękami skronie, usiłując wybrnąć z tej kołowacizny. Piwnica na pewno nie była na Sadowej. Więc skąd... Nie, a może jednak? Może jak się upili to zaczął rozrabiać, więc wynieśli go do bramy?

Ale czy on tej dziewczynie mówił o pieniądzach?...

Rozdział 5

Był już pewien, że to ci z piwnicy. Dziewczyna i dwaj... może zresztą było ich więcej. Zapamiętał jej twarz, miał ten obraz tuż pod powiekami: ciemne, krótko strzyżone włosy, na czole niedbale rozrzucona grzywka, czarne od tuszu rzęsy i brwi, ładny prosty nos. Długo się zastanawiał i osądził wreszcie, że poznałby z całą pewnością jej zielonkawą płaszcz, a zwłaszcza torbę w duże kolorowe słonie. Jeżeli dziewczyna ma taką torbę, z pewnością się z nią nie rozstaje. Podobnej nie widział jeszcze, musiała być zagraniczna.

Zerwał się nagle z tapczana, oczy mu się roziskrzyły. Ta kotłownia! Przecież to było na Koszykowej. Na pewno na Koszykowej, w starym domu, albo tuż za Poznańską, albo dwa domy dalej, idąc od placu Konstytucji. W każdym razie, trafi tam z całą pewnością.

Spojrzał na zegarek: minęła szósta. Nie, za wcześnie. Trzeba poczekać do zmroku. Albo do nocy.

Ciotka zaśnie, wtedy.

Wtedy - co? No dobrze, pójdzie tam, znajdzie piwnicę, powiedzmy nawet, że znajdzie dziewczynę i tych chłopaków. Co im powie? „Ukradliście moje pieniądze”? Wyśmieją go w oczy, wyłżą się z wszystkiego. Nie udowodni, bo jak? A choćby nawet - czy tacy oddadzą? Mowa!

Stał przez dłuższą chwilę, zagryzając wargi i wciąż nerwowo poruszając palcami. Skaleczona na strychu ręka zaboląła, więc owinął ją chusteczką. Ale z nawrotem bólu powróciło wspomnienie tej najgorszej chwili, kiedy stwierdził, że skrytka jest pusta. Przymknął oczy. Rozwagał znowu, starał się to robić na chłodno, bez cienia uczucia, czy byłby zdolny zabić. Czy w ogóle był zdolny do tego?

Przypomniały mu się słowa, które usłyszał kiedyś w trolejbusie: - Nigdy nie wiemy, co oni zrobią w następnej chwili - zwierzał się jakiś starszy pan konduktorowi. - Są zupełnie nieobliczalni. Mogą równie dobrze przeprowadzić staruszkę przez jezdnię albo dać w mordę niewinnemu pasażerowi. Ta młodzież jest niebezpieczna, choć nie jest zła.

Obejrzał się dokoła i dodał, pochylając się nad konduktorem ze stroskaną twarzą:

- A najgorzej, że oni doskonale wiedzą, że my o nich tak myślimy i bardzo chcą ciągle być niebezpieczni.

- Ee - skrzywił się konduktor. - Co tam sobie nimi głowę zawracać. Wyrosną, to zmądrzeją.

Chciał się wówczas wtrącić do rozmowy. Że nieprawda i wcale nie o to chodzi, o jakieś tam „niebezpieczeństwo”. Poczuli jednak, że po pierwsze - aby móc wytłumaczyć to, co chciał, nie starczyłoby jazdy nawet przez dwie pełne trasy trolejbusu, a po drugie - bał się, że nie potrafi. Często było tak: wiedział o czymś z całą pewnością, ale w słowach wpadało to jak jedzenie bez soli. Mdlilo. Słowa nie chciały go słuchać.

Teraz, nie wiadomo dlaczego, przypomniała mu się tamta rozmowa.

- Prawda - szepnął do siebie. - Jestem nieobliczalny. Mogę zabić albo machnąć na wszystko ręką. Decyzja należy tylko do mnie.

Przez chwilę rozkoszował się tą myślą, potem wydało mu się to dosyć głupie. Wcale tak nie jest. Zabicie kogoś z tamtych uzależnione było mnóstwem warunków. Trzeba by tych ludzi znaleźć, co chyba nie jest łatwe. Poza tym, machnięcie ręką na

pieniądze byłoby co najwyżej gestem rezygnacji z tego, co i tak się już stało, bez jego zgody i woli.

Idiotyzm.

Rzucił się na tapczan, wtulił twarz w poduszki. Nagle poczuł, że nienawidzi ojca. Miał mu za złe wszystko. I śmierć matki, choć doskonale wiedział, że umarła na raka - i wyjazd do Wietnamu, bez niego, na całe dwa lata, właśnie teraz, kiedy on za rok ma zdawać maturę, kiedy problem za problemem wyrasta każdego dnia i nie ma kogo się poradzić.

- Twój ojciec spełnia bardzo ważne dla kraju, gospodarcze zadanie - powiedziała mu kiedyś nauczycielka w szkole, w dniu podpisania współpracy między dwoma państwami. - Powinieneś być dumny z niego.

Dumny. Właśnie. Może jeszcze „wdzięczny”? Obywatelski obowiązek, gospodarcze zadania - wszystko jest ważniejsze niż własny syn. Wszystko.

Przeleżał tak blisko godzinę, nie zmieniając nawet niewygodnej pozycji. Podniósł się ociężale, kiedy ciotka wróciła do domu i zaczęła hałasować w kuchni. Przemył oczy zimną wodą, przyczesał włosy. Przejrzał się w lustrze. Zobaczył bladą, zaciętą twarz człowieka, który podjął decyzję. Męską decyzję. Przez chwilę przyglądał się sobie z gorzkim

uśmiechem. Wychodziło na to, że wszystkiemu, co się stało – i co się jeszcze stanie – winien był ojciec.

„To dobrze” – pomyślał z mściwym zadowoleniem. Prawie uspokojony zjadł z apetytem kolację, odmrukując coś w odpowiedzi na monolog ciotki o kolejkach po ser. Sprzątnął nawet ze stołu i ostentacyjnie rozłożył na nim książki szkolne.

– Uczę się – warknął, kiedy coś zaczęła mówić. – Ciocia nie widzi?

Zamilkła, trochę speszona. Rzadko kiedy sam bez zachęty, zabierał się do lekcji. Usiadła z drugiej strony, coś tam szyła czy cerowała. Po godzinie ziewnęła raz, drugi, odłożyła na chwilę robotę. „Pójdzie wreszcie spać, czy nie?” – złościł się, przerzucając kartki podręcznika matematyki. Nie miał pojęcia, co czyta.

O jedenastej usłyszał ze swego pokoju (dawniej spali razem z ojcem, dziś został mu chociaż własny pokój) lekki trzask przekręcanego kontaktu i skrzypienie łóżka. Odczekał jeszcze dwadzieścia minut, potem wstał. Leżał w ubraniu pod kołdrą, miała zwyczaj czasami zaglądać czy nie czyta po nocach. Narzucił tylko wiatrówkę, a do kieszeni spodni wsunął małą, specjalnie wyostrzoną finkę w skórzanym ochraniaczu.

Był gotów. Ostrożnie, nie sprawiając najmniejszego hałasu, wymknął się z domu. Postanowił pójść prosto na Koszykową, odnaleźć kotłownię, a potem...

Potem się zobaczy.

*

Ktoś mu zastąpił drogę, kiedy wchodził do bramy.

- Pan dokąd?

Speszył się. Na to nie był przygotowany. Mężczyzna, który stał przed nim w mroku sieni, nie wyglądał na żadnego z tamtych. Był starszy, nie miał ani kraciastej koszuli z modnie nałożonymi szelkami, ani włosów ostrzyżonych na jeża.

- Dokąd pan idzie? - powtórzył obcy. Zbliżył się o krok.

- Szukam tu kogoś - odparł niezdecydowanie. Przechylił głowę w bok, tamten zasłaniał mu podwórze. Ale to przecież na pewno było tu.

- Kogo?

- Nie pańska sprawa - mruknął, usiłując przemknąć się przy samej ścianie. Ale mężczyzna wyciągnął błyskawicznie rękę i chłopak natknął się

na jego ramię. – No, co jest? – zawołał z gniewem. – O co chodzi?

– O nic. Tak sobie. – W głosie mówiącego wyczuć można było lekką drwinę. Nie odsłonił przejścia.

– Doskonale – powiedział Andrzej z przesadną uprzejmością. – Zaczekam, aż pan się zmęczy.

Usiadł na betonie pod ścianą, podwinął nogi pod siebie i obojętnie patrzył w głąb ulicy. Postanowił działać metodą psychologiczną, na zasadzie: komu się szybciej znudzi. Nie miał pojęcia, kim może być nieznanemu. Czuł jednak przez skórę, że jest to ktoś niezwiązany z tamtymi. Może mieszkaniec tego domu, który postanowił się podroczyć z przechodniem, bo mu się nudzi, bo nie może spać... Może ktoś od dozorczy, który go dziś zastępuje i dobiera sobie „gości” na własne oko.

Mężczyzna nie odpowiedział na zaczepkę. Oparł się plecami o ścianę, ssał od niechcienia wygasłą fajkę. Zdawał się drzemać. Ale kiedy chłopak poruszył się ostrożnie, obcy znowu zbliżył się o krok.

Minęło kilka minut, potem kwadrans, Andrzejowi zdrewniały nogi. Złościła go dziwna, głupia sytuacja, więc powiedział trochę uprzejmiej:

– O co panu chodzi? Dlaczego pan mnie nie wpuszcza na podwórze?

- A po co pan chce tam wejść?
- Mówiłem już, że kogoś szukam. Dziewczyny jednej.
- Mieszka w tym domu?
- Nie. Nie wiem zresztą. Czasem tutaj chodzi.
- Do kotłowni?
- Tak - odparł machinalnie i najeżył się. Kim ten facet jest, u diabła! Przypomniało mu się, że ma przecież w portfelu kilkaset złotych. Może zaryzykować? - Jeżeli panu chodzi o forszę - rzekł, trochę niepewnie - to niech pan powie. Mogę zapłacić więcej niż dychę.

Mężczyzna milczał czas jakiś, a kiedy się odezwał, chłopak dosłyszał w jego głosie coś jakby powstrzymany śmiech:

- Wiesz co, bracie? Dobrze ci radzę, spływaj stąd. I to szybko.

- Nie.

- Bardzo ci zależy na tej dziewczynie? Niewiele warta taka, co z chłopcem po zawszonych piwnicach szuka miłości. Zresztą - dodał - na pewno już jej tu nie znajdziesz.

Andrzej wstał, machinalnie otrzepał spodnie.

- Skąd pan wie? - spytał ze zdumieniem. - Przecież nie powiedziałem, kogo szukam. Skąd pan wie, że ona nie przyjdzie albo że jej tu nie ma?

- Bo tu już nie ma nikogo.

- Jak to nikogo? A gdzie są? Tamci wszyscy... i ona?

- Nie wiem. Ale tutaj ich nie ma. Kotłownia jest zamknięta. A tobie, chłopcze, szczerze radzę na drugi raz wpierw dobrze pomyśleć, zanim komuś pieniądze zaproponujesz. No, spływaj! - rzekł nagle ostro. - I więcej nie wracaj. Już i tak podpadłeś.

„Milicja” - pomyślał nagle Andrzej ze strachem. Ależ się wygłupił! Skąd jednak mógł przypuszczać, że... Widocznie odkryli piwnicę i wygarnęli tamtych. Chyba ich nie aresztowali, bo i za co. Zresztą, nie wiadomo, czy tamci z tak dużą forsą, jaką mu ukradli, ukryli się właśnie tutaj. Raczej nie. Przecież musieli pamiętać, że on tę piwnicę zna, że właśnie tutaj będzie ich szukał, aby odebrać co swoje.

Odwrócił się, postawił kołnierz wiatrówki, wsadził ręce w kieszenie i zaczął iść w kierunku placu Konstytucji, sam nie wiedząc, dokąd idzie i po co. Plac był już pusty, tylko pośrodku parkowało kilkanaście samochodów. Drzwi hotelu „MDM” były szeroko otwarte, dobiegał stamtąd gwar i śmiechy.

Od strony Alej Jerozolimskich nadjeżdżał tramwaj. Siedziało w nim zaledwie kilka osób, nocne życie jakoś nie mogło rozkwitnąć w stolicy.

Zastanawiał się, co będzie, jeżeli dziewczynę i tamtych aresztowano. Jak znajdą przy nich tyle forsy, zaczną ich „maglować”, skąd wzięli, a wówczas...

Niedobrze. Wkopią go, jak nic. Co im zależy, to przecież nie koledzy, nawet nie znajomi. Milicja przyjdzie po niego do domu, ciotka napisze do Wietnamu. Może stary nawet przyjedzie, jak się dowie, że jego syn za kratkami.

Uśmiechnął się złośliwie. Będzie proces, szum, artykuły w gazetach. Będą mówić ze zgrozą, że „syn takiego ojca”, że „zniszczył ojcu karierę”... A niech. Niech ma zniszczoną. Niech siedzi w domu, korona mu z głowy nie spadnie. Osiemdziesiąt kilka tysięcy trzeba będzie oddać tym... no, tym z mieszkania na parterze z uchylonym balkonem i pudełkiem tekturowym w szafie. Ciekawe, jak oni się nazywają. Ojciec będzie spłacał do końca życia. Synowi nic nie zrobią, bo nieletni. Najwyżej – do poprawczaka. Ale i tak ludzie powiedzą: „zrobił to, bo go ojciec samego w domu na dwa lata zostawił. Chłopak młody, to głupi. Trzeba było pilnować”.

Zauważył, że ma spodnie na dole zabrudzone błotem, więc zatrzymał się obok filara przy „Niespodziance”, aby oczyścić.

Wtedy ją zobaczył. Miała ten sam zielony płaszcz i torbę w kolorowe słonie. Wyszła z bramy sąsiedniego domu, zmierzając w stronę przystanku tramwajowego. Sprężył się cały w sobie, mocniej owinął szyję kołnierzem wiatrówki, skupił ramiona i zaczął iść za nią ostrożnie, uważając na każdy ruch jej głowy, gotów błyskawicznie schować się w cień filarów.

Myślał gorączkowo, dokąd może jechać o tak późnej godzinie – i czy w nocy, w pustym tramwaju uda mu się przed nią skryć. Przypomniało mu się, że tamtego wieczoru był w czarnym swetrze, teraz zaś miał na sobie popielatą wiatrówkę. To dobrze. Twarzy nie będzie pokazywał, zresztą, czy ona go pamięta...

Zobaczył nadjeżdżającą „czwórkę”, więc zbliżył się trochę. Zasłaniała go metalowa konstrukcja stoiska, na którym w dzień sprzedawano warzywa. Dziewczyna, nie śpiesząc się, wsiadła do wozu i przeszła od razu na przednią platformę. Wskoczył w ostatniej chwili, kiedy tramwaj już ruszał. Prócz nich dwojga nie było pasażerów. Konduktor drzemał za

swoją barierką, wagon jechał szybko, kołysząc się rytmicznie.

Spojrzał na zegarek. Kilka minut po pierwszej. Z głuchym stukotem przejechali most, minęli śpiące brunatne niedźwiedzie i cerkiew. Wtedy wysiadła, przebiegła na drugą stronę i po chwili była już w tramwaju, jadącym w stronę Zamojskiego i Grochowskiej. Zdziwił się, zaledwie zdążył wskoczyć tuż za nią „Po co ta kołomyjka?” - myślał, kiedy znowu przeszła na przednią platformę, a on pozostał z tyłu. „I dokąd ona właściwie jedzie?”

Przy rogu Alei Zielenieckiej wysiadła i zaczęła iść w kierunku Saskiej Kępy. Szedł za nią, w odległości kilkudziesięciu metrów, uważając, aby w mrocznej ulicy nie stracić jej z oczu. Nagle zobaczył, że schodzi w bok tam, gdzie rozciągało się Jezioro Kamionkowskie. Zawahał się chwilę, poczuł strach. Ale przecież była sama i w końcu, cóż mu się mogło stać. Ścieżka wiodła nad wodą, ledwie widoczna między gęstymi krzewami. Barbara szła pewnie, jakby dobrze znała drogę, nie oglądając się za siebie. Noc była pełna gwiazd, ale bezksiężycowa i żaden promień światła nie rozjaśniał wąskiej ścieżki. Mimo to, dziewczyna ani razu nie zboczyła z niej i sądził, że przychodziła tutaj w nocy nie po raz pierwszy. Może

spotykała się z tamtymi albo po prostu szukała „fajera”, nie miał żadnych wątpliwości, że trudni się tym procederem. Krzaki i łąki nad Jeziorem Kamionkowskim od wiosny do jesieni służyły nocą wiadomym celom.

Nagle stracił ją z oczu i zatrzymał się w miejscu, jak wryty. Gdzie się podziała? Potem usłyszał trzask zapalanej zapałki i dojrzał w ciemnościach czerwony ognik papierosa. Do jego nozdrzy przyłączył się nikły zapach dymu tytoniowego. Ognik był gdzieś na dole, zrozumiał, że usiadła na trawie.

- Gdzie „Długi”? - pytanie, zadane kobiecym głosem, padło tak blisko, że mimo woli skulił się i przysiadł za drzewem. Ale nie byli tuż koło niego, to tylko głos niósł się daleko w czystym, wilgotnym powietrzu.

- A, gdzie się zabradziażył - odparł mężczyzna. - Napijesz się, Baśka?

- Daj.

Usłyszał lekkie bulgotanie płynu w butelce, a potem zniecierpliwiony głos dziewczyny: - Odwal się, głupi... No, poszedł!

- Coś taka królowa? Dla kogo się chowasz?

- Zostaw ją - wmieszał się drugi głos męski. Andrzej drgnął. To był jeden z chłopaków, którzy stali

wówczas przed kotłownią. To samo niskie, lekko zachrypnięte, gardłowe brzmienie. Na pewno on.

Tak. Ale to znaczy, że jest ich co najmniej dwóch. I dziewczyna, która w razie czego stanie oczywiście po ich stronie. Więc troje, a on jeden.

- No, już dobra - pierwszy głos wyraźnie skapitulował. - Ty masz w sobie, „Śliczny”, coś takiego, wiesz... Czego się rzucasz? Powiedziałem co? O rany, obrońco uciśnionych babek. Słuchaj, a do „Nowego Świata” już nie chodzisz?

Wszyscy troje parsknęli śmiechem.

- Ona się za tobą zapłacze - żalił się ten sam głos.
- Siedzi pewnie przy stoliku, kawę żłopie i czeka na swojego chłopaczka. A chłopaczek nie przychodzi. Słuchaj, „Śliczny”, ty jednak masz fart. To całkiem niezgorsza babka. Powiedz, jak to było? Ale tak z detalami, wiesz, jak ja lubię...

Chłopak o gardłowym, niskim głosie zaczął z prześmiechem opowiadać szczegóły jakiegoś romansu z kobietą, którą raz nazwał krótko: Kryśka. Szczegóły były takie, że Andrzej - jakkolwiek dojrzały już w sprawach erotycznych - poczuł, że robi mu się gorąco. Mimo wszystko, nie przywykł do tego typu rozmów. To zresztą odwracało jego uwagę od najważniejszej sprawy, dla której tutaj przyszedł.

- Wiesz „Śliczny”, że ty jednak jesteś zupełna świnia - powiedziała Barbara, stwierdzając ten fakt z całym spokojem.

„Śliczny” roześmiał się. Uwaga pochlebiła mu.

- Wielka sztuka - mruknął z przekąsem pierwszy głos. - Jak bym miał taką gębę, jak on, to bym nie tak rozrabiał. On tylko spojrzy, już baby sznureczkiem lecą. A ja... z tymi piegami. I w ogóle. Wszawy los.

- Za to ja na ciebie zarabiam - odparł tamten ze śmiechem. - Powinieneś mi być wdzięczny, frajerze, a ty się stawiasz. Jest tam jeszcze w butelce?

Andrzej zastanawiał się, co robić. Jeżeli teraz odejdzie, straci może na długo okazję odebrania pieniędzy. Nieprawdopodobne, żeby już zdążyli wszystko wydać. Ale jak pójść samemu na troje? Nie zdarzało mu się tchórzyć, to było jednak duże ryzyko.

Nagle krzyknął. Ktoś mocnym, brutalnym ruchem poderwał go za kołnierz do góry i ciepła, trochę spocona dłoń zakryła mu usta. Szarpnął się, ale ten, co trzymał, był na pewno o wiele silniejszy. Leżący na trawie zerwali się, któryś rozgarnął krzaki i stanął przed nimi z twarzą nie tyle rozgniewaną, ile zdumioną. Barbara wysunęła się do przodu, zbliżyła do chłopca i aż syknęła z wrażenia.

- To ten? - stwierdził raczej, niż zapytał „Śliczny”, świecąc Andrzejowi w oczy zapalniczką. - Co on tu robi?

- Podglądał was - powiedział przybyły, który trzymał wciąż chłopca za kołnierz od wiatrówki. - Szedłem za nim od Alei Zielenieckiej i sterczę tu już z parę minut, bo byłem ciekaw, co on zamierza.

- Ale jak nas tu znalazł? - szepnęła dziewczyna.

- Ciągnęłaś go za sobą od tramwaju - roześmiał się tamten. - Widocznie koleś się zakochał, odkąd zabawiliście się w kotłowni. Przylepny szczeniak, szkoda dwóch słów. Jak gnida - szarpnął go, podrzucił rękę, Andrzej uczuł dotkliwy ból w karku i jęknął. - Co z nim zrobimy?

- Odetkaj mu gębę „Długi”, niech gada, po co przyszedł i kto go nasłał - mruknął „Śliczny” niechętnie.

- Słyszysz? Gadaj! Ale już.

Puścił dłoń. Andrzej westchnął z ulgą, pokręcił obolałą szyją i powiedział, usiłując pokonać drzenie głosu:

- Zabraliście mi moje pieniądze ze schowka. Ona - pokazał palcem na dziewczynę - o tym wiedziała, ja się wygadałem po pijanemu. Przychodziłem po pieniądze.

Któryś parsknął śmiechem, „Śliczny” zakołysał się na ugiętych nogach i zmrużył oczy. Trzeci chłopak wsadził ręce w kieszenie drelichowych spodni i burknął szyderczo:

- Stuknij się, bałwanie, w głupi łeb. Kto by się tam na twoje moniaki łakomił. Urznąłeś się jak świnia, wylazłeś z piwnicy i wszelki ślad po tobie zaginął. A w ogóle, jak ci nie wstyd porządnych ludzi o kradzież posądzać?

Zaczęli chichotać, ale dziewczyna patrzyła wciąż na niego i twarz jej powoli ciemniała z gniewu.

- Więc ty szedłeś za mną cały czas - wybuchnęła nagle - cały czas, ty kretyński idioto, ty małpo... - zakrztusiła się, zabrakło jej słów. Wpatrywała się w chłopca z nienawiścią. - Słuchajcie, jego trzeba... czy nie rozumiecie, dokąd on mógł tak za mną poleźć? Nie wiecie?!

- Prawda - mruknął „Śliczny”, nerwowo gryząc ładnie wykrojone usta. - No, serwus! Ale byłby pasztet. Przez tę kupę gnoju! - skrzywił się, mierzając chłopca wrogim spojrzeniem. - Gdyby ona szła właśnie do... - Nie dokończył, „Długi” wzdrygnął się, jakby go przejął dreszcz.

- O, rany! - szepnął trzeci chłopak, jakby dopiero teraz zrozumiał, co tamci mieli na myśli. -

Słuchajcie, co robimy? Wykurzamy go?

- Czekaj, „Cwaniak” - powiedziała Barbara, nie spuszczać oczu z twarzy Andrzeja, którego „Długi” ciągle trzymał za kołnierz. - On stąd nie może tak odejść. Tak zwyczajnie. Przecież teraz już za dużo wie.

- Prawda - przyznał znowu „Śliczny”, marszcząc ciemne brwi. - Musiałby chyba trochę pozapominać. Ty wiesz, „Cwaniak”, jak to się robi, żeby ktoś trochę zapomniał, prawda?

*

Ocknął się w skutek przeraźliwego bólu w tyle czaszki. Było mu zimno. Z trudem otworzył oczy, zaklejone czymś lepkiem, gęstym. Nad sobą zobaczył wyiskrzzone gwiazdami niebo. Nie mógł zrozumieć, dlaczego widzi niebo zamiast sufitu i dlaczego tak strasznie boli go głowa. Spróbował się unieść, ale zawył z bólu i zrobiło mu się słabo.

Nagle koło niego pojawił się jakiś cień, potem drugi. Przystanąły.

- Zobaczcie, kapralu. Zdaje się, że tu pod krzakiem ktoś leży - powiedział obcy mężczyzna.

Pochylił się, potem ukląkł. Andrzej poczuł charakterystyczny zapach mundurowego sukna, skóry i tytoniu.

„Wojsko” – pomyślał, przymykając lepiące się powieki, na które padł ostry blask latarki.

- No, serwus! Ale go urządzili – rzekł drugi mężczyzna. - Zdaje się, że rusza powiekami... Tak. Przebiegnijcie się do radiowozu, ja tu zostanę. Niech zawiadomią Pogotowie Ratunkowe. To młody chłopak. Niewąsko poharatany.

- Pan... z milicji? – szepnął Andrzej, usiłując zetrzeć z oczu to coś, co się na nich kleiło.

- Z milicji. Kto cię tak urządził? Koleżeńska zabawa, co?

- Napadli mnie... było ich trzech i... proszę pana, co ja mam na twarzy?

- Przecież nie sok pomidorowy. Powiedziałem, że cię pobili. Czekaaj, nie podnoś się. Przyjadą z Pogotowia, to cię wezmą fachowo, na nosze, bo może masz coś przetrąconego w sobie. Gdzie cię boli?

- Głowa... z tyłu.

- A w piersiach? Możesz oddychać głębiej?

Andrzej spróbował wciągnąć mocniej powietrze, ale przeszkodził mu ostry ból w klatce piersiowej.

- Boli... w płucach. Jak pan... mnie znalazł?

- Zwyczajnie, obchód robimy. Nad tym jeziorkiem tośmy już niejednego takiego znaleźli. Leż, nie ruszaj się. Co ty? Czego tak patrzysz?

- Tam w krzakach... oni mogą przyjść jeszcze... mogą...

- Zwariowałaś? - Kapral roześmiał się. - Nie bój się, oni nasze mundury już z daleka dojrzeli, o ile gdzieś jeszcze siedzą. - Teraz nie masz się już czego bać. Jak się nazywasz?

- Andrzej Borejko.

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

- Po co cię diabli nosili po nocy w te chaszczce? Spać nie możesz czy co? Masz rodziców?

- Ojca. Ale go tu nie ma. Jest... daleko, za granicą. Kapral podrapał się fraszobliwie za uchem.

- I tak cię samego zostawił? Swoją drogą... - urwał, zżuł w ustach jakieś przekleństwo i wzruszył ramionami. Popatrzał na dalekie światło, migające na Grochowskiej i w Alei Zielenieckiej, na czarną, nieruchomą tafłę jeziora, potem rzucił przelotne spojrzenie na chłopca i zajął się zapadaniem

papierosa. „Przecież to jeszcze dzieciak” – pomyślał z nagłym gniewem.

- Znasz tych, co cię napadli?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nic nie potrafisz o nich powiedzieć? Ilu ich było?

- Trzech.

- Jak wyglądali?

- Nie wiem. Ciemno...

- Szedłeś i tak, ni stąd, ni zowąd, raptem wyszli z krzaków i zaczęli cię bić?

Milczał. W uszach miał jeszcze ostry, świszczący szept tego, co bił najwięcej: „Pamiętaj, szczeniaku, nic nie wiesz, nie znasz, twarzy nie widziałeś – bo następnym razem dostaniesz dwa razy pod żebro i po krzyku. I tak się tanio wykręciłeś. Pamiętaj!...”

- No? – nalegał kapral. – Jak to było?

- Szedłem... zwyczajnie, przejść się... ktoś mnie nagle uderzył. Zobaczyłem tylko, że było ich trzech.

- Mówili coś?

- Uderzyli mnie w głowę... chyba zemdlałem, bo dalej nie wiem już co było...

- Ech, ty! – kapral westchnął z rezygnacją. – Marny z ciebie poszkodowany. Jednego się chyba

nauczysz: nie łązić nocami po krzakach. Zresztą, kto wie, po coś tu przyszedł.

Umilkli obaj. Jakiś ptak zakwilił w szuwarach jeziora przebudzony może ich głosem. Chmura przysłoniła rozgwieżdżone niebo, zaczął siąpić drobny deszcz. W Alei zatrzymał się samochód Pogotowia Ratunkowego, ktoś świecił w ich stronę latarką.

- Przyjechali - mruknął kapral z ulgą.

*

Wysoki chłopak opalony na brąz, o chmurnej twarzy i dziewczyna drobna, ładna, w kolorowej sukience, mocno wyciętej na plecach siedzieli na ławce w Łazienkach, prawie niewidoczni pod nisko zwieszającym się platanem. Rozmawiali szeptem, ledwie poruszając wargami.

- Bo jeżeli jest tak, jak myślisz - chłopak, mówiąc, nie spuszczał uważnych oczu ze ścieżki, którą co chwila ktoś przechodził - to cóż my dwoje możemy zrobić? Sama powiedz, co my możemy zrobić wobec jego... no, wiesz. Co ci będę mówił.

Dziewczyna, pochylona do przodu, rysowała niedbale patykiem jakieś kółka na piasku. Ciemne włosy rozsypały się dokoła jej policzków, drażniąc powieki. Niecierpliwym ruchem założyła jeden kosmyk za ucho. Wzruszyła ramionami.

- Wiesz, „Długi”, nigdy nie uważałam cię za tchórza, ale teraz...

Rzucił się gniewnie, myślała, że ją uderzy, ale po ścieżce kręciło się sporo ludzi.

- No, dobrze - dodała pojednawczo. - Nie jesteś tchórz. Ale jego się boisz.

- A ty nie? Barbara, przede mną nie musisz odstawiać bohaterki.

Milczeli dłuższą chwilę, przyglądając się grupie węgierskich turystów, którzy szli w stronę kawiarni.

- On ma nas w ręku. Każdego z nas. To jest... wiesz, to jest jak te zagraniczne szajki czy mafie, o których kiedyś czytałem w książkach. Chcesz odejść - nie wolno. Zdradzisz - zginiesz. Policji nie zawiadomisz, bo sam masz za wiele na koncie. I tak właśnie jest z nami. Zresztą, to wciąga. Jakaś taka gra czy sport... no i sporo pieniędzy. Mnie ojciec... - Umilkł, Zerwał z drzewa liść i żuł go, nie czując smaku.

- Wiem. U mnie też... Choćby ciotka chciała, to nie ma z czego. A ja muszę mieć forszę - przeciągnęła się, mrużyła oczy. Nozdrza jej małego nosa drgały, w rozchylonych wargach błyszcząły bardzo białe, trochę nierówne zęby. - Muszę, rozumiesz? Bez tego już bym nie umiała. I dlatego szlag mnie trafia, kiedy pomyślę, że on bierze dla siebie taką dolę!

- Tak - przyznał, wypluwając liść. - Jeżeli ten szczeniak nie skłamał, to tam było osiemdziesiąt tysięcy. No i raptem okazuje się, że zaledwie trzydzieści. Dziwne.

- Nie tyle dziwne, ile ohydna draka. Sześć patyków mi dał, jak psu kość po mięsie. A przecież żeby nie ja, nic by o tej forsie nie wiedział. To ja od szczeniaka wyciągnęłam słowo po słowie, jak i co. Idiotka. Trzeba było...

- Pewnie, że trzeba było. Żebyś mnie powiedziała, zrobilibyśmy we dwoje i byłoby po czterdzieści patyków na głowę. Co cię poniosło, żeby trąbić o tym właśnie jemu?

- Nie wiem - odparła bezradnie. - On jest taki... bałam się, wiesz „Długi”? Zabronił nam robić cokolwiek poza jego plecami. Ciągle mi się zdaje, że on może się o wszystkim dowiedzieć.

- Mnie też.

- Słuchaj, ja muszę sprawdzić, ile tam naprawdę było. Może my się mylimy, ja muszę mieć pewność. Bo wtedy...

- Wtedy? - powtórzył spokojnie, ale głos mu lekko zadrgał.

Patrzyli na siebie przez chwilę, nie spuszczać oczu. „Długi” zagryzł wargi. Czuł, że dzieje się z nim coś niedobrego. Co to było, nie wiedział, nie zdawał sobie sprawy. Wiedział jedno: dziś z Łazienek wyjdą albo śmiertelnie pokłóceni, albo związani wspólnym postanowieniem, które może mieć nieobliczalne skutki. Nagle zapragnął uciec. Przestać myśleć. Niech myśli za niego szef - nawet, jeżeli każe sobie za to dobrze płacić. Życie było zupełnie łatwe, kiedy ktoś inny myślał, decydował, organizował, a potem wypłacał i miało się spokój.

- Baśka... - szepnął. Położył jej rękę na ramieniu, przyciągnął do siebie. - Słuchaj, a może zostawić wszystko tak, jak było?

Odsunęła się, skrzywiła pogardliwie ładne usta.

- Tchórz. Możesz się tu ze mną pożegnać, „Długi”. Znajdę sobie takiego, co zrobi wszystko. Nawet tamto. Nie pójdziesz ty, pójdzie „Śliczny”. Znam sposób na niego. Tylko czeka, żebym...

Ścisnął jej rękę, aż jęknęła z bólu. Twarz miał szarą ze złości, oczy zwięzione jak u kota.

- Dobrze - syknął. - „Ślicznemu” wpierw majchra w żebra wpakuję, zanim cię tknie. I tobie też. Wszystko mi jedno. Gadaj, co chcesz zrobić?

Uśmiechnęła się miękko, otarła policzkiem o jego ramię.

- Odebrać - powiedziała łagodnie. Wyraz twarzy miała rozmarzony.

- Jemu? - przestraszył się nie na żarty. - Zwariowałaś?!

- Już się wycofujesz?

- Nie, tylko... Baśka, Jak ty sobie to wyobrażasz?

- Powiem ci. Jolanta teraz mieszka u niego. On często wyjeżdża, na kilka dni. Wtedy ona jest sama w mieszkaniu.

- Nie otworzy nam. Powie przez drzwi, że wyjechał.

- Ach, na to są różne sposoby. Jeżeli w grę wchodzi kilkadziesiąt tysięcy... a w dodatku, on tam z pewnością ma jeszcze biżuterię, którą zabraliśmy temu adwokatowi, nie pamiętam jak się nazywa. I rzeczy faceta z Hożej. Przecież to wszystko nasza robota. Nasza, nie jego. Rozumiesz? Czy on kiedy poszedł na robotę? No, powiedz?

- Ale przygotował grunt, jak to zawsze mówi. Miał adresy, wiedział, gdzie warto, kiedy można i tak dalej. Jeszcześmy nigdy przy nim nie wpadli. To jest ważne.

- Zgadzam się. Ważne. Nie na tyle jednak, żeby sobie zabierać trzy czwarte, a nam rzucać jak z łaski resztę. Niech by było sprawiedliwie, niech by dzielił każdemu tyle samo i sobie też. Zresztą, ja nie chcę zawsze, ale ten raz. Muszę mieć dużo forsy. A ty, chciałeś przecież kupić motor. Już zapomniałeś?

Milczał chwilę, głaszcząc jej włosy i bawiąc się nimi. Potem zerwał się nagle z ławki, pociągnął ją ze sobą.

- Chodź. U mnie dom pusty, wyjechali na urlop. Posiedzimy i omówimy, co trzeba. Tutaj - rozejrzał się, zniżył głos do szeptu - wolę nie.

Odeszli w stronę asfaltowej alei, przecinającej Łazienki na dwie części. Nie zauważyli czyichś uważnych oczu, które śledziły ich przez kilkanaście sekund, zanim nie zniknęli po drugiej stronie alei.

*

Siedzieli, gdzie się dało - na kilku krzesłach, na tapczanie, „Długi” na parapecie okna, Barbara obok niego. „Śliczny”, jak zwykle trochę znudzony i senny, usiłował bez powodzenia umieścić rękę na jej kolanach. „Cwaniak” wpatrywał się w mówiącego, mrużąc oczy przed światłem stojącej na biurku lampy. „Zbyszek” palił papierosa, zaciągając się silnie; zaczął palić tydzień temu, więcej dla fasonu niż dla przyjemności, ale zdawało mu się, że z papierosem wygląda poważniej.

Leopold, cofnięty w głąb fotela, był niemal niewidoczny, kiedy patrzyło się na niego od ich strony prosto na lampę, która niemal oślepiła.

- Wyjeżdżam na trzy, najwyżej cztery dni - mówił cicho. Prawie nigdy nie podnosił głosu, nie znali właściwie jego krzyku, a kiedy wpadał w gniew, ściszał słowa do szeptu. Wtedy najwięcej się go bali.

- Jak wrócę, zajmiemy się jednym, bardzo przyjemnym mieszkaniem na Mokotowie. Jest prawie puste, właściciele wyjechali na urlop. Domu pilnuje jakaś ich krewna, młoda dziewczyna, która lubi się zabawić. Nie gardzi też nowymi znajomościami i dlatego - zwrócił głowę w stronę „Ślicznego” - widzę tu dla ciebie odpowiednie zajęcie.

- Ładna chociaż, szefie?

- Niebrzydka. Ładniejsza i młodsza od mecenasowej. Będziesz miał tym razem lepszą zabawę. Po powrocie podam ci kilka bliższych szczegółów, dotyczących jej osoby. Postaraj się tymczasem o studencką legitymację.

- Zrobi się. Co mam studiować?

Leopold zawahał się chwilę.

- Akademię Sztuk Plastycznych lub coś w tym rodzaju. Zrób jakieś znajomości w „Dziurce” naprzeciw kina „Palladium”. Znasz ten lokalik?

- Tak, szefie. Zapuścić brodę?

- Możesz. W czasie mojej nieobecności, jak zwykle, nie kontaktować się z moim domem, nie zaglądać nawet na tę ulicę, nie chodzić razem, niech każdy trzyma się rodziny czy swoich znajomych. Uważać na ulicach, żeby nie podpaść milicji, nawet mandatem karnym za przejście na czerwone światło. Spokój, cisza, jak zwykle przed robotą. „Długi” - spojrzał na niego przelotnie i zaraz odwrócił głowę - będziesz miał jedno małe zadanie.

- Słucham, szefie.

W głosie był ledwo uchwytny odcień niepokoju. „Długi” rad był, że w pokoju jest ciemno; poczuł na skrzydełkach nosa krople potu.

- Wyjeżdżam dziś w nocy. Pojutrze przyjdź tutaj pod wieczór. W mieszkaniu będzie Jolanta. Zastąpisz ją na parę godzin, najdalej do północy. Może będę telefonował z Zakopanego. Pamiętaj: telefony przyjmujesz, na żadne dzwonki u drzwi nie odpowiadasz. Zapalisz małą lampkę i postawisz ją na podłodze, w tym pokoju, żeby nie widać było światła z ulicy. Zresztą, Jolanta jeszcze ci powie. Mogę na ciebie liczyć?

- Naturalnie, szefie. Pojutrze, to znaczy w piątek. Wieczorem.

Barbara pochyliła nisko głowę. Oto było najlepsze rozwiązanie. Los sam pchał im w ręce wspaniałą okazję. Cóż za przypadek! To zresztą dobrze jeszcze z innego względu - bo to znaczy, że szef ma do „Długiego” zaufanie. Jak się potem okaże, że zginęły pieniądze, zwałą wszystko na Jolantę.

- O moim powrocie dowiedzie się od Jolanty. Prawdopodobnie będzie was szukać w poniedziałek, bądźcie w ten dzień uchwytani w domu. To wszystko. Powtarzam raz jeszcze: wracam w sobotę, albo w niedzielę. Do zobaczenia.

Jak zwykle, wychodzili pojedynczo, odczekując po każdym wyjściu kilka minut. „Długi”, ukryty w bramie sąsiedniego domu, czekał na Barbarę. Kiedy

przechodziła, wciągnął ją szybko. Pobiegli na klatkę schodową, zaczęli się na trzecim piętrze. Było pusto.

- Słuchaj - zaczął zafrasowany - ja nie wiem, czy to dobrze czy źle, że mam siedzieć u niego. Jeżeli znajdę i zabiorę forszę, od razu na mnie padnie podejrzenie.

- Nie - zaprzeczyła żywo. - Urządzi się wszystko tak, że będzie na Jolantę. Można zresztą upozorować napad... albo fikcyjny telefon, że niby masz wyjść zaraz z mieszkania. Ktoś mógł dzwonić, podszywając się pod szefa. Mamy jeszcze czas na obmyślenie szczegółów. Ale przecież, „Długi”, to jest jedyna szansa! Przypomnij sobie, dwa dni temu u ciebie w domu zastanawialiśmy się, co zrobić z Jolantą, jak wejść, jak ją unieszkodliwić i nic mądrego nie wymyśliliśmy. Zrozum, tutaj chodzi przecież nie tylko o naszą forszę, ale i o to, aby zostać dalej w bandzie. No i o to, żeby... nie tak, jak z „Małym”.

Wzdrygnął się. Zdawało mu się, że z ciemności schodów spoglądają na niego błyszczące oczy Leopolda. Splunął, przetarł powieki. Tfu, do jasnej cholery! Zapalił nagle zapałkę. Oczy znikły.

- Czemu świecisz? - rozejrzała się niespokojnie.

- Nic, tak sobie. Więc myślisz, że to szansa?

- Naturalnie. Będziemy mieli kilka godzin czasu na spokojne zoperowanie mieszkania. On to musi gdzieś chować. Weźmiemy tylko to, co się nam należy.

- Dobrze. Ale przedtem musimy się upewnić, że w schowku tego szczeniaka było naprawdę osiemdziesiąt kawałków.

- Ja pójdę jutro do matki „Małego”. Znam ją od kilku lat, nie będzie trudno dowiedzieć się, ile dostała. To też będzie wskazówką, jak on z nami postępuje.

- Trudniej będzie dostać się do szpitala. Wiem, na której sali leży Borejko, ale w jakim charakterze mam się tam znaleźć? Przecież tak na pałę mnie nie wpuszczą. Zresztą, czy on mi powie? Może narobi krzyku, jeszcze zawołają gliny i wpadnę, jak śliwka w kompot.

- Tak - przyznała posepnie. - I ty, i ja mamy z nim na pieńku, a nikogo obcego wtajemniczać w to nie sposób. Gdyby się dało jakoś do niego podejść, ugłaskać... ale na to trzeba mieć trochę czasu, a on gotów z miejsca podnieść alarm. Zdaje mi się, że trzeba będzie zrezygnować z wizyty w szpitalu.

- Poczekaj! - tarł ręką czoło, usiłując skupić myśli.
- Ja mam w tym szpitalu znajomą, taką starszą

babkę, salową. Chodziła do nas kiedyś pomagać matce, prać, sprzątać i tak dalej. Od dwóch lat już nie przychodzi, odkąd matka kupiła pralkę. Ale mógłbym z nią się skontaktować, zawsze mnie lubiła.

- No i co? Przecież nie powiesz jej, o co chodzi.

- Nie. Ale mógłbym przez nią wywołać go do ogrodu szpitalnego. On może chodzić. Przebiorę się tak, że mnie nie pozna. Najważniejsze, żeby się z miejsca nie przestraszył i chciał ze mną gadać. Potem to już sobie dam radę. Musimy przecież wiedzieć, czy mamy rację.

- Tak. Czy warto ryzykować. W ogóle, chcę się przekonać, czy szef nie wystawia nas do wiatru. Od tego wiele zależy... przynajmniej dla mnie.

- Jak dla ciebie, to i dla mnie też. A teraz idź stąd. Ja wyjdę później, przez podwórze na drugą ulicę. Jutro spotkamy się wieczorem, u mnie.

Rozdział 6

- ... I ostatnio zaczął pić. Włóczę się za nim, towarzyszu kapitanie, po knajpach, coraz to inny przyodziewek ubieram, żeby się nie skapował, ale on właściwie po dwóch, trzech kieliszkach już ma błędne oczy i nogi mu pływają. Cholerna nuda z tym facetem, jak pragnę zdrowia. Siądzie przy stoliku, zamówi byle co, obejrzy sobie dokładnie wszystkich gości, a potem głowę ustawi w stronę drzwi i tak może przez parę godzin. Jak nowa babka wejdzie, on się podrywa, przygląda, a potem znowu - na drzwi. Czasem to mi go żal. Kelnerzy go już znają, z pewnością datę wpisują do rachunku, zresztą on nigdy na kartę nie patrzy, pyta ile, płaci i wychodzi. Cholernie sobie życie marnuje.

- To on jej tak szuka? Ciekawe.

- Jej. Ile dni to już trwa! Może wyjechała albo choruje.

Kapitan Szczęsny w zamyśleniu przyglądał się małemu zdjęciu, zrobionemu w jednym z lokali

gastronomicznych. Mężczyzna, siedzący przy stoliku, miał nieruchomą, jakby zastygłą twarz i na wpół przymknięte powieki. Przed nim stała filiżanka, pewnie z kawą i kieliszek, do połowy opróżniony.

- Gdzie to było? - pokazał sierżantowi fotografię. Tuczyński nachylił się, zmrużył oczy.

- To? Zaraz... chyba „Nowy Świat”. Tak, to ta kawiarnia. A tamto - przytknął palcem w inne zdjęcie o podobnej treści - w „Niespodziance”. To pod spodem, takie niewyraźne, bo było złe oświetlenie, w „Kopciuszku”. Stoi przy ladzie, blisko ekspresu do kawy, tu widać kawałek ręki barmanki, a z tyłu drzwi wewnętrzne. Wtedy miał już dobrze w czubie, spójrzcie kapitanie, jak on stoi na tych ugiętych nogach... Mogłem robić zdjęcia bez żadnego krycia, i tak by nic nie zauważył.

- Zostawcie mi je, przydadzą się. No cóż, kontynuujcie obserwację. Dowiadawaliście się w Zakładzie Medycyny Sądowej?

- Tak. Żadnych podobnych zwłok, od dwóch miesięcy. Ale przecież, towarzyszu kapitanie, sprawa może wyglądać o wiele prościej. Dziewczyna mogła zemrzeć naturalną śmiercią, nie w wypadku i rodzina mogła ją pochować bez udziału medycyny sądowej.

- Oczywiście. Toteż o zgonach wszystkich kobiet w podobnym wieku otrzymujemy stałe informacje.

- Mogła też wyjechać.

- Mogła. Ale czy nie wydaje wam się dziwne, że wyjechała tak nagle, bez uprzedzenia swego amanta? Że do niego dotąd nie napisała ani karteczki? Nie zatelefonowała? Że znikła akurat tego dnia, kiedy nastąpiła kradzież?

- Macie rację, kapitanie.

- Nie sądźcie, że wasza rola obserwatora inżyniera Waligórskiego, to jakiś błahy odcinek roboty w sprawie, która nosi kryptonim „Teresa”. Pięć dużych kradzieży, absolutnie niewykrytych, a - przynajmniej według mego zdania - popełnionych przez jedną i tę samą szajkę złodziejską... Prócz tego, związane niewątpliwie z tymi kradzieżami, morderstwo w ogródkach działkowych na Pradze. Bardzo poważna sprawa. A, jak dotąd, jedyne nici, które mogą nas zaprowadzić na konkretny ślad, to Waligórski i mecenasowa Bielińska. Niestety, oba kontakty na razie „milczą”. Może zresztą tamten ślad jest mylny, nie mamy żadnych danych, że mecenasowa ucięła sobie romans z kimś z szajki. Wiemy natomiast, prawie na pewno, że zrobił to

Waligórski. I dlatego obserwacja inżyniera jest dla nas taka ważna.

- Towarzyszu kapitanie, a dlaczego nikt nie inwigiluje Bielińskiego? Przecież to właśnie on mógł mieć taki romans, nie ona.

- Nie jesteśmy w stanie chodzić za wszystkimi. Jest jeszcze doktor Wiliński, są poszkodowani z trzech dawniejszych kradzieży. Zresztą, mecenas pół dnia spędza w sądach, wraca do domu na obiad i jedzie do zespołu. Poza tym, to stary wyga prawniczy, który bardzo szybko zorientowałby się, że jest obserwowany. No, dosyć o tym. Pamiętajcie, co macie zrobić w razie gdyby wasz podopieczny nagle odnalazł swą Tereskę.

- Pamiętam, towarzyszu kapitanie. Do widzenia.

Szczęśny zajrzał do gabinetu szefa, a widząc, że jest sam, wszedł i bez słowa wpakował się na parapet okienny. Wyraz twarzy miał niezachęcający, toteż major Daniłowicz nie przerywał swojej roboty. Upłynął tak kwadrans.

- Łysiejesz - stwierdził nagle Szczęśny z satysfakcją.

- Odczep się - mruknął szef, zagłębiony w aktach.

- I brzuch ci rośnie.

- Niech.

- Oni to sprzedają gdzieś w okolicach Nowego Targu, wiesz?

Daniłowicz uniósł głowę znad różowej teczki i zamrugał oczami. Skoki myślowe jego zastępcy wymagały cierpliwości. Sięgnął po papierosa, zapalił, odsunął akta i podrapał się po karku. Czekał, co będzie dalej.

- Mam informacje, że w tamtych stronach od pewnego czasu koncentruje się punkt sprzedaży i wymiany skradzionych towarów. Oczywiście, te transakcje nie odbywają się wagonowo i na tony. Walizeczka, torba podróżna, mały spacer z jednej ulicy na drugą, jakiś telefon... I koniec. Robota zrobiona.

- Skąd te informacje?

- Stamtąd. Nie męcz mnie.

- Słuchaj, żebyś ty miał innego szefa...

- ... to bym wyjechał na prowincję. Stefan, mieszkanie matki tego zamordowanego chłopaka, wiesz, Suchockiego, to punkt nielegalnej sprzedaży wódki. Moglibyśmy o każdej porze zamknąć w nim paru przyjemnych facetów razem z gospodynią. Ale co nam to da? Jeżeli jest to melina naszych złodziejasków, których dotąd nie znamy - ani

jednego - to co im udowodnimy? Kupno pół litra. I spłoszymy gości.

- Czemu ty mnie przekonujesz, kiedy ja ci wcale nie każę ich zamykać. Co robi inżynier Waligórski?

- Pije i szuka Teresy. Oczywiście, po godzinach pracy. Tuczyński łązi za nim po knajpach, ale jeszcze tego kwiatuszka nie znaleźli. Sierżant Wołkowicz wysiada, wraz z Bielińską, w kawiarni „Nowy Świat” i narzeka, że mu się ten lokal ogromnie znudził. Słuchaj, jeżeli do poniedziałku nic się w tej sytuacji nie zmieni, to jadę do Nowego Targu.

- Pogadamy jeszcze. Do poniedziałku daleko.

*

- Uważam, że wskaźniki planu, które przysłało nam Zjednoczenie, są nie do przyjęcia. I dlatego proponuję, aby konferencję samorządu robotniczego przesunąć na jakiś dalszy termin, dopóki nie dojdziemy z nimi do ładu.

- Kolega Waligórski ma rację - odezwał się milcząco dotychczas szef wydziału R-2. - Nie wyobrażam sobie tak poważnego zwiększenia produkcji przy tym samym stanie zatrudnienia.

- Ciekawym, co oni sobie wyobrażają, do licha - wybuchnął poirytowany kierownik planowania. - Zwiększyć wydajność? Proszę bardzo... Mówiąc między nami - dodał już zwykłym tonem - możemy to zrobić o jakieś... no, osiem procent.

- Nonsens - inżynier Waligórski wzruszył ramionami. - Pan wie równie dobrze, jak i ja, że wydajność pracy przy tym samym stanie zatrudnienia możemy zwiększyć o dwanaście procent.

Dyrektor naczelny uśmiechnął się przelotnie. On jeden wiedział, że wskaźniki ministerstwa przewidują dla nich wzrost o osiemnaście procent i, co najważniejsze, że to jest realne. Nie powiedział jednak o tym, nie chcąc wywoływać jeszcze większego rozdrażnienia. Atmosfera na sali bliska była eksplozji. Jego zastępca do spraw administracyjnych zauważył ten uśmiech i zrozumiał.

- Wobec tego - powiedział - proponuję, abyśmy zawiadomili jutro z samego rana Zjednoczenie, że stanowisko aktywu i kierownictwa zakładów jest odmienne niż dyrekcji Zjednoczenia. I że wobec tego odraczamy termin konferencji samorządu robotniczego, do... oczywiście, do całkowitego

uzgodnienia wskaźników. Tak? - spojrzał na naczelnego dyrektora.

- Tak - odparł tamten z lekkim westchnieniem. Wiedział już, że w rezultacie cała sprawa skrupi się na nim. Jak zwykle.

Wstał, przeciągnął się i zakaszłał. W niewielkiej salce konferencyjnej było duszno i ciemno od dymu, mimo szeroko otwartych okien. Rozejrzał się, a dojrawszy Waligórskiego, który w milczeniu, nie odpowiadając na pytania szefa produkcji, zbierał notatki do teczki - podszedł do niego, ujął za ramię i odprowadził na bok.

- Niech pan chwilę zaczeka, podwiozę pana do domu. Chciałbym po drodze o czymś pomówić - rzekł, nie patrząc na inżyniera.

- Dobrze - odparł tamten apatycznie, przecierając zaczerwienione powieki. Zamknął teczkę, stał przez chwilę zgarbiony z przymkniętymi oczami i nieruchomą twarzą. Niektórzy, spoglądając na niego ukradkiem, szeptali coś między sobą, a w ich wzroku była mieszanina pobłażania, współczucia i złośliwości.

Jechali bez kierowcy, dyrektor naczelny od pewnego czasu sam prowadził służbową wołgę, zwłaszcza kiedy zostawał dłużej w Zakładach. Przy

bramie udał, że nie widzi kierownika planowania, który liczył na podwiezienie i wcześniej wyrwał się z budynku dyrekcji. Dodał gazu, skręcił w Wolską, zwolnił jadąc w długiej kolumnie pojazdów i odezwał się:

- Jestem daleki od tego, żeby zwracać panu jakąkolwiek uwagę na temat życia prywatnego i w ogóle tego, co robi pan poza murami Zakładów. Dostałem jednak w ciągu tygodnia aż trzy anonimy na pański temat. Nie mogę - no, po prostu nie wolno mi przejść nad tym do porządku dziennego.

- Rozumiem - odparł inżynier. Twarz miał bez wyrazu, patrzył przed siebie. - Czego dotyczyły te anonimy?

- Podobno pije pan w lokalach i coraz częściej wychodzi z nich w stanie... no, mocno nietrzeźwym. Jeden z anonimów sugerował nawet, że dwukrotnie spędził pan noc w Izbie Wytrzeźwień.

- To nieprawda. Można łatwo sprawdzić.

- Nie potrzebuję, wierzę panu na słowo. Chodzi mi o to, że jako dyrektor techniczny jest pan, bądź co bądź, na eksponowanym stanowisku, ludzie pana znają, widzą, nie tylko w Zakładach i, co tu dużo mówić, oburzają się. Anonimy mógłbym ostatecznie

rzucić do kosza. Wczoraj jednak rozmawiał ze mną na ten temat sekretarz komitetu zakładowego.

- Dlaczegoż nie przyszedł z tym do mnie?

- Nie wiem. Tomaszewski to porządny facet, nie lubi wtrącać się w takie sprawy, ale... Zbyt dużo ludzi już o panu mówi, inżynierze, i nie są to rzeczy pochlebne. - Dyrektor wziął ostry zakręt, o mało nie zderzył się z autobusem, zaklął i przyhamował. - Niech mi pan powie, panie Jerzy, co się z panem dzieje? Pytam jako starszy wiekiem i doświadczeniem kolega, nie jako zwierzchnik. Ma pan jakieś kłopoty, zmartwienie? Może mógłbym pomóc?

- Dziękuję. Nie jest pan w stanie mi pomóc. Nikt nie jest w stanie, jeżeli ja sam... To prawda, że piję. Może mi się uda jakoś z tym skończyć, ale nie gwarantuję. Za daleko już...

- Wpadł pan w jakieś długi? Niechże pan nie robi z tego takiej tajemnicy, każdy z nas popełnia różne błędy, u licha. Zgrał się pan na Służewcu, czy coś w tym rodzaju?

- Nie, to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Nie mam długów.

- Chyba się pan nie zakochał nieszczęśliwie? - zażartował dyrektor, skręcając w Marszałkowską.

Waligórski odwrócił głowę w bok.

- Skądże - mruknął. - Chce pan, żebym jechał jutro z panem do Zjednoczenia?

„Niedobrze - pomyślał dyrektor. - Zdaje się, że zgadłem”.

- Chętnie, razem może prędzej ich przekonamy. Wracając jeszcze do naszej rozmowy... Zresztą, nie chciałbym do niej wracać, ale niech mi pan obieca, że pan to jakoś zlikwiduje, to picie i tak dalej. Może chce pan wziąć teraz urlop?

- Nie, dziękuję. Wsiądę tu, na rogu. Do widzenia.

*

Dochodziła dziewiąta wieczór. Wszystkie stoliki w „Niespodziance” były zajęte. Kilku amatorów kawy stało w przejściu, rozglądając się to w prawo, to w lewo i czyhając na miejsce.

Kelnerki, zmęczone całodziennym bieganiami, snuły się po sali z coraz słabszą energią. W bufecie brakowało już ciastek i lodów.

Waligórski potknął się przy wejściu i odruchowo złapał za ramię idącego przed nim, starszego mężczyzny z teczką. Ten obejrzał się, napotkał

spojrzenie wystraszonych i nie bardzo przytomnych oczu, mruknął coś i niecierpliwie wyszarpnął rękę.

- Przepra... praszam - powiedział inżynier. - Bardzo pana przepraszam, ja się... niech się pan nie gniewa, ja...

- Panie, idźże pan do licha!

- Ja bardzo prze... przepraszam. Ja...

Waligórski był pijany. Zatrzymał się niepewnie na środku kawiarni, dziwiąc się, gdzie znikł człowiek, do którego właśnie chciał wygłosić dłuższe przemówienie. Rozglądał się dokoła, usiłując rozróżnić twarze, ale wszystkie były jednakowe, przesłonięte szarą mgłą, bardzo dużo twarzy, całe mnóstwo oczu, nosów, otwartych ust, każda twarz coś mówiła, czegoś chciała, nic z tego nie mógł zrozumieć. Chwiejnym krokiem podszedł do bufetu, oparł się o ladę i zamaszystym ruchem strącił na ziemię filiżankę.

- Panie, niech pan uważa! - zawołała bufetowa zajęta rozmową z kierowniczką. - Co tam się zbiło?

- Filiżanka - odparła kierowniczka, mierząc gościa uważnym spojrzeniem. - Niech mu pani każe zapłacić. Powinien pójść do domu, ma już zdaje się dosyć na dziś.

- Przepraszam - powiedział znowu Waligórski, zadowolony, że znalazł właściwe słowo. - Ja bardzo prze... przepraszam, że...

- Sześć złotych. Płaci pan sześć złotych. Czy pan słyszy?

Sierżant Tuczyński, w modnej koszulce polo i letnich, popielatych spodniach, przypatrywał się tej scenie z balkonu kawiarni, oparty o balustradę. Na wargach błąkał mu się ironiczny uśmiezek. Ciekaw był, czy Waligórski po raz trzeci będzie kogoś przepraszał.

Nagle znieruchomiał, wychylił się mocniej. Inżynier gwałtownie przepchał się do jednego ze stolików, przy którym siedziała młoda, jasnowłosa dziewczyna. Była w towarzystwie starszego pana z wąsikami, który przechylony nad stolikiem mówił coś do niej cicho i jakby prosząco. Dziewczyna siedziała bokiem do balkonu i sierżant widział jej ładny, czysty profil, opalone czoło i ramiona. Miała na sobie niebieską, luźno opadającą bluzkę. Jadła lody i uśmiechała się do mówiącego.

Waligórski zatrzymał się przed ich stolikiem. Dziewczyna podniosła wzrok na niego, ściągnęła brwi. Jej towarzysz patrzył ze zdziwieniem na stojącego przed nimi mężczyznę.

Sierżant zbiegł do dolnej sali i zatrzymał się przy szatni udając, że wybiera papierosy.

- Teresko, jak mogłaś... dlaczego nie przychodzisz? Tyle czasu nie było cię u mnie, nie zostawiłaś adresu, nie piszesz. Co się z tobą działo, dziewczyno?

- Mówię przecież, że pan się myli - odparła z wyraźną niecierpliwością w głosie. - Nie jestem żadna Teresa, nie znam pana.

Waligórski roześmiał się tak głośno, że przy sąsiednich stolikach zaczęto się na niego oglądać.

- Teresko, żarty sobie ze mnie stroisz? Jak to: nie znasz mnie? Cóż to za komedia? Naprawdę nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

- Jolu, kim jest ten pan? - spytał towarzysz dziewczyny. - Dlaczego mówi do ciebie: Tereso?

- Ależ ja go wcale nie znam! Przecież widzisz, że on nawet nie wie, jak mi na imię. Pewnie nie wie również, jak się nazywam. No? - spojrzała na inżyniera z ironią. - Może pan powie, jak ja się nazywam?... Co?

- Teresko - Waligórski z trudem przełknął ślinę, zdawało mu się, że coś mu zaciska gardło. - Jeżeli nie chcesz mnie znać, to trudno. Ale wytłumacz mi chociaż, dlaczego? Co się stało? Co ci zrobiłem?

W tej samej chwili, spoza pleców inżyniera wysunął się młody mężczyzna w koszulce polo i popielatych spodniach. Usiłował przejść obok stolika, ale mijając pana z wąsikami uderzył go dość silnie łokciem w głowę.

- Panie, jak pan chodzi? - zawołał tamten, pocierając obolałe czoło. - Nie możesz pan uważać?

- A pan mi nogę podstawił, o mało się nie przewróciłem. Jak panu nie wstyd, starszy człowiek i takie głupie dowcipy.

- Ja? Ja panu nogę podstawiłem? - siedzący zerwał się z miejsca. - Patrz pan, gdzie były moje nogi, a gdzieś pan szedł, o, tu były, a pan tędy szedłeś, coś pan, z byka spadł?

- Wypraszam sobie! - wrzasnął sierżant Tuczyński i złapał swą „ofiara” za klapy marynarki. - Ja pana nauczę!

Dziewczyna usiłowała się wtrącić, ale jej towarzysz odepchnął ją silnie, myśląc, że to ktoś obcy. Waligórski, rozdrażniony do najwyższego stopnia, widząc to uderzył go pięścią po plecach.

- Bijesz mnie, łobuzie? - krzyknął pan z wąsikami, rzucając się w stronę sierżanta. - Ja ci pokażę!

- Leć po milicję - powiedziała kierowniczka do kelnerki. - Co za wstyd, tyle miesięcy już się tutaj nie

bili, a dzisiaj znowu.

Za chwilę do kawiarni wszedł umundurowany milicjant z budki na placu Konstytucji, a za nim oficer z komendy dzielnicowej, również w mundurze. Tuczyński zrobił do niego ledwo dostrzegalny ruch ręką i pokazał oczami na dziewczynę.

- O co tu chodzi? - spytał milicjant. - Dlaczego pan robi awantury w lokalu - zwrócił się do pana z wąsikami, patrząc jednak na Waligórskiego, gdyż nie widział, kto tu jest winien a kto poszkodowany.

- Ja wyjaśnię, panie kapralu - rzekł szybko Tuczyński. - Przechodziłem obok stolika, a ten pan podstawił mi nogę, o mało nie przewróciłem się na podłogę. Nie przeprosił mnie, tylko użył brzydkich wyrazów, coś o byku, a potem zaczął mi grozić.

- Nieprawda, wcale tak nie było! Ja siedziałem spokojnie z tą panią przy stoliku, a ten pan przechodził i uderzył mnie...

- Chwileczkę! - przerwał oficer. - Sprawę wyjaśnimy w komendzie na Wilczaku. Kawiarnia to nie miejsce na przesłuchanie. Proszę, wszyscy obywatele zamieszani w zajście pójdą ze mną.

- Pan płaci za kawę, ciastka i lody - wtrąciła się kelnerka - a pan za stłuczoną filiżankę.

- To już nawet naczynia się tłucze? - milicjant był wyraźnie zgorszony. - Proszę płacić i idziemy. W lokalu musi być spokój.

W komendzie dzielnicowej na Wilczaku oficer skierował się od razu na górę, do jednego z pustych pokoi, gdyż po drodze Tuczyński zdążył mu szepnąć kilka zdań na ucho. Kiedy wszyscy weszli, oficer rzekł:

- Proszę dokumenty. Dowody osobiste albo legitymacje służbowe. Pani? - zwrócił się do dziewczyny.

Podawała mu dowód. Waligórski, oszołomiony nieprzewidzianym biegiem wypadków, zobaczył nagle rozłożony na stoliku dowód, z którego oficer przepisywał dane personalne. Pochylił się i nad jego ramieniem przeczytał „Jolanta Ząbkiewicz, urodzona w roku 1947”...

- Jolanta? - zapytał z najwyższym zdziwieniem. - Masz na imię Jolanta? A ja cię nazywałem Teresa.

- Niechże pan się wreszcie ode mnie odczepi! - krzyknęła ostro. - Pijany i plecie, co mu ślina przyniesie na język. „Teresa” i „Teresa”. Nie znam pana i koniec.

- Pański dowód?

Inżynier trzęsącymi się rękami długo grzebał w portfelu, zanim wydobyl z niego swój dowód osobisty i podał oficerowi.

- Proszę. Ale ja nie miałem nic wspólnego z awanturą z tymi panami. Ja chciałem tylko przywitać się... pani jest moją dobrą znajomą, to znaczy: była moją znajomą, bo teraz... - Spróbował się uśmiechnąć, ale wykrzywił tylko usta.

Oficer usiadł za biurkiem i udawał, że przepisuje coś z dokumentu sierżanta Tuczyńskiego. Sprawdził jeszcze personalia pana z wąsikami, wstał i powiedział stanowczym tonem:

- Tym razem nie kieruję upomnienia ani wniosku do kolegium za zakłócenie porządku publicznego, ale żeby mi to było ostatni raz! Proszę wychodzić po kolei. I nie kłócić się więcej, bo na przyszłość nie będę taki pobłażliwy.

Opuszczali komendę w milczeniu, chowając dokumenty i spoglądając na siebie spode łba. Dziewczyna miała zacięte usta, a w oczach niepokój. Jej towarzysz próbował wziąć ją za rękę, ale odsunęła się niechętnie. Zaraz za drzwiami komendy pożegnała go i, skinąwszy na przejeżdżającą taksówkę, wskoczyła do niej tak szybko, że Waligórski nie zdążył jej zatrzymać.

- Teresa! - krzyknął, machając ręką.

- Panie - mężczyzna z wąsikami zawahał się, ale po chwili przystąpił do niego i rzekł z pobłażliwym uśmiechem - znam tę dziewczynę od blisko roku i mówię panu życzliwie, jak człowiek do człowieka, że nigdy nie miała na imię Teresa. Coś się pan tak uczeplił, słowo daję, nieszczęśliwy z pana facet. Może ona i podobna do tej pańskiej Teresy, ale całe życie była Jolantą. Mieszkam niedaleko niej, to przecież wiem.

Tuczyński przystanął obok nich, zapalił papierosa.

- Pan myśli, że ja bym jej nie poznał? - odezwał się Waligórski cichym głosem. - Ja bym... i za sto lat bym ją poznał, choćby nie wiem jak się zmieniła. A, co tam zresztą.

Machnął ręką i odszedł w stronę, w którą odjechała taksówka.

- Zakochał się chłop, słowo daję - mruknął wąsaty i zachichotał. - Żeby tak zgłupieć przez jedną cizię!

Spojrzał na Tuczyńskiego, nie pamiętał już urazy. Przyjął od niego papierosa, wzruszył ramionami.

- Dziewczyna całkiem niczego - rzekł sierżant niedbałym tonem. - Tylko to przecież jeszcze dzieciak. Może ma starszą siostrę?

- Gdzie tam! Mieszka tylko z matką. Żadnej siostry nigdy tam nie było. Pomylił się pewnie, ładnych blondynek w Warszawie sporo. Jakby ją naprawdę znał, to by chciał wiedzieć gdzie ona mieszka i jak się nazywa, no nie? Jakby ją tak dobrze znał.

*

„... Uszkodzenie wątroby występuje najczęściej przy dootrzewnym stosowaniu sulfonamidów. Jest ono rzadkie przy leczeniu doustnym sulfapirydyną i sulfatiazolem. Nie dostrzegamy dotychczas...”

Zadzwoił telefon. Kapitan Szczęsny z westchnieniem odłożył podręcznik toksykologii i ciągnąc za sobą pantofle, poczłapał do nocnego stolika. Zanim podjął słuchawkę, rzucił okiem na zegarek. Było dwanaście minut po jedenastej.

- Słucham...
- Informacja Pekaesu?
- Omyłka.

Rzucił słuchawkę, przeciągnął się. Postanowił poczytać do wpół do dwunastej, a potem iść spać.

Kiedy wziął książkę do ręki telefon znów zadzwonił. Zawahał się, ale podszedł.

- Słucham.

- Czy to informacja Pekaes?

- Mówiłem przecież, że pomyłka. Numerów pan nie rozróżnia? Mógłby pan nie budzić ludzi po nocy.

Zirytowany poczłapał do łazienki i nadstawił twarz pod strumień chłodnej wody. Upał dawał się we znaki nawet o tak późnej godzinie. Szczęsny otrząsnął się jak pies i nie wycierając mokrych policzków, wrócił do pokoju. Wtedy telefon odezwał się po raz trzeci. Złapał słuchawkę, postanawiając zdrowo nawymyślać upartemu facetowi.

- Słucham! - zawołał groźnie. - To znowu pan?

- Cześć, kapitanie, melduje się Tuczyński.

- A, to wy... Coś nowego?

- Chyba tak. Mogę wpaść do was?

- Oczywiście. Gdzie jesteście?

- W komendzie na Wilczej. Będę za pięć minut.

Przyszedł po kwadransie, usiadł na świeżo wypranych skarpetkach, które Szczęsny przez roztargnienie rzucił na krzesło, i rzekł bez żadnych wstępów.

- Jolanta Ząbkiewicz, lat szesnaście, mieszka z matką na Woli, Karolkowa sześć.

- Dlaczego zaczynacie od końca? - zniecierpliwił się kapitan.

Sierżant opowiedział przebieg wieczoru w „Niespodziance” i wizytę w komendzie. Nagle poruszył się niespokojnie, uniósł lekko na krzesełku i wyciągnął spod siebie mokre skarpetki.

- Przepraszam - rzekł Szczęsny, widząc spojrzenie pełne wyrzutu - ale ja wam nie kazałem na tym siadać. Połóżcie je gdzieś. Jak będzie, czy Waligórski się nie pomylił? Przecież był pijany.

- Nie. To znaczy, był pijany, ale na pewno się nie pomylił. I rysopis tej dziewczyny zgadza się z rysopisem, jaki on nam podał parę tygodni temu. Nie, kapitanie, tym razem chyba mamy jakiś ślad. Zanotowałem również nazwisko jej towarzysza przy stoliku i sąsiada na Karolkowej, bo kto wie, co to za numer. Wygląda przyzwoicie, ale ja ludziom nie wierzę.

- To źle, sierżancie. Trzeba zawsze wierzyć i sprawdzać. Dlatego, jeżeli nie jesteście bardzo zmęczeni, skoczcie na tę Karolkową i pooglądajcie sobie dom, w którym mieszka Jolanta Ząbkiewicz. Porozumcie się, możliwie jeszcze dzisiaj, z komendą

na Woli, dadzą wam pewnie jakieś bliższe informacje. Jutro rano trzeba będzie sprawdzić w sekcji do walki z nierzędem, może ją tam mają w kartotece.

- Czy mam dalej chodzić za inżynierem?

Szczęśny zamyślił się na chwilę. Właściwie rola, jaką w tej sprawie wyznaczył Waligórskiemu, nie pytawszy zresztą o jego zgodę, już się skończyła. Całą uwagę należało teraz przenieść na Jolantę-Teresę.

- Nie. Chciałbym, abyście zajęli się dziewczyną. Bardzo ostrożnie, sierżancie! Mamy prawo przypuszczać, że to cwaniaczka pierwszej klasy. Czy wyście, tam na Wilczej, powiedzieli przy niej, kim jesteście?

- Kapitanie, za kogo mnie macie? - Tuczyński prawie się obraził. - Ja już tam przypuszczałem, że towarzysz kapitan wyznaczy mnie do tej roboty. Ona nie zna mojego nazwiska ani fachu.

- Dobrze, Weźmiecie do pomocy, sierżanta Kowalewskiego, ja mu to jutro powiem. Będziecie się zmieniać. Najważniejsze, to ustalenie bliższych danych dziewczyny. Kim jest, z kim przestaje, co robi, czy gdzieś pracuje i tak dalej. Dziś mamy - spojrział na zegarek, było po północy - czwartek. Do południa chcę mieć jak najwięcej danych.

*

Andrzej otulił się mocniej szpitalnym szlafrokiem. Od okna wiał chłód, pewnie ktoś wyszedł właśnie na korytarz i zrobił przeciąg.

Nie chciało mu się otworzyć oczu. Siedział na łóżku oparty o ścianę i udawał, że drzemie. Sąsiad z prawej co jakiś czas cichym szeptem robił mu nieprzyzwoite propozycje lub prowokacyjnie rozkładał na kołdrze pornograficzne zdjęcia. Właściwie mógł powiedzieć o tym lekarzowi, byłby go z pewnością przeniósł do innej sali, ale ta była najprzyjemniejsza, cicha, umieszczona na końcu korytarza, w dodatku miała duży balkon z kwiatami.

Sąsiad z lewego łóżka ciągle spał. Był z zawodu tramwajarzem, pracował przeważnie na nocnej zmianie, i – jak twierdził – odsypiał teraz na zapas i zaległe. Dwaj inni chorzy, po drugiej stronie sali mieli dobrze po sześćdziesiątce i nie interesowało ich już nic, oprócz własnego zdrowia i szpitalnego jedzenia. Trzecie łóżko obok nich było wolne.

Weszła salowa, pani Antonina. Andrzej ją lubił, przypominała mu babkę, która mieszkała w Krakowie i czasami podczas letnich wakacji odwiedzał ją w małym mieszkaniu przy placu Axentowicza.

Salowa powiedziała coś jednemu ze staruszków, poprawiła tramwajarzowi koc i zbliżywszy się do chłopca, szepnęła mu do ucha:

- Niech pan wyjdzie przed budynek, ktoś tam na pana czeka. W ogrodzie.

Andrzej zdziwił się, a potem przestraszył. Nie wiadomo dlaczego wyobraził sobie, że to ojciec nagle wrócił z Wietnamu.

- Kto czeka? - spytał, marszcząc brwi. - Czemu tu nie przyjdzie?

- Jeden chłopak. Nie chce się pokazywać lekarzom, bo teraz nie pora na odwiedziny, przecież już po kolacji. Niech pan idzie, to porządny chłopak, ja go znam.

- Jak się nazywa?

Ale salowa odwróciła się i znikła w korytarzu. Zlazł z łóżka, wsunął nogi w pantofle. Mógł to być któryś z jego szkolnych kolegów, dowiedzieli się, że leży w szpitalu i przysłali jednego „w delegacji”. Fujara, że też nie przyszedł w porze wizyt, byliby sobie dłużej pogawędzili. Pewnie Mietek albo Kazik-kujon. Byli w domu i ciotka powiedziała.

Zszedł na parter, minął szatnię dla odwiedzających i przystanął na schodkach, rozglądając się uważnie. Ktoś stał trochę dalej, pod

drzewem. Nie rozpoznał sylwetki, było już ciemno. Zszedł na płyty chodnika, zgubił pantofel i skakał przez chwilę na jednej nodze, zanim go odnalazł. Wreszcie podszedł do drzewa.

To nie był żaden z kolegów. Jakiś zupełnie obcy chłopak, w okularach, z dużym plastrem, zakrywającym mu część twarzy i z obandażowaną dłonią. Zatrzymał się przed nim niezdecydowany, nie wiedząc, co powiedzieć. Ale tamten wyciągnął zdrową rękę i spytał cicho:

- Andrzej Borejko?

- Tak. Skąd ty jesteś?

Chłopak pokazał głową w kierunku dalszych pawilonów szpitalnych.

- Stamtąd. Leżę na neurologicznym.

- Po coś przyszedł?

- Pogadać z tobą.

- Przecież ja cię nie znam. Jak się nazywasz?

- Adam Kazimierski. Słuchaj, ciebie też „oni” urządzili? Barbara i tamci?

Andrzej obejrzał się dokoła, potem pociągnął chłopaka dalej, pod krzak bzu. Był zaintrygowany i podniecony.

- Skąd wiesz o mnie? Kto ci powiedział? Gadaj!

Chłopak uśmiechnął się; nie było widać tego uśmiechu, ale miał go w głosie, kiedy odrzekł:

- Skąd wiem, to... no, nie mogę ci powiedzieć. Ale możesz mi zaufać. Rozumiesz, boję się, żebyś się potem nie wygadał. Chodzi mi o moją skórę, już raz porządnie oberwałem. Poza tym zabrali mi trochę rzeczy. Magnetofon walizkowy, zegarek, pieniądze.

- Mnie dużo więcej - mruknął Borejko ze złością. - I co? Tak to zostawiłeś, nie próbowałeś odebrać?

- Próbowałem i widzisz, o, ręka i twarz, a było jeszcze gorzej, tylko już się trochę zagoiło. Teraz milczę i tylko uważam, czy które z nich nie jest w pobliżu. To mocna szajka, mówię ci. Źle im wchodzić w drogę. A cholernie mi było żal tego magnetofonu.

Andrzej wzruszył ramionami.

- Co tam jeden magnetofon! Ja miałem prawie osiemdziesiąt tysięcy i poszło.

- Bujasz! - roześmiał się tamten. - Osiemdziesiąt patyków? Może osiem. Skąd byś miał tyle forsy.

- Miałem. Wygrałem w totka, wiesz? Tak mi się trafiło. I wszystko rąbnęli ze schowka.

- Całe osiemdziesiąt?

- Nawet setki nie zostawili. Wiem dobrze, bo poprzedniego dnia przeliczałem i każde dziesięć kawałków przewiązałem gumką, żeby łatwiej

zapamiętać. Było siedem paczek, a w ósmej brakowało trochę, zdaje się, że dwóch tysięcy.

- No, no! - rzekł chłopak z podziwem. - To się na tobie dobrze obłowili. - Obejrzał się, ktoś przeszedł uliczką między pawilonami. - Muszę wracać na salę, nasz lekarz tu łązi. Serwus, trzymaj się. I pamiętaj, ani słowa nikomu o naszym spotkaniu. Zайдę jeszcze do ciebie.

- Cześć, Adam.

Chłopak potrząsnął mu rękę i znikł za drzewami. Borejko stał jeszcze chwilę, rozmyślając nad tym dziwnym spotkaniem, a potem powoli wszedł na schodki. Teraz mu się zdawało, że w głosie Adama Kazimierskiego było coś jakby znajomego. Ale co?

*

Sierżant Tuczyński nie przyniósł w południe wielu bliższych danych o Jolancie Ząbkiewicz, z tej prostej przyczyny, że dziewczyna nie wróciła na noc do domu. To, czego się dowiedział, można było łatwo stwierdzić w biurze meldunkowym i w komendzie dzielnicowej na Woli, ale nie o takie informacje chodziło. Jolanta nie była notowana ani w komendzie

wolskiej, ani w sekcji do walki z nierzędem. Matka jej otrzymała przed paru tygodniami wczasy w Łądku-Zdroju i nie było jej w Warszawie od trzech dni. Duża kłódka, zawieszona na drzwiach, świadczyła wyraźnie, że żadna sąsiadka ani krewna nie gospodaruje w mieszkaniu.

Dozorca, umiejętnie zaczepiony, rozgadał się, więcej jednak o matce dziewczyny niż o niej samej. Pracownica tramwajów wpadła widać w oko tęgiemu stróżowi domu, z jego uśmiechów i półsłówek można było nawet sądzić, że sprawy zaszły już tam dosyć daleko. O Jolancie natomiast dozorca nie umiał czy nie chciał wiele mówić. Ot, przystojna dziewczyna, chłopcy się za nią oglądają, ale do „takich” nie należy, do domu nikogo nie sprowadza, zresztą matka by nie pozwoliła. Czy Jolanta pracuje, tego nie umiał wyjaśnić. Chyba tak, bo skąd by miała na ładne sukienki, torebki i te wszystkie rzeczy. Owszem, czasami i po kilka dni nie wraca na noc, ale mieszka wtedy u koleżanki, gdzieś w śródmieściu, ma też jakąś ciotkę na Mokotowie.

- No więc tak to wygląda, towarzyszu kapitanie - zakończył Tuczyński. - Teraz tam sterczy Heniek, znaczy się Kowalewski. Źle, że mi dziewczyna uciekła wczoraj sprzed komendy na Wilczej, ale żeby

tam nawet stała druga taksówka, to przecież nie mogłem jej gonić, podpadłbym Waligórskiemu i temu z wąsikami.

- Tak. No cóż. Trzeba czekać, zanim nie wróci do domu. Zawiadomcie mnie, sierżancie, nawet jeśli by to było w nocy. Na razie idźcie odespać zarwaną noc. Zmienicie Kowalewskiego o dziewiątej wieczór - zakończył Szczęsny, sięgając po słuchawkę.

Połączył się z informacją o pogodzie; miał nadzieję, że ten piekielny upał wreszcie ustąpi przed jakimś niżem z zachodu. Ale pogodynka oznajmiła mu uprzejmie, że jutro „wiatry słabe z kierunków południowych, temperatura do trzydziestu stopni, bardzo ciepło”. Zaklął. To było rzeczywiście lato stulecia. Wspaniałe na urlopie, mordercze w mieście podczas pracy.

Wszedł porucznik Kręglewski, rzucił teczkę na krzesło, koszulę miał mokrą od potu.

- Słuchaj, dlaczego oni noszą szelki na wierzch? - spytał ze zdziwieniem, przysiadając w kącie obok szafy, bo zdawało mu się, że tam jest chłodniej.

Szczęsny mimo woli rozejrzał się po pokoju, a nie widząc nikogo prócz nich dwóch, odparł:

- Nikt nic nie nosi. Padło ci na mózg i swędzi?

- Ojej, jakiś ty tępy. Ci wszyscy, w tramwajach czy na ulicy, co na którego spojrzę, to ma szelki na koszuli. A przecież to się zawsze chowało pod marynarkę.

- Taka moda.

- Zobaczysz, na przyszły rok włożą gacie na wierzch. Powiedzą, że moda. Stary u siebie?

- Nie, wyjechał na Puławską. A co chcesz?

- Urlop. I tak teraz nie dadzą, ale co mi szkodzi złożyć podanie. Można potem powiedzieć: „już cztery razy składałem, towarzyszu majorze, i za każdym razem odrzucaliście!”. On zapomni, że to było raz, wzruszy się i da.

Zadzwonił telefon.

- Nie ma mnie - mruknął Szczęsny. - Odbierz.

Kręglewski westchnął ciężko do słuchawki, kaszlnął, przez chwilę przysłuchiwał się z zadowoleniem niespokojnemu: „halo?” a potem powiedział:

- Słucham was, kapitanie.

- Dlaczego się nie odzywacie od razu? - ostro rzucił ktoś po tamtej stronie słuchawki.

- Zdaje się, że mam gripę, kapitanie. Kaszlę i gorączkuję.

- To idźcie do domu, a nie straszcie w komendzie.
Jest kapitan Szczęsny?

- Biłek? - spytał Szczęsny szeptem, odkładając pióro. Kręglewski skinął głową i pytająco podsunął mu słuchawkę, ale tamten gwałtownie zaprotestował. Zerwał się przy tym z krzesła, przewracając je na podłogę. Mały porucznik zachichotał.

- Co wy tam wyprawiacie - odezwał się Biłek zniecierpliwiony. - Spadliście z krzesła, czy co u licha.

- Prawie - szepnął Kręglewski i zakaszłał.

- Pytałem, czy jest kapitan Szczęsny?

- Nie ma. Będzie jutro. Czy coś mu powtórzyć?

W słuchawce mruczało i sapało, wreszcie kapitan Biłek rzekł z niezadowoleniem:

- Nie potrzeba. Sam jutro zadzwonię. Albo... powiedzcie mu, że Komenda Główna baaardzo - rozciągał to słowo, miało zabrzmieć groźnie, ale nie wyszło - interesuje się tymi siedmioma kra...

- Pięcioma - przerwał słodko porucznik. Biłek prychnął pogardliwie.

- Niech wam będzie, że pięcioma. I tak wystarczy. Więc powtórzcie, że towarzysz komendant główny osobiście interesuje się pięcioma wielkimi, a dotąd

niewykrytymi kradzieżami. Nie dalej jak wczoraj o tym wspominał.

- Byliście wczoraj w Bułgarii, towarzyszu kapitanie? - zainteresował się nagle Kręglewski.

- Dlaczego w Bułgarii?

- Zdawało mi się, że powiedzieliście: „wczoraj o tym wspominał”, a generał jest w Bułgarii.

Biłek chrząknął i umilkł na chwilę. Szczęsny, który słuchał rozmowy przez drugą słuchawkę, parsknął śmiechem.

- No, dobra - zakończył tamten niezręcznie. - Do widzenia.

- Do widzenia, kapitanie - wykaszał porucznik basem. Rzucił słuchawkę na widełki i rzekł rozweselony: - Stawiasz mi dwie porcje lodów. To było mistrzowskie posunięcie, nie uważasz?

- Uważam. Najlepsze lody podobno naprzeciwko „Grandu”, w barze kawowym. Zaprosić cię?

- Idź do diabła. Wystarczy mi „Bambino”, znam twoją kieszeń.

Rozdział 7

Pod wieczór zanosło się na burzę, ale jeszcze nie było wiatru i niebo, zaciągnięte szaro-żółtymi chmurami, stało nad miastem milczące i groźne.

Pomidory na straganach zmarszczyły się z nadmiaru słońca, poziom Wisły opadł do stanu alarmowego, a ponieważ tego nie zaplanowano, władze miasta jednym papierkiem zlikwidowały ciepłą wodę, póki poziom się nie podniesie. Jakoś nie chciał.

Wszyscy więc z utęsknieniem spoglądali na chmury, które miały przynieść upragniony deszcz.

„Długi” czekał na Barbarę w małej kawiarence niedaleko placu Dzierżyńskiego. Zjadł porcję lodów, pogrzebał łyżeczką na dnie metalowego kieliszka i znalazł tam kawałek biletu tramwajowego – a może autobusowego, papier był mokry i nie dało się stwierdzić dokładnie – co wprawiło go w głęboką zadumę. Kiedy indziej zrobiłby awanturę, nawet lubił takie zdarzenia. Teraz jednak nerwy miał zbyt

napięte, aby rozpocząć scysję z kelnerką. Bilet, to jeszcze nie było takie straszne.

Kelnerka jednak podeszła sama, a że jak zwykle nie miała reszty z dwudziestu złotych, wymownym ruchem pokazał jej kieliszek i wykrzywił się ze wstrętem.

- Jak wy robicie te lody - warknął, raczej dla zasady niż z oburzenia. - Widzi pani, co tam pływa?

- Nie pływa, a leży. - Pochyliła się niżej, miała krótki wzrok. - Bilet? Zupełnie niemożliwe, proszę pana.

- Jak to - niemożliwe? Przecież ja tego nie wsadziłem.

- Ale u nas wszyscy mają bilety miesięczne - odparła obrażona i odeszła, zabierając kieliszek.

- Wspaniale! - powiedziała Barbara, stając przy jego stoliku. - Widzisz, jak ci wytłumaczyła? Zatkąło cię, prawda? No, to chodźmy.

Wyszli na ulicę, każde pogrążone w swoich myślach, twarze mieli ściągnięte i skupione, nie patrzyli na siebie. Barbara ubrana była w najstarszą, kretonową sukienkę i wydeptane „klapki”, nie chciała zwracać na siebie uwagi na ulicy, nawet włosy przeczesła zwyczajnie na bok, byle jak.

„Długi” wsadził ręce w kieszenie spodni i włókł się na pozór obojętnie, pogwizdując coś z cicha. Schował ręce, bo mu drżały. „Długi” się bał.

To było zupełnie co innego wślizgnąć się do obcego mieszkania, razem z „Cwaniakiem” i „Zbyszkiem” czy „Małym”, wiedząc, że ktoś o wiele mądrzejszy od nich, ktoś silny i diabelnie sprytny, wszystko już z góry obmyślił, opracował, a teraz czuwa z daleka nad ich krokami, gotów każdej chwili przyjść z pomocą. Robota była niełatwa, ale dawała wiele emocji.

Teraz jednak sprawa przedstawiała się wręcz odwrotnie. To on sam, sam jeden miał wykiwać tego mądrzejszego, silniejszego, miał to w dodatku zrobić tak, żeby nie spalić za sobą mostów i nie narazić się na kulę z pistoletu, czy nóż...

„Długi” zdawał sobie sprawę, że Leopold w razie czego nie będzie się wahał przed niczym.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze - zaczął, aby przerwać te niewesołe rozważania - jak było u matki „Małego”.

- Tak, jak przewidywaliśmy. On jej posłał tylko to, co myśmy dali. Od siebie nic. Swoją drogą, jak on musiał się potem z nas nabijać!

„Długi” wyobraził sobie nagle ironiczny uśmiech Leopolda. Z wolna krew napływała mu do twarzy. Zwinął ręce w pięści, przyspieszył kroku. Tak, kiedy się o tym myślało, zaraz wszystko stawało się łatwe.

Przeszli przez plac, minęli – nie patrząc w lewo – Pałac Mostowskich. W ulicy Nowotki znów zwolnili kroku. Byli już prawie u celu.

W oknach mieszkania Leopolda przez zaciągniętą zasłonę przebijało żółte, łagodne światło.

- O której miałeś tam być?

„Długi” spojrzał na zegarek.

- O dziewiątej. Za dziesięć minut. Zresztą, mogę już wejść, z Jolantą nie będę się patyczkował. Powiem, że przyszedłem wcześniej, bo mi tramwaj tak podjechał.

- Poczekaj... - Stali teraz w bramie, dokoła nich było pusto. Barbara położyła mu rękę na policzku, pogłaskała lekko. Głos jej dygotał, jak w febrze. - Uważaj, jakby coś tam było nie w porządku, to nic nie rób. Słyszysz?

- No.

„Długi” wciąż miał przed oczami kpiąco-ironiczny uśmiech ładnie zarysowanych ust Leopolda. Już się nie bał.

- Będę czekać na ciebie w domu.

- Przecież wszystko omówiliśmy - zachnął się niecierpliwie. - Idź, nie stój tu. Jolanta nie powinna cię zobaczyć. Wsiądź zaraz do tramwaju albo weź taksówkę. No, już. Idź!

Schylił się, pocałował ją krótko, mocno i znikł w ciemnej klatce schodowej.

Zadzwoił tak, jak mu kazano: dwa razy krótko i raz długo, odczekał chwilę i powtórzył sygnał. Prawie w tej samej chwili drzwi otworzyły się bezszelestnie. Jolanta odsunęła się trochę, wpuszczając go do środka. Przedpokój był nieoświetlony. Potknął się o wieszak i uderzył boleśnie w łokieć.

- Czego nie zaświecisz? - syknął gniewnie, rozcierając bolące miejsce. - Zęby można powybić.

Sięgnął do kontaktu, ale nie pozwoliła. Pociągnęła go za sobą do pokoju, gdzie na niskim stoliku obok telefonu stała śliczna, kolorowa lampa.

- Tu masz papierosy - powiedziała, wskazując na półkę przy tapczanie. - Jeżeli chcesz, możesz sobie zrobić herbaty albo kawy, w kuchni wszystko uszykowałam. Pamiętaj, że na dzwonek, który nie jest naszym umówionym sygnałem, nie otwierasz, tylko momentalnie gasisz światło. Nie wolno ci go już zapalić, bo ktoś może wyjść na ulicę i obserwować

okna. W kuchni jest zaciemnienie, tam możesz potem siedzieć.

- Jak za okupacji. Powiedz, na co ta cała konspiracja ze światłami? Bo nie bardzo rozumiem.

- Nie musisz rozumieć. Szef tak powiedział i niech ci to wystarczy. Chcesz to zapytaj jego, jak wróci. No cześć „Długi”. Wrócę za trzy godziny, może trochę wcześniej. Tylko nie zaśnij, bo jeżeli on zatelefonuje, a ty od razu nie odbierzesz, będzie wściekły.

- Gdzie szef pojechał?

- Nie twoja sprawa.

- Coś taka ważna? Szefowa!

Jolanta zbladła. Zacisnęła rękę w pięść i podsunęła chłopakowi pod nos.

- Uważaj, ty - mruknęła gniewnie. - Nie pozwalaj sobie za wiele.

Odepchnął rękę, rozwalił się na tapczanie i wykrzywił do niej szyderczo. Wiedział, że niepotrzebnie rozdrażnia dziewczynę, ale był zły i niespokojny.

- Złóścisz się, bo on cię nie chce? - zakpił, zapalając papierosa. - Nie martw się. Twój były amant szuka cię po całej Warszawie, możesz czasem dać mu się odnaleźć. A na szefa nie licz, on na takie

jak ty nie patrzy. Głupia smarkata. No, co się tak gapisz?... Jak masz iść, to wynocha.

Zaniepokoiło go jej milczenie. Coś w tym było niezrozumiałego. Pewien był, że rzuci się na niego z pięściami, pobiją się trochę i wyładuje jakoś to zdenerwowanie. Ale ona stała przed nim nieruchomo ze spuszczonej rękami, patrząc ponuro spod opadłej na czoło grzywy złotych włosów.

- Wynoś się! - krzyknął, zrywając się z tapczanu. - Wynoś się, bo wyrzucę na schody.

Cofnęła się przed nim, nie spuszczać oczu. Potem jakby oprzytomniała, westchnęła ciężko, sięgnęła po swoją torebkę. W progu obejrzała się jeszcze raz.

Trzasnął automatyczny zamek w drzwiach, nastąpiła cisza. Wrócił na tapczan i trzęsącymi się rękami zapalił nowego papierosa, tamten gdzieś mu się zapodział. Położył się, starając oddychać równo, spokojnie. Wiedział, że zachował się idiotycznie. Jolanta na pewno powie o wszystkim szefowi, on ją mimo wszystko wyróżniał i lubił na swój sposób. No, trudno. Wy tłumaczy się jakoś, powie, że go zęby bolały i nie mógł się opanować.

Nie lubił tej dziewczyny, sam nie wiedział dlaczego. Niejednokrotnie zdawało mu się, że to

właśnie Jolanta informuje Leopolda o wszystkim, co mówią między sobą, kiedy zbiorą się gdzieś nad jeziorem Kamionkowskim czy w parku. Przeważnie jednak z nimi nie chodziła, a trudno sobie wyobrazić, że podsłuchiwała za krzakami, tak, jak to zrobił ten szczeniak Borejko.

Mimo to posądzał Jolantę o śledzenie ich i szpiegowanie.

Kiedy zadzwonił telefon, „Długi” był tak pogrążony w myślach, że zerwał się przestraszony i oblany potem. Przez kilka sekund siedział bez ruchu, potem oprzytomniał i chwycił słuchawkę.

- Halo! - powiedział zachrypłym głosem.

- Zaziębiłeś się, „Długi”? - usłyszał znajomy, spokojny głos Leopolda. - Powinieneś sobie przepłukać gardło.

Odchrząknął, przełknął ślinę.

- Nie, szefie. Nie mam chrypki. Tak tylko.

- Więc słuchaj. Wracam w niedzielę. Jutro wyjeżdżam z Zakopanego do Krakowa, tam się zatrzymam i w niedzielę wieczór będę w mieszkaniu. Powiedz Jolancie, żeby czekała na mój przyjazd... Halo, słyszysz mnie dobrze?

- Tak, szefie. Żeby Jolanta była w niedzielę wieczorem tutaj, u szefa w domu.

- Czy nie było żadnych telefonów?

- Ja dopiero przyszedłem. To znaczy - spojrzał z przestraczem na zegarek i szybko poprawił się - przyszedłem o dziewiątej, dwadzieścia minut temu, to nie było żadnego telefonu. A Jolanta... nie wiem, nic mi nie mówiła.

- Może zadzwonię jeszcze raz za półtorej godziny. Będę miał polecenie dla „Cwaniaka”, jutro mu powtórzysz. Czy Jolanta dała ci papierosy? Powinny być obok telefonu albo na półce!

- Są, szefie. Ja... - urwał i nagle zdecydował, że lepiej od razu, bo szef był widać w humorze. - Ja się z nią trochę przemówiłem. Nic takiego, takie tam. A ona zaraz się obraziła, rzuciła się na mnie z pięściami. Strasznie nerwowa dziewczyna.

- Dobrze, „Długi”. Nic nie szkodzi. Kto się lubi, ten się czubi. Jak wrócę, pošlę Jolantę na urlop, należy jej się. Do widzenia.

- Do widzenia, szefie.

Odłożył słuchawkę. Jeszcze chwilę czekał, czy nie zadzwoni centrala, pytając o zakończenie rozmowy, ale nikt już się nie odezwał. Spróbował, czy jest normalny sygnał. Był.

- W porządku - mruknął do siebie. Najwyższy czas zabrać się do roboty.

Wciągnął czarne, bawełniane rękawiczki, z kieszeni wiatrówki wyjął dwa doskonałe wytrychy, śrubokręt i obciążki, na wszelki wypadek. Potem rozejrzał się uważnie po pokoju. Przenosił wolno wzrok od obrazu do szafy, od szafy do kaloryfera, potem na biurko, na drugą szafę, w końcu wrócił spojrzeniem do tapczanu i zamyślił się. Pomacał ostrożnie ciężką wełnianą narzutę w barwne kwadraty. Wyczuł pod spodem pościel. Spróbował otworzyć tapczan. Poszło lekko, sprężyny ugięły się i odskoczyły.

Zajrzał do środka i wzruszył ramionami. Oczywiście, tylko idiota mógł przypuszczać, że ktoś taki jak Leopold będzie trzymał pieniądze w tapczanie. Schowek dobry dla handlarek z bazaru albo emerytów.

Pierwsza szafa nie była zamknięta. Wisiały w niej ubrania, futro w nylonowym worku od moli, krawaty. Na półce, starannie poukładane koszule i inne części męskiej bielizny. Mimo woli obejrzał i policzył koszule, a potem zdziwił się trochę. Sądził, że Leopolda stać było na więcej i na ładniejsze. Skarpetek również nie było dużo. Widocznie szef nie zwracał specjalnej uwagi na zaopatrzenie garderoby.

Druga szafa była zamknięta, ale wytrych łatwo sobie z nią poradził. Otworzył delikatnie, aby nie uszkodzić zamka. Na półkach, od góry do dołu leżały... worki. Zwykłe, jutowe worki, w jakich przenosi się ziemniaki czy marchew. Dłuższą chwilę medytował nad zawartością szafy, ale nie znalazł rozwiązania zagadki. Na co Leopoldowi potrzebne było aż tyle worków? Może przewoził w nich towar, jadąc do Zakopanego samochodem. „Długi” wiedział, że gdzieś w okolicach Zakopanego i Nowego Targu szef sprzedaje to wszystko, co oni zabrali z cudzych mieszkań. Tak było bezpieczniej, rozumiał to; sprzedawanie skradzionych rzeczy w Warszawie czy pod Warszawą mogło ich narazić na szybki kontakt z milicją i prokuratorem.

Doszedł do wniosku, że worki służą właśnie do tego celu i zamknął szafę, nie omieszkając jednak przedtem wymacać każdą półkę, czy nie kryje prócz worków czegoś innego.

Spojrzał na biurko, potem na swoje wytrychy. Obawiał się, że tutaj tak łatwo mu nie pójdzie. Z pewnością Leopold dobrze zabezpieczył swoje papiery, pieniądze i kosztowności. Bał się zarysować ostrym narzędziem politurę szuflad lub zamek. Taką

rzecz wprawne oko zaraz pozna. Trzeba więc chyba jakoś inaczej.

Znieruchomiał nagle, bo zdawało mu się, że przez pokój przepłynął świeży powiew wiatru. Rzucił okiem na okno. Było otwarte i przysłonięte barwną zasłoną, która poruszała się lekko. Nie pamiętał, czy na dworze jest wiatr i czy zasłona poruszała się przez cały czas. Zgasił lampę, podszedł na palcach do okna, wyjrzał ostrożnie. Ulica była pusta. Któż zresztą mógłby o tej godzinie dobierać się do mieszkania na drugim piętrze. Nonsens. Pewnie nadciąga burza, kotłowała się już od południa, szkoda czasu na obserwację przyrody.

Postanowił jednak otwierać biurko przy zgaszonej lampie. Miał w palcach ogromne wyczucie, nie potrzebował światła do takiej roboty. Leciuteńko obracał w środkowej szufladzie najlepszy ze swoich wytrychów, próbując, macając delikatnie, nad słuchując czy nie zgrzytnie metal sprężynki.

Wreszcie... Wyprostował się, ocierając grube krople potu, który spływał mu z czoła i osiadał na nosie. Szuflada była otwarta. Wysunął ją do połowy, zaświecił ręczną latarką i zastygł, spoglądając prawie nieprzytomnie na zawartość biurka.

W szufladzie, równo obok siebie poukładane i powiązane sznurkiem czy gumką – właśnie tak, jak mu o tym mówił Andrzej na szpitalnym dziedzińcu – leżały pięćsetki, pięć paczek, każda po dziesięć tysięcy złotych. Więcej nie było, oczywiście, przecież dostali wszyscy po trzy tysiące, a Barbara sześć, resztę pewnie zabrał ze sobą do Zakopanego.

Zobaczył w myśli gładką, ciemną twarz Leopolda, usłyszał jego cichy głos, kiedy mówił o przypadającej na każdego z nich części. A więc to tak było. Barbara miała rację. Z osiemdziesięciu tysięcy dostali po trzy. Pewnie to samo było przy każdej robocie. Oni przecież w nocy, kiedy się spieszyli, nie mogli ocenić ile co było warte, zresztą właściwie nie znali się na biżuterii i dolarach. A on z tego odpowiednio korzystał.

Zaciął zęby. Wyjął pierwszą z brzegu paczkę banknotów, wsunął ją do kieszeni spodni, potem drugą, trzecią. Czwartą upchnął za koszulę, piątą porozmieszczał w bocznych kieszeniach wiatrówki, starając się, aby zbytnio nie było znać. Potem zasunął szufladę i odwrócił się, aby zapalić papierosa.

Poczuł, że wszystka krew powoli odpływa mu z twarzy, a nos bieleje ze strachu. Z ręki w czarnej

rękawiczce wysunął się wytrych, upadając bezszelestnie na gruby, miękki dywan.

W drzwiach stał Leopold. Patrzył na niego spokojnym wzrokiem, w którym nie było gniewu, tylko zaciekawienie. Mimo to „Długi” aż ugiął się pod tym wzrokiem. Nie mógł się poruszyć, jakby mu ktoś poprzetrącał kolana. Stali więc tak naprzeciw siebie, nic nie mówiąc.

Potem Leopold sięgnął ręką do kontaktu. Łagodne światło zalało pokój, ukazując porozkładane na biurku narzędzia, porzuconą latarkę i wypchane pieniędzmi kieszenie „Długiego”.

I kiedy tak sterczał na sflaczałych nogach, usiłując zrozumieć jak to się mogło stać, że Leopold, który przed pół godziną był w Zakopanem, teraz znajduje się w swoim mieszkaniu w Warszawie – raptem jak błyskawica przeszła go myśl, po której już wiedział. Telefon! To nie był zamiejscowy telefon! To był przecież zwyczajny, miejski sygnał, nie zaś naglące, wielokrotne alarmy zamiejscowej. Jakimż był skończonym idiotą, że tego od razu nie zauważył!

A teraz na wszystko było już za późno.

*

Jolanta zadzwoniła do drzwi, postanawiając nie odezwać się do „Długiego” ani jednym słowem. Policzy się z nim później, jak już szef będzie obecny. Teraz wszelka utarczka, słowna czy ręczna, nie miała sensu.

- Śpi, czy co? - mruknęła do siebie, kiedy nikt nie otwierał. Zadzwoniła jeszcze raz. potem jeszcze... Nie, niemożliwe żeby zasnął tak twardo.

Nagle przypomniało jej się, że ma przecież w torebce klucze od mieszkania i zaśmiała się ze swego roztargnienia. Jeżeli „Długi” zasnął, będzie jeszcze jeden powód, aby poskarżyć się na niego przed Leopoldem. Niecierpliwie otworzyła drzwi, zamykając je za sobą. Zobaczyła, że w dalszym ciągu pali się kolorowa lampa na stoliku. Ale „Długiego” w pokoju nie było.

- Gdzie jesteś? - zawołała, rozglądając się dokoła.
- Cóż to za głupie kawały?... No, odezwij się, idioto!... Czekał, szef dowie się o wszystkim.

Poszła do kuchni. Kawa w puszce, paczka herbaty, imbryk na gazowej fajerce - wszystko tak, jak zostawiła, nieruszone, imbryk zimny, filiżanka czysta. Zajrzała do łazienki. Nikogo. Ani śladu, żeby tu ktoś mył ręce lub używał tuszu nad wanną.

Znów wróciła do pokoju, uważnie rozglądając się dokoła. Dwa niedopałki papierosów w popielniczce, kilka wypalonych zapalek. Narzuta na tapczanie lekko wygnieciona w jednym miejscu, Coś ją tknęło, podeszła do biurka, spróbowała, czy szuflada się nie otwiera, ale była zamknięta.

Przez dobrą chwilę stała na środku pokoju, nie mogąc zrozumieć, co się stało, dlaczego „Długi” odszedł tak nagle, bez uprzedzenia, bez porozumienia się z nią, nie zostawiwszy nawet karteczki. Co się mogło stać? Może szef zadzwonił z Zakopanego i wysłał go gdzieś w pilnej sprawie?

Usiadła na tapczanie. Z szafy, w której Leopold trzymał garderobę, wystawał koniuszek jakiegoś ciemnego materiału. Przyglądała się temu bezmyślnie, potem wstała i otworzyła drzwi szafy. Krawat – granatowy krawat w drobny jaśniejszy rzucik – zsunął się bezszelestnie na dywan.

Może „Długi”, lekceważąc wszystko, pożyczył sobie od szefa garnitur i wyszedł wcześniej, aby się zabawić? Ale nie. Wszystkie ubrania Leopolda, znała je na pamięć, wisiały spokojnie w szafie. Krawat był może źle powieszony, albo też „Długi” zabawiał się przeglądaniem cudzej garderoby.

Powiesiła krawat na swoim miejscu, zamknęła szafę. Wszystko wskazywało na to, że chłopak pozwolił sobie na niedopuszczalną rzecz, wyszedł nie czekając na jej powrót. Pewnie szef telefonował i „Długi” myślał - albo się dowiedział - że dziś już więcej dzwonić nie będzie; osądził więc, że można spokojnie iść do domu.

Więc dobrze. O wszystkim szef się dowie, zaraz po powrocie do Warszawy.

*

- Mamy ją, kapitanie - powiedział sierżant Tuczyński, wchodząc do gabinetu. - Wczoraj wieczorem odwiedziła nareszcie pielesze rodzinne. Nie na długo, co prawda, bo przed północą znowu wyszła, ale Heniek już jej nie odstąpił. Będzie tu dzwonił.

Szczęśny szukał czegoś, przerzucając stos notatek i protokołów.

- Słuchajcie, sierżancie, czy ja wam... aha, jest. W porządku. Więc mówicie, że była w domu?

- Tak. Przyszła sama, rozejrzała się dokoła zanim weszła do bramy, ale nie mogła mnie dojrzeć, stałem

naprzeciw jej domu, dobrze schowany. Była ubrana w kolorową, szeroką spódnicę i wyciętą bluzkę bez rękawów. Torebka w białe i żółte pasy, pełno takich teraz na wystawach. Ładna dziewczyna, ta Jolanta Ząbkiewicz. Włosy jasne, puszyste, bardzo gęste, spadają jej aż na ramiona. I buzia jak u lalki. Nie dziwię się Waligórskiemu. Można stracić głowę, kapitanie.

Szczęśny mruknął coś pod nosem, ale w tej chwili zadzwonił telefon. Był to Kowalewski. Zameldował, że Jolanta o północy weszła do bramy domu przy ul. Nowotki trzydzieści jeden i wprawdzie dzwoniła parokrotnie do drzwi, oznaczonych – jak później sprawdził – numerem sto szesnaście, a potem wyjęła z torebki klucze, otworzyła drzwi i weszła. Jest tam aż do tej chwili. Powiedział, że telefonuje z budki po drugiej stronie ulicy i dodał desperackim tonem, że od godziny należy mu się zmiana.

Kapitan obiecał, że za parę minut kogoś podrzuci. Ulica Nowotki, to było przecież niemal obok komendy. Podał Tuczyńskiemu karteczkę, na której napisał adres, polecając zasięgnąć języka o właścicielu mieszkania.

- Tylko nie u dozorca - zastrzegł się. - Żadnych ułatwień, sierżancie! To może być ważny ślad.

- Rozumiem, kapitanie. Ona tam jeszcze siedzi?

- Tak. Kowalewski powiedział, że wpierw dzwoniła kilka razy do drzwi, a potem otworzyła je własnymi kluczami. Ciekawe, czy tylko zapomniała, że ma klucze przy sobie, czy też była tu jakaś inna przyczyna.

- Sygnał, coś takiego, kapitanie?

- Właśnie. Wydaje mi się, że mieszka tam jej nowy amant, którego potem będą chcieli obrabować. Jestem prawie pewien, że Jolanta służy szajce za wabika. Dzwoniła do drzwi, może chcąc się przekonać, czy facet jest w domu, a potem weszła przy pomocy podrobionych kluczy.

- To byłoby ryzyko. On mógł nie być w domu, ale przecież każdej chwili mógł nadejść.

- Oczywiście. Dowiedzcie się, sierzancie, wszystkiego, co tylko się da o lokatorze mieszkania, a ja pošlę zmianę Kowalewskiemu.

W dwie godziny później Tuczyński położył przed kapitanem kartkę zapisaną starannym, trochę niewyrobionym pismem. Był to żądany meldunek.

„W domu przy ul. Nowotki trzydzieści jeden, w mieszkaniu oznaczonym numerem sto szesnaście - czytał Szczęsny, podczas kiedy sierżant, zadowolony ze swego dzieła, w milczeniu palił papierosa -

zamieszkuje niejaki Karwa Leopold, urodzony 26 marca 1925 roku w Warszawie, z ojca Feliksa i matki Janiny, z domu Nowak. Karwa Leopold mieszka pod powyższym adresem od czterech lat, poprzednio zameldowany był w Podkowie Leśnej. Karwa zatrudniony jest w Centrali Spółdzielczej (ul. Marszałkowska 79), gdzie pracuje jako kontroler. Cieszy się dobrą opinią pracownika zdolnego, energicznego i sumiennego...”.

Szczęśny dojrzał, że obok słowa „energicznego” było, niezbyt starannie wykreślone, „żutkiego” i popatrzył na sierżanta z niezadowoleniem.

- Jak się pisze: rzutki? - spytał surowo.

- Tam tego nie ma - odparł Tuczyński stanowczo.

- Ale było. Chyba z pięć razy wam mówiłem, że przez er-zet, a wy ciągle piszecie przez zet z kropką.

- Towarzysz kapitan weźmie pod uwagę, że miałem pisać szybko. Myślałem o treści, nie o ortografii.

- O ortografii się nie myśli. Ją się ma.

- Gdzie? - spytał Tuczyński zdumiony.

- W głowie. W palcach. Ostatecznie, w słowniku.

Dobra, mniejsza z tym - „... i sumiennego. Posiada samochód numer WT-2324 marki wartburg, kupiony

na raty w lipcu ubiegłego roku. Raty spłaca regularnie.

Mieszkanie pod numerem sto szesnaście składa się z pokoju o wymiarach dwudziestu i dwóch metrów, dwuokiennego, oraz z łazienki, niszy, w której urządzono kuchenkę i małego przedpokoju. W mieszkaniu są tylko jedne drzwi wejściowe, od frontu. Karwa Leopold posiada w mieszkaniu telefon, nr 30-32-37. Karwa jest nieżonaty, mieszka sam. Jego miesięczne pobory wynoszą dwa tysiące osiemset trzydzieści cztery złote plus kwartalna premia, zależna od wyników pracy całej Centrali”.

- Czyli, ile facet może zarabiać miesięcznie, wraz z premią? Średnio?

Tuczyński pomyślał chwilę.

- Jakieś... trzy i pół do czterech.

- Ofiara warta grzechu - mruknął kapitan. - Samotny, z samochodem, z mieszkaniem, pewnie szafa dobrze zaopatrzona, może jeszcze jakieś dodatkowe zarobki, tu i ówdzie. Zdaje mi się, że szykuje się szósta kradzież.

Wstał, pozbierał papiery do teczki, zadzwonił do majora Daniłowicza i oficjalnym tonem, ze względu na Tuczyńskiego, poprosił o rozmowę.

- Weźmiemy to mieszkanie na warsztat? - spytał sierżant zachęcająco. Był rad, że jego wiadomości ruszyły wreszcie, jak się zdawało, sprawę nieszczęsnych kradzieży.

- Ano, trzeba będzie. Przygotujcie pismo do prokuratora o zezwolenie na założenie tam podsłuchu telefonicznego. Ja pójdę teraz do naczelnika, jak wrócę, to podpiszę.

*

W niedzielę, późnym popołudniem, przed dom na ulicy Nowotki trzydzieści jeden zajechał biało-pomarańczowy wartburg. Wsiadł z niego mężczyzna dość wysoki, szczupły, o ciemnych włosach, ubrany w kremową, jedwabną koszulkę z krótkimi rękawami i amerykańskie, letnie spodnie. Wyjął z samochodu małą walizeczkę, zamknął wóz i wszedł do bramy.

Minął obojętnie wózek z wodą sodową, której sprzedawca schronił się widać przed słonecznym żarem w chłód mrocznej sieni. Kiedy mężczyzna był już na klatce schodowej, sprzedawca ospale wytoczył wózek przed dom. Wtedy rowerzysta, majstrujący

coś zapamiętała przy swoim pojeździe, po drugiej stronie ulicy, wszedł nagle do budki telefonicznej.

Wózek z saturatorem zniknął już na zakręcie, kiedy Leopold cicho otworzył drzwi do mieszkania. Na pierwszy odgłos klucza, Jolanta poderwała się do przedpokoju.

- To ty! Nareszcie! - zawołała. Twarz miała rozpromienioną, oczy błyszczące, jak w gorączce.

Pocałował ją lekko w policzek.

- Zrób mi kawy - powiedział, wchodząc do pokoju.
- Jestem zmęczony.

Posłusznie wsunęła się do kuchni i zaczęła krzątać, starając się nie sprawiać hałasu. Leopold nie lubił szcękania talerzy. Po chwili usłyszała jednak szum wody, spadającej do wanny; widać poszedł się kąpać, można więc było nie zwracać zbytnio uwagi na kuchenne odgłosy.

Kiedy siedzieli już w pokoju przy kawie, Leopold w cienkiej, szarej piżamie i z włosami, błyszczącymi od wilgoci, odważyła się rozpocząć rozmowę.

- Chciałam ci powiedzieć, że „Długi” nie jest wart twojego zaufania.

Nie zauważyła, że ręka, którą mieszała z wolna cukier, lekko drgnęła. Twarz Leopolda była jednak spokojna, i nieruchoma. Piękne oczy koloru

ciemnego złota, ocienione długimi jak u kobiety rzęsami, spojrzały na nią z roztargnieniem.

- Tak? Nie przyszedł w piątek, jak mu poleciłem?

- Przyszedł. Ale zachowywał się arogancko, uderzył mnie... Potem, kiedy wróciłam w nocy, kilka minut po dwunastej, jego już nie było. Nie zostawił nawet żadnej kartki, co się stało, dlaczego wyszedł nie czekając na mnie. Nic. Czy kazałeś mu odejść?

- Jak to: czy kazałem?

- Miałam na myśli, że może zadzwoniłeś i kazałeś mu iść, załatwić jakąś sprawę.

Leopold milczał chwilę, bawiąc się srebrnym nożem do rozcinania papieru.

- Przecież wiesz, że telefonowałam z Zakopanego dopiero w sobotę. Sama odbierałaś telefon.

- Tak, ale... mogłeś dzwonić również i w piątek. W każdym razie, „Długi” do dziś się nie pokazał, nie wytłumaczył.

- Dziwne. Miałem go zawsze za solidnego chłopca. Czy po powrocie do mieszkania zauważyłaś może jakiś nieporządek, coś, co wskazywałoby, że prócz „Długiego” był tu jeszcze ktoś inny?

Jolanta zawahała się.

- Nie, nic takiego. Chyba ten krawat. Ale to... nie, nic.

- Jaki krawat?

Nagle zaniepokoiła się. Znała go już tak dobrze, że wyczuła teraz w jego głosie coś, co kazało mieć się na baczności. Był zły. Co się mogło stać?

- Zdaje mi się - zaczęła z wysiłkiem - że „Długi” przeglądał twoje rzeczy w szafie, bo krawat, ten granatowy w jaśniejszy wzorek, leżał na dnie i jeden koniec wystawał, przytrzaśnięty drzwiami szafy. Powiesiłam go na miejsce. Ale mógł przecież sam spaść.

- Myślę raczej, że „Długi” rzeczywiście zabawiał się oglądaniem mojej garderoby. Poza krawatem nic nie zauważyłaś? Na pewno?

- Nie - wzruszyła ramionami. - On nawet nie pił kawy, chociaż pokazałam mu wszystko w kuchni, jak kazałeś. I do łazienki też chyba nie wchodził. Ręczniki były suche, mydło nieruszone.

Milczał przez dłuższą chwilę, przyglądając jej się uważnie. W końcu wyciągnął rękę, przygarnął ją do siebie i pieścotliwym ruchem gładził po nagich, opalonych ramionach. Przymknęła oczy.

*

„Uwaga, podajemy komunikat. W piątek, szesnastego lipca, wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił Jerzy Stawrowski, lat dziewiętnaście, zamieszkały w Warszawie przy ulicy Nowowiejskiej sześć. Podajemy rysopis zaginionego: wzrost metr siedemdziesiąt dziewięć, włosy ciemne blond, oczy niebieskie, nos prosty. Ubrany był w zielonkawą wiatrówkę, spodnie – dżinsy koloru granatowego, koszulę niebieską, sandały. Ktokolwiek wiedziałby o zaginionym Jerzym Stawrowskim, proszony jest...”.

Kapitan Szczęsny przekręcił gałkę. Już od wczoraj radio podawało kilka razy dziennie ten komunikat, na prośbę zrozpaczonej matki i nieco mniej zrozpaczonego, lecz w każdym razie zaniepokojonego ojca. Dyrektor Stawrowski nie wierzył w zaginięcie syna. Twierdził, że chłopak zawsze był nieznośny i nieobliczalny. Pewnie wybrał się z kolegami autostopem „w Polskę”, nie uważając za stosowne zawiadomić o tym rodziców. Przyśle za jakiś czas kartkę znad morza czy z Mazur, albo zjawi się w domu, jak mu zabraknie pieniędzy.

Matka była jednak innego zdania. Kiedy kapitan z nią rozmawiał, zwierzyła mu się, że Jurek wprowadzie

raczej unikał rozmów z despotycznym ojcem, ale z nią był zawsze szczery i o takim wyjeździe na pewno by wspomniał. Nie zabrał z domu żadnych rzeczy, nawet torby ani plecaka, wszystkie koszule wisiały w szafie, był też na swoim miejscu aparat fotograficzny i gitara.

Szczęśny, który zainteresował się sprawą po usłyszeniu komunikatu, sądził wprawdzie, że można wybrać się autostopem po Polsce bez gitary i aparatu, przyznawał jednak rację pani Stawrowskiej, że Jurek wziąłby w taką podróż kilka koszul i plecak. Najbliższy, bo w tym samym domu mieszkający kolega chłopca, Zbyszek Rakowski, nic nie wiedział o jego wyjeździe. Wyglądało, że mówi zupełnie szczerze.

Szczęśny zajrzał do notesu i nakręcił numer telefonu Stawrowskich. Odezwała się matka Jerzego; głos miała cichy, jakby nabrzmiały płaczem.

- Tu kapitan Szczęśny z Komendy Miasta. Dobry wieczór pani. Czy w dalszym ciągu żadnej wiadomości od syna?

- Nie, proszę pana. Nie... Dziś był u nas jeden z jego szkolnych kolegów... to znaczy, z technikum... który słyszał komunikat i przyszedł dowiedzieć się. Pytałam, czy nie wie, kto mógłby jeszcze coś

powiedzieć o Jurku, wie pan, on ma koleżanki, o których z nami raczej nie mówi, więc może któraś z nich. Ten chłopiec obiecał mi, że pójdzie pod wszystkie znane mu adresy i zapyta.

Szczęśny poprosił o nazwisko i adres chłopca, zanotował, a potem powiedział:

- O ile pamiętam to jest już jedenasty dzień od chwili wyjścia syna z domu, prawda?

- Tak. Dziś jest wtorek. Jedenasty dzień...

- Proszę pani - rzekł szybko, nie chcąc, żeby się rozplakała - czy syn nie wspominał kiedykolwiek o koledze nazwiskiem Suchocki?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Suchocki? - powtórzyła wreszcie niepewnie. - A nie wie pan, jak on ma na imię?

- Kazimierz. Taki nieduży blondynek, ostrzyżony najeża. Mieszkał... to znaczy, mieszka na Grochowie.

- Nie pamiętam. Był tylko jeden jego znajomy, o którym parę razy powiedział „mały”. Tak jakoś dziwnie, nie używał w stosunku do niego ani imienia, ani nazwiska, tylko „mały”. Jakby jakieś przezwisko. Ten chłopiec do nas bardzo rzadko przychodził, mąż go nie lubił. Był chyba z bardzo prostej rodziny, bo nie miał żadnego obycia. Ale w stosunku do mnie był grzeczny. Owszem, to był niewysoki blondyn... a czy

ostrzyżony najeża, to nie wiem, bo ostatni raz był u nas chyba zimą.

- „Mały” - Szczęsny zamyślił się. - Nie wie pani, gdzie on mieszkał?

- Chyba na Pradze, tak mi się wydaje. A czy tego chłopca też nie ma w domu? Może razem gdzieś pojechali?

W głosie pani Stawrowskiej była nagle ożywiona nadzieja. Szczęsny ściągnął brwi.

- Nie wiem - odparł ostrożnie.

*

To był już jedenasty dzień. Barbara dawno straciła nadzieję na powrót „Długiego”. Tak się dać okpić, tak wystawić do wiatru! Nie miała cienia wątpliwości, że znalazł w mieszkaniu szefa pieniądze Borejki, może nawet zabrał jeszcze coś więcej - i po prostu uciekł z Warszawy. Słyszała radiowy komunikat. A niech szukają. Niech go znajdą, może wtedy...

Nie, nie bardzo wiedziała, co wtedy. Jeżeli do tej pory nie ma go w domu, to pewnie zdążył już wydać co najmniej połowę pieniędzy. Siedzi gdzieś nad

morzem albo na Mazurach, zadekowany w jakiejś chłopskiej chałupie i zastanawia się, co teraz robić.

Chyba, że jest już za granicą. Ale nie bardzo wierzyła w jego kontakty z ludźmi, którzy potrafią przerzucić „na drugą stronę”.

Wiedziała, że Leopold wrócił w niedzielę do Warszawy, rozmawiała o tym przelotnie z Jolantą. Pytała, czy był zły. Jolanta zdziwiła się. Zły? Nie, dlaczego? Leopold wrócił w dobrym humorze.

Nie odważyła się zapytać, czy z mieszkania coś zginęło, Jolanta zrobiła tylko jakąś ironiczną uwagę o „Długim”, że „dostanie od szefa, jak się tylko pokaże”. Spytała, dlaczego. Jolanta wzruszyła ramionami.

- Miał siedzieć w mieszkaniu do mego powrotu - rzuciła ostro, mrużąc złośliwie niebieskie oczy. - Ale jak przyszedłem, to już go nie było.

- Oczywiście, powiedziałaś o tym szefowi. - W głosie Barbary był żal i niechęć. - Musiałaś to zrobić, prawda? Jemu i mnie na złość. Jaka ty jesteś wstrętna, Tereso!

- Wiesz, że nie wolno ci nazywać mnie Teresą! To co, że powiedziałam. Powinnam była to zrobić, „Długi” jest samowolny, jeszcze się kiedyś doigra. Dlaczego się nie pokazuje? Boi się.

- Wyjechał.

- Dokąd wyjechał? Dlaczego nie zawiadomił szefa?

Barbara zmierzyła dziewczynę wymownym spojrzeniem.

- Za dużo sobie pozwalasz - mruknęła. - Nie ty jesteś szefem, nie przed tobą „Długi” będzie się tłumaczył.

- Kłamiesz. Dobrze wiesz, że nie wyjechał, tylko go nie ma, gdzieś się przyczaił, słyszałam przecież komunikat przez radio. Ten twój amant, to po prostu tchórz. I jeszcze, żeby było o co, ale o takie głupstwo! Szef by go skrzyczał i tyle. A teraz nie możemy bez niego ruszyć następnej roboty. „Śliczny” już swoje zrobił, babka obrobiona na medal, mieszkanie jak cacko, pełne szafy, a tu czekaj, aż on się pokaże! Och, ja bym mu dała. - Jak szef się rozgniewa, to go sam poszuka i da mu wciurę.

Następnego dnia, po daremnym szukaniu w kawiarniach, Barbara wróciła do domu zdenerwowana do ostatnich granic, rozzalona i gniewna. Była sama, bo ciotka wyjechała na całe lato, powierzając jej pieczę nad mieszkaniem. Rzuciła się na tapczan, przymknęła oczy i po chwili rozplakała się gwałtownie. Co robić? Jak odnaleźć

„Długiego”, zanim zrobi to szef? Przypomniał jej się „Mały”, przeszedł ją zimny dreszcz. Jeżeli „Długi” nawiał z pieniędzmi i szef go znajdzie, chłopak gotów wszystko wyśpiewać, a wtedy... marny los. Przed Leopoldem nie było gdzie się skryć.

Przyszło jej na myśl, żeby napisać do milicji anonim. Wytarła zapłakaną twarz, siadła przy stoliku nad kartką papieru listowego. Zamyśliła się.

Napisać tak: „Jerzy Stawrowski, którego szukają przez radio, zabrał dużą sumę pieniędzy z mieszkania Leopolda Karwy, przy ulicy Nowotki trzydzieści jeden...”. Zaraz, co przez to osiągnie? Jeżeli milicja go znajdzie, to zamknie w areszcie. Tam przynajmniej będzie bezpieczny przed szefem. No, dobrze. Ale czy Leopold, którego oczywiście o to zapytają, przyzna, że został okradziony? A jeżeli zaprzeczy? Jeżeli on prędzej znajdzie „Długiego” niż milicja?

Ktoś zastukał do drzwi. Zbladła. Zerwała się z krzesła przerażona, prawie nieprzytomna. Nagle przyszło jej na myśl, że to „Długi”. Podbiegła do drzwi, zawahała się.

- Kto tam? - spytała szeptem, a gdy pukanie powtórzyło się, powtórzyła głośniej: - Kto tam?

- Otwórz, Barbara.

To był głos Leopolda. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby przychodził do jej mieszkania. A więc może już wie?... Oparła się plecami o ścianę, czując, że słabnie. Wzywać pomocy, krzyczeć, sąsiedzi usłyszą, ktoś zawiadomi milicję! Była jak martwa, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wtedy zobaczyła, że klucz, tkwiący w drzwiach od wewnątrz, powoli obraca się i przekręca. Jak zahipnotyzowana, patrzyła na otwierające się drzwi, na spokojną, nieruchomą twarz Leopolda, który wszedł do przedpokoju, na jego dziwnie piękne, złotawe źrenice.

- Boisz się? - spytał cicho. - Dlaczego?

Wolno zaprzeczyła ruchem głowy. Wtedy wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do kuchni. Szła posłusznie, nie wiedząc, o co chodzi. Nagle zrozumiała. Błyskawicznym ruchem wyszarpnęła rękę, rzuciła się do drzwi. Zdążyła krzyknąć tylko raz. Wtłoczył jej do ust chustkę od nosa, wykręcił ręce do tyłu, przewrócił. Silnym uderzeniem w głowę pozbawił przytomności. Potem zawlókł ją do kuchni, ułożył tuż pod wylotem kurków gazowych, wyjął z ust knebel. Starannie poprawił jej włosy, otrzepał i wygładził sukienkę. Otworzył gaz i wyszedł, zamykając znowu drzwi od wewnątrz.

Rozdział 8

Starszy majster z Zakładów „Kasprzaka”, Antoni Stempor, zatrzymał się w połowie drogi pomiędzy kuchnią a pokojem i zaczął nadśłuchiwać. To był niewątpliwie krzyk kobiecy, rozpaczliwy krzyk, jakby ktoś wzywał pomocy.

- Słyszałaś? - spytał zdziwiony.

- Tak - odparła jego żona. Smażyła w kuchni naleśniki z serem. - Ktoś krzyczał. Tak jakby u Witkowskiej, ale ona wyjechała przecież na wieś.

- Tam jest jej siostrzenica, ta Baśka, co się po nocach włóczy i nigdzie nie pracuje. Może jej się co stało?

- E, tam. Co się będziesz wtrącał do takiej... Bierz - podsunęła mu patelnię - lubisz, jak są gorące.

Wbił widelec w naleśnik, przełożył na swój talerz i zaczął jeść.

- Czego nie siadasz?

- Nic chce mi się. Jest woda na herbatę?

- W czajniku. Masz drugi - przysunęła patelnię.
- A ty?
- Ja potem. Nie lubię tak na chybcika.

Zjadł drugi naleśnik, odstawił talerz. Podrapał się po karku, rozejrzał bezmyślnie dokoła. Coś mu nie dawało spokoju, jak natrętna mucha. Zapomniał już, co.

W dwie godziny później wyszedł do przedpokoju, postać tam chwilę, namyślając się, czy iść na piwo. Otworzył drzwi na klatkę schodową. Nagle nastroszył brwi, pociągnął mocno nosem raz i drugi.

- Heła! - zawołał przez ramię. - Chodź no tutaj.

Ściszyła radio, odłożyła na stół gazetę i wyszła z pokoju.

- Czego chcesz? Co tam robisz?
- Czujesz?

Wciągnęła powietrze.

- Coś czuć. Jakby starą kapustę.
- To nie kapusta. To gaz.

Spojrzeli na siebie, tknięci jedną myślą. Stempor podszedł do drzwi mieszkania Witkowskich, schylił się. Zapach gazu szedł wyraźnie ze szpary między drzwiami a podłogą. Majster gwałtownie zastukał. Ale w mieszkaniu była cisza.

Stemporowa również zaczęła stukać, potem walić do drzwi. Na próżno. Z korytarza po przeciwległej stronie klatki schodowej wyszedł listonosz w rozkładanych pantoflach i piżamie. Był zaspany, przecierał oczy.

- Po co tak stukacie? - zdziwił się. Ziewnął szeroko. - Witkowska na letniakach, a tej młodej nigdy nie ma w domu. Co tutaj śmierdzi?

- Gaz - mruknął Stempor. - Biegnij pan, panie Wojciechu, po dozorcę, ja otworzę drzwi. Tam może ktoś być.

Stemporowa już mu podawała drewnianą skrzynkę z narzędziami. Na schodach zgromadziło się kilka osób, zaciekawionych, czekających na sensację, chętnych do pomocy. Ktoś pobiegł do lekarza na drugim piętrze, ktoś inny do budki telefonicznej, aby zawiadomić milicję. Zawsze to lepiej bez niej cudzych drzwi nie otwierać.

Starszy majster nie czekał jednak na milicję. Kiedyś, wiele lat temu, zawahał się przed wejściem do mieszkania, z którego ulatniał się gaz - a potem lekarz powiedział, że gdyby chociaż o kwadrans wcześniej... Otruł się wtedy najbliższy przyjaciel Stempora.

Zgrzytnął zamek, ktoś zawołał: - Już! - drzwi drgnęły i dławiący zapach gazu rozszedł się dokoła. Ludzie odsunęli się, zatykając nosy chustkami, kaszląc i kichając, ale nikt nie odszedł. Stempor wbiegł do mieszkania, otworzył na przestrzał okna w pokoju i w kuchni, wyłączył gaz. W drzwiach ukazał się lekarz z drugiego piętra. Dostrzegł na podłodze w kuchni nieruchomą postać kobiecą, pochylił się nad nią i rozpoczął swą walkę ze śmiercią, skupiony, z napiętymi nerwami, na zewnątrz spokojny i milczący.

Potem było już wszystko, jak zwykle w takich wypadkach. Nadjechała karetka Pogotowia Ratunkowego i milicyjny radiowóz. Nieprzytomną dziewczynę położono na noszach, karetka z wyciem syreny pomknęła w kierunku Śródmieścia. W mieszkaniu Witkowskiej porucznik z komendy dzielnicowej rozmawiał z lekarzem z drugiego piętra, notując jego słowa. Przyjechała ekipa śledcza, fotograf, w końcu opieczętowano drzwi i milicja odjechała.

Stemporowie wrócili do siebie, długo jeszcze w noc rozpamiętując całe zdarzenie.

- Taka młoda, ładna dziewczyna, co jej strzeliło do głowy, żeby się truc - mówiła Stemporowa. - Może jaka nieszczęśliwa miłość, a może zaszła i dlatego.

Majster potrząsnął głową.

- Jeszcze nic nie wiadomo - mruknął. - Potem się okaże, jak to było. Chyba, że dziewczyna zemrze w szpitalu.

*

W środę trzydziestego lipca, w gabinecie naczelnika wydziału śledczego, prócz majora Daniłowicza siedzieli: kapitan Szczęsny, porucznik Kręglewski i dwóch starszych sierżantów - Tuczyński i Dąbrowski. Mówiąc ściślej, Szczęsny nie siedział lecz krążył bez ustanku po gabinecie i oczy zebranych, śledząc jego szczupłą sylwetkę w szarym ubraniu, zwracały się to w jedną, to w drugą stronę pokoju.

- Sądziłem już przedtem i sędzę do tej pory - mówił kapitan - że kradzieży dokonuje kilkusobowa szajka, pod przewodnictwem bardzo sprytnego, doświadczonego przywódcy. Kradzieże są za każdym razem niezwykle starannie przygotowane i, powiedziałbym, opracowane aż do najdrobniejszych szczegółów. Metoda jest zresztą zawsze taka sama. Ktoś z bandy, dziewczyna lub chłopak - bo jestem niemal przekonany, że są to ludzie młodzi -

występuje wpierw jako wabik. Tego wabika napuszcza się na z góry upatrzoną osobę, zamożną, z dobrze wyposażonym mieszkaniem, przy czym wybiera się na ogół osoby samotne albo też takie, do których jest łatwiejszy dostęp, np. lekarz przyjmujący w domu i tak dalej. Kiedy ofiara jest już całkowicie obrobiona, wyprowadza się ją do kina czy na spacer, a tymczasem szajka ogałaca mieszkanie. Trochę inaczej było w przypadku doktora Wilińskiego. Jeżeli chodzi o mecenas, to oczywiście Cyganka ze skaleczoną nogą nie miała z tym nic wspólnego. Podejrzewam przystojną panią mecenasową o głębszy flirt z chłopakiem z tej szajki. Widocznie mają tam jakiegoś swojskiego Marlona Brando, pewnie młodego, zdrowego „byczka”, który na zblazowanej pani zrobił duże wrażenie.

- To są, oczywiście, twoje przypuszczenia - zrobił skromną uwagę Daniłowicz.

- Ale chyba się nie mylę. Najlepszy przykład z wabikiem, to inżynier Waligórski. Dobrze się zresztą stało, bo przez jego nieprzytomne zakochanie uzyskaliśmy pierwszy ślad: Jolanta Ząbkiewicz. Młoda dziewczyna, ładna, zgrabna, która doprowadziła nas do mieszkania przy ulicy Nowotki trzydzieści jeden. Prawdopodobnie na to mieszkanie

szykuje się szósta kradzież. Dom mamy obstawiony od dwóch tygodni. O Leopoldzie Karwie, przypuszczalnym delikwencie, wiemy w tej chwili, kim jest i co robi, to znaczy bardzo niewiele. Nie wiemy, do jakiego stopnia zainteresował się Jolantą, co ich naprawdę łączy i czy jest to człowiek, który da się okraść. Tak, ja nie żartuję, są ludzie, których bardzo trudno okraść, bo mają się na baczności. Zrobimy więc wszystko, żeby nie dopuścić do szóstej kradzieży. A raczej, dopuścimy do niej i złapiemy szajkę na gorącym uczynku.

Szczęśny usiadł na parapecie i spojrzał wyczekująco na Tuczyńskiego. Ten odchrząknął, wyjął z teczki plik papierów i fotografii. Sierżant Dąbrowski zrobi dokładnie to samo, po czym obaj rozłożyli swoje trofea na stole przed naczelnikiem wydziału. Major i Kręglewski pochyłili głowy nad papierami.

- Tutaj mamy na zdjęciach wszystkie osoby, które w ostatnich czternastu dniach odwiedziły mieszkanie Leopolda Karwy - powiedział Dąbrowski. - My obaj z Tuczyńskim, mając do pomocy trzech ze służby kryminalnej, pilnowaliśmy na zmianę tego mieszkania. Jeżeli ktoś przychodził późnym wieczorem lub nocą, szliśmy za nim potem aż do

miejsca, gdzie dało się wykonać zdjęcie, na przykład w świetle latarni, w lokalu i tak dalej. Te nowe aparaty, towarzyszu majorze, są doskonałe. Facet w żaden sposób nie zorientuje się, że jest fotografowany.

- Dobrze - mruknął Daniłowicz z zadowoleniem. Sprowadzenie z zagranicy aparatów fotograficznych o mikroskopijnych wymiarach i niezwykłej ostrości soczewki, to było jego dzieło. Walczył o nie blisko dwa lata.

- Mamy więc na zdjęciach kolejno: Jolanę Ząbkiewicz, kilkakrotnie, bo ona najczęściej przychodziła, dalej - inną młodą niewiastę, Barbarę Stanek...

- Ona była tylko raz - wtrącił Tuczyński.

- Tak. Tutaj są jakieś starsze osoby; jak stwierdziliśmy później byli to: hydraulik z administracji domu, dozorczyńni i jakiś przyjezdny, którego tożsamości nie udało się nam ustalić. Wiemy tylko, że prosto od Karwy pojechał na Dworzec Główny, gdzie wsiadł do pociągu odjeżdżającego na Kraków i Zakopane.

- Właśnie! - powiedział Szczęsny z triumfem, nie ruszając się z parapetu. Daniłowicz spojrzał na niego przelotnie, ale nie zareagował.

- No i wczorajszego wieczoru, w odstępach mniej więcej dziesięciu do piętnastu minut, przyszło do tego mieszkania trzech młodych ludzi. Siedzieli około godziny, po czym w ten sam sposób wyszli. Dwóch rozpracowaliśmy, trzeci... no, trudno, uciekł nam. Tych dwóch to: Zbigniew Rakowski i Józef Gałka. Rakowski to syn porządnych rodziców, jego ojciec jest wyższym urzędnikiem w ministerstwie gospodarki komunalnej. Gałka odwrotnie - pochodzi z najgorszych mętów społecznych, mieszka kątem u prostytutki w barakach na Annopolu i żyje, jak to mówią, ze „świeżego powietrza”.

Porucznik Kręglewski przyjrzał się bliżej zdjęciu.

- Jeżeli kapitan Szczęsny ma rację - rzekł, podsuwając je majorowi - to na wabika płci męskiej typuję właśnie tego chłopaka. Zobaczcie, naczelniku, przecież to okaz swoistej urody, takiej jakiejś chmurnej, cwaniackiej, ale niewątpliwie dużej klasy. Wobec tego nie wahałbym się stwierdzić, że Gałka żyje nie tyle ze świeżego powietrza, ile z zakochanych kobiet.

- Zaraz! - Major ożywił się nagle, tknięty jakąś myślą. - Czy w czasie pobytu tych trzech chłopaków w mieszkaniu Karwy żadnych dziewcząt nie było?

- Owszem, była Ząbkiewicz.

- A Stankówna?

- Nie widzieliśmy jej. To znaczy, ja nie widziałem, bo dyżurowałem wczoraj.

- Gdzie wy tam właściwie siedzicie?

- W windzie. Naprawiamy.

- A w nocy?

- W nocy to różnie. Jak wypadnie.

Wszyscy trzech oficerowie uśmiechnęli się. Wiadomo, Tuczyński nie lubił zdradzać swoich „masek”. W komendzie pamiętano fakt, że kiedyś nie został rozpoznany przez własnych kolegów z wydziału, którzy pracowali z nim ładnych parę lat. Był to jednocześnie triumf Tuczyńskiego i sromotna porażka jego towarzyszy. Długo nie mogli mu tego darować.

- Ten Rakowski, o ile pamiętam - zaczął z namysłem Daniłowicz - jest sąsiadem i kolegą zaginionego chłopca... jakże on się nazywa?

- Myślicie, towarzyszu majorze, o Stawrowskim?

- Właśnie. Ciekawe, czy to się wszystko w jakiś sposób ze sobą łączy. Kiedy on zaginął?

- Około dwóch tygodni temu. Tak nam podali jego rodzice.

- Mam jedno zasadnicze pytanie: czy w czasie wczorajszych wizyt Karwa był w mieszkaniu? No, bo jeżeli tak, to cała koncepcja o następnej kradzieży upada.

Tuczyński i Dąbrowski spojrzeli po sobie, Tuczyński zagryzł wargi.

- Właśnie, towarzyszu majorze... właśnie, tego nie udało mi się ustalić. Albo go nie było, albo też przemknął mi się jakoś niezauważony.

- Wobec tego, może ta szósta kradzież już się po prostu odbyła, na waszych oczach! - Daniłowicz gniewnie zmarszczył brwi.

- Nie, to wykluczone! Żaden z chłopaków nic nie wynosił. Wieczór był upalny, mieli na sobie koszulki bez żadnych okryć, przecież bym dojrzał, jakby mieli jakieś paczki czy teczki. Nie mieli nic przy sobie.

- W takim razie można przypuszczać, że badali teren i musieli to robić pod nieobecność właściciela - zauważył Kręglewski.

- A jeżeli Karwa był w domu? Jeżeli to są jego znajomi?

- Trochę zastanawiające - rzekł Szczęsny, zsuwając się z parapetu. - Mężczyzna pod czterdziestkę, na dość poważnym stanowisku, otacza się młodymi ludźmi i to z takich mętów jak Gałka czy

Ząbkiewicz. Po co? Co oni tam robią? Dlaczego przychodzą w odmierzonych odstępach czasu, jak w okresie konspiracji? Dlaczego Jolanta u niego nocuje, nawet po kilka dni z rzędu? To bym jeszcze zrozumiał, jest jego kochanką, może krewną, diabli ją wiedzą. Ale tamci?

- Wiem! - strzelił palcami Kręglewski. - Karwy wczoraj nie było w domu i młodzi urządzili sobie zabawę.

Spojrzeli na niego, major pokiwał głową. Tak, to było możliwe. Fatalnie się stało, że akurat wczoraj Tuczyński nie dostrzegł, czy Karwa był obecny.

Szczęśny stał pod oknem, pozornie nie słuchając rozmowy. Od kilku minut czekał na pewien telefon. Mieli dzwonić albo do jego pokoju, albo przełączyć na naczelnika. Spoglądał więc na czarne pudełko aparatu i niecierpliwił się. Powinien już to wiedzieć.

Wreszcie telefon zadzwonił. Major podniósł słuchawkę, posłuchał i spojrzał na kapitana. - To do ciebie - mruknął.

- Kapitan Szczęśny, słucham... Tak, jest coś nowego?... Kobieta? Jak się nazywa?... Mówcie trochę głośniej, jak się... Rozumiem. Barbara Stanek, lat dziewiętnaście, zamieszkała... tak, notuję. To wszystko?... Dziękuję, kapralu.

Odłożył słuchawkę, przez chwilę patrzył na nich nieobecny wzrokiem, głęboko nad czymś się zastanawiając. Wreszcie wyjaśnił.

- Barbarę Stanek znaleziono wczoraj wieczorem w mieszkaniu, otrutą gazem. Jest nieprzytomna, stan ciężki. Jak mi dziś rano sierżant Tuczyński powiedział, że u Karwy zeszli się tamci wszyscy, a Stankówny nie było, postanowiłem dowiedzieć się, czy przypadkiem coś się nie stało. No i stało się.

- Samobójstwo? - spytał Daniłowicz, przyglądając się fotografii Barbary. - Z jakiej komendy dzielnicowej tam byli?

- Praga-Południe. Zaraz się z nimi skontaktuję. Czy samobójstwo? Nie wiem. Bardzo możliwe. Kazik - zwrócił się do Kręglewskiego - jedź do szpitala. Miejski, numer sześć. Może coś się dowiesz.

Kiedy podoficerowie i porucznik wyszli z gabinetu, Szczęsny rzekł:

- Stefan, chciałbym pojechać do Zakopanego.

Major przyjrzał mu się wzrokiem, w którym miała być ironia, ale nie potrafił się na nią zdobyć. Wzruszył ramionami.

- Piękna pogoda, nie dziwię ci się. Na ile tygodni chcesz wyjechać?

- Na trzy, może pięć dni. Za Karwą.

- Za Karwą? Co masz na myśli?

- On od czasu do czasu wyjeżdża służbowo w tamte strony. Centrala ma w Nowym Targu swoją filię. Wiem, że pojutrze Karwa jedzie nocnym pociągiem do Zakopanego. Kupił bilet w „Orbisie” i miejsce sypialne. Chciałbym pojechać razem z nim i ewentualnie zaznajomić się w drodze z panem kontrolerem.

- Widzę, że on cię bliżej interesuje. O co go podejrzewasz?

- Czy ja wiem... Może na razie o sutenerstwo. Albo o wynajmowanie własnego mieszkania prostytutkom. Albo o urządzenie orgii z nieletnimi. Jest wiele takich możliwości. Może to jest taki pan, który bardzo lubi młodych chłopców. Mieliśmy przecież w ostatnich latach kilka zabójstw na tym tle. Gdybym wiedział...

- Gdybyś wiedział, czy zaginiony Stawrowski bywał u Karwy, tak?

- Właśnie.

Milczeli przez chwilę, Daniłowicz bawił się pudełkiem zapalek. Wstał, wyjrzał do sekretariatu, poprosił o dwie mocne kawy.

- No, dobrze - zaczął, próbując ustawić domek z fotograficznych odbitek. - Jeżeli to był taki facet, to

co wobec tego robi u niego Jolanta Ząbkiewicz. To trzeba wyjaśnić.

- Chciałbym mieć nakaz rewizji na mieszkanie Karwy - mruknął Szczęsny. - Ale prokurator nie da.

- Oczywiście, że nie. Przecież nie masz żadnego rozsądnego powodu, same przypuszczenia.

- Rozsądne powody to mam, tylko jeszcze nieudowodnione. Stefan, a gdyby tak na przykład zajrzeć do jego piwnicy? Albo do garażu.

- Po co? Mazurkiewicz ci się przypomniał? Garaż to zawsze można zrobić. Z piwnicą jest gorzej, piwnica należy formalnie do mieszkania. Gdzie on garażuje wóz?

- Nie wiem. Ach, może to wszystko nie ma sensu... Ale do Zakopanego pojedę. Wszystkie dotąd zebrane przez nas ślady kręcą się dokoła tego Karwy. Być może się mylę, trzeba jednak się upewnić.

- Zrób najpierw dwie rzeczy. Doktorowi Wilińskiemu pokaż zdjęcia Jolanty i Barbary, czy nie przypomina sobie którejś z nich jako pacjentki. Drugie zadanie jest o wiele trudniejsze. Nie wiem, czy mecenasowa Bielińska przyzna się do znajomości z którymś z tych chłopców - pokazał na rozłożone fotografie. - Zaryzykowałbym Gałkę. Gdyby się dało jakoś urządzić ich spotkanie, byłoby lepiej.

- To się da zrobić. Ktoś od nas będzie postronnym świadkiem tego spotkania, a wówczas może czegoś się dowiemy.

*

Porucznik Kręglewski okazał dyżurnemu lekarzowi legitymację służbową, nałożył biały kitel i poszedł za pielęgniarką na drugie piętro, gdzie mieściła się interna. Po drodze wdychał niechętnie zapach eteru i środków dezynfekcyjnych, marszcząc nos. Bardzo nie lubił szpitalnej atmosfery.

Ruda kobieta w czepku z czarnym paskiem wprowadziła go do niedużej salki i wskazała na pierwsze z brzegu łóżko.

- Tutaj - powiedziała, bacznie przypatrując się bladej, jakoby woskowej twarzy Barbary. - Ciągle jeszcze nieprzytomna.

- Można tu trochę posiedzieć?

- Proszę bardzo. Ja zresztą będę w pobliżu.

Usiadł na brzegu łóżka, delikatnym ruchem ujął dziewczynę za rękę. Zdawało mu się, że powieki lekko drgnęły, ale to chyba było złudzenie. Ręka była chłodna, sucha, puls ledwo wyczuwalny.

- Pan może brat? Albo mąż?

Obejrzał się na sąsiednie łóżko. Spoglądały na niego blade, niebieskie oczy w twarzy pomarszczonej jak uwiędłe jabłko. Króciutki nos umieszczony był jakby trochę za wysoko, a przestrzeń pomiędzy końcem nozdrzy i ustami trochę za szeroka. Resztki siwych włosów, skręcone niedbale w ubogi węzełek, sterczały żałośnie.

Zawahał się.

- Brat - odparł. To i tak nie miało znaczenia. - Czy nie obudziła się ani na chwilę?

- W nocy trochę jęczała. Takie jakieś dziwne słowa... Zwlekłam się do toalety, bo lekarz pozwolił mi się ruszać i przechodziłam koło niej, więc nachyliłam się i pytam, czy jej czego nie trzeba, to siostrę zawołam. Ale ona chyba mnie nie zrozumiała. Patrzała gdzieś w bok, trochę płakała.

- Co mówiła?

- Jakby się czegoś bała... „Nie chcę, odejdź, boję się”, coś takiego. Dobrze nie usłyszałam, bo cicho mówiła. Siostra potem do niej podeszła, dała lekarstwo i biedactwo zasnęło.

- Więc mówiła: „Odejdź, boję się”, tak?

- Tak. Proszę pana, to ona się gazem otruła?

- Wypadek. Kurki były nieszczelne.

- Mój Boże, jak to trzeba uważać...

Wszedł lekarz, a z nim ruda pielęgniarka. Zatrzymali się przy łóżku Barbary, więc porucznik wstał, aby im zrobić miejsce. W kilka minut później lekarz poprosił go na korytarz i rzekł cicho:

- Agonia. Właściwie stan był beznadziejny już wtedy, kiedy ją do nas przywieźli. Chciałbym tylko zwrócić panu uwagę na jedną rzecz. Ona ma duży, szeroko rozlany siniec na głowie. Takie uderzenie właśnie w tym miejscu czaszki jest bardzo niebezpieczne.

- Chwileczkę, doktorze. Czy pod wpływem uderzenia mogła stracić przytomność?

- Naturalnie. Ale wówczas... - Urwał, spojrzał bystro na porucznika. - Sądzi pan, że to nie samobójstwo?

- Nie wiem. Twierdzi pan jednak, że chora ma na czaszce ślad po mocnym uderzeniu, takim, które może oszołomić, po którym można zemdleć. Zgadza się?

- Tak. Wtedy jednak należałoby ten przypadek uznać za usiłowanie zabójstwa. Wykluczam bowiem uderzenie o kant stołu lub innego mebla. Skóra byłaby zdarta, inny charakter śladów. Mogę się oczywiście mylić, ale według mnie ta dziewczyna

dostała w głowę pięścią lub pałąką. Mówiłem to już kapralowi z Pragi, który był tutaj rano.

- Zaczekam jeszcze jakiś czas - postanowił nagle Kręglewski.

Wrócił do sali, siadł znowu na skraju łóżka. Po chwili zdał sobie sprawę, że właściwie czeka na śmierć. Kiedy już przyjdzie, on wyda dyspozycje, aby ciało przesłać do Zakładu Medycyny Sądowej, pewne tam zaraz pojedzie i rozpocznie się zwykła w tych wypadkach procedura służbowa. Wszystko to - zimna, okropna sala prosektorium, lekarz w gumowych rękawicach i masce na twarzy, żelazne nosze, narzędzia sekcyjne - wszystko to jest tam, na małej, cichej ulicy w Śródmieściu. Jest i czeka. A on siedzi przy łóżku człowieka, który żyje - i również czeka, na jego śmierć.

Wzdrygnął się, odwrócił głowę, potem wstał, wyszedł na korytarz, pokręcił się trochę, na schodach wypalił dwa papierosy. Wrócił, zajrzał do sali. Bez zmian. „Pójdę do komendy” - zbuntował się. Ale wiedział, że powinien teraz tutaj zostać i czekać. Może lekarz się myli, może Barbara Stanek odzyska przytomność chociaż na chwilę?

Tak minęło pół godziny, potem godzina i jeszcze kwadrans. Kręglewski tkwił nieporuszony pod oknem

w korytarzu. Twarda milicyjna służba nauczyła go opanowania nerwów i cierpliwości.

Z zamyślenia zbudziło go dotknięcie ręki. Lekarz stał przed nim i coś mówił. Skupił myśli.

- Już po wszystkim, proszę pana - powiedział mężczyzna w białym kitlu, z twarzą zmęczoną i posępną. - Nie żyje. Zwłoki przekazujemy na Oczki, tak?

- Tak, doktorze. Zaraz porozumiem się z komendą na Pradze, prawdopodobnie przejmujemy od nich sprawę. Do widzenia.

Odchodząc, rzucił okiem na salę. Łóżko Barbary zasłonięte było parawanem. Staruszka z siwym kokiem, siedząc wygodnie oparta o poduszki, jadła kolację.

*

Sekcja zwłok Barbary Stanek stwierdziła, iż przyczyną śmierci było nie tylko, jak początkowo przypuszczano, zatrucie gazem, lecz cios w głowę, po którym dziewczyna straciła przytomność. Gdyby ocknęła się w normalnych warunkach, wówczas prawdopodobnie skończyłoby się na lekkim wstrząsie

mózgu. Ale Barbara oddychała przez długi czas trującym gazem i tego organizm jej nie był już w stanie znieść.

Komenda Miasta przejęła śledztwo z dzielnicy i kapitan Szczęsny włączył je w tok swoich czynności służbowych. Sprawa pięciu kradzieży zaczynała przybierać ton złowrogi. Dwoje zabitych, jeden zaginiony...

Daniłowicz, po naradzie z komendantem miasta, postanowił rozszerzyć krąg pracowników. Kapitan Stablewski i porucznik Bogdanowicz przejęli od Szczęsnego dochodzenie w sprawie śmierci Barbary Stanek i Kazimierza Suchockiego. Sobie kapitan Szczęsny zostawił Leopolda Karwę. Kręglewski, przy pomocy funkcjonariuszy służby śledczej, zapoznawał się coraz bliżej z codziennym życiem Rakowskiego, Gałki i Jolanty Ząbkiewicz, próbując jednocześnie natrafić na trzeciego spośród tych, którzy w pamiętny wieczór odwiedzili mieszkanie na Nowotki.

W mieszkaniu tym, jakby na przekór, od pewnego czasu nic się nie działo. Karwa, po kolejnym powrocie z podróży służbowej, nie ruszał się z Warszawy i, jak dotąd, nic nie wskazywało, aby w to upalne lato wybrał się wreszcie na urlop. Jolanta odwiedziła go kilkakrotnie, resztę czasu spędzając na

wiślanej plaży, czasem w towarzystwie Gałki lub Rakowskiego, czasem sama. Gałka zajęty był zresztą jakąś dziewczyną z Mokotowa; inwigilujący go wywiadowca uprzykrzył już sobie ławkę w Parku Dreszera, naprzeciwko domu przy ulicy Odyńca.

Do mieszkania przy Nowotki trzydzieści jeden ani Gałka, ani Rakowski więcej nie przyszli i Daniłowicz osądził, że mały porucznik miał rację. Tamtego wieczoru, widać pod nieobecność gospodarza, zeszli się do Jolanty na zabawę – albo też na przewąchanie terenu. Może uważali, że na kradzież jeszcze za wcześnie, może też „ofiara” spodziewała się dopiero napływu większej gotówki i szajka postanowiła zaczekać.

Pewnego dnia Kręglewski przyniósł do komendy wiadomość, że jakaś pielęgniarka czy salowa ze szpitala ma informacje o zaginionym Stawrowskim. Przyszła z tym do komendy dzielnicowej i porucznik, który miał tam właśnie coś do załatwienia, był mimowolnym a zainteresowanym świadkiem jej zeznań. Przysłuchawszy się, poprosił kobietę o przyście do Pałacu Mostowskich.

- Gdzie ona jest? - spytał Szczęsny niecierpliwie. Jerzy Stawrowski do tej pory nie dał znaku życia i teraz już oboje rodzice byli zrozpaczeni,

przygotowani na najgorsze. Prasa codziennie przynosiła wiadomości o wypadkach drogowych i utonięciach.

- W biurze przepustek. Chcesz, to zadzwonię, żeby ją wpuścili.

- Dzwon. I to szybko, zanim babka się rozmyśli.

Była to drobna, ale silna i czerstwa kobieta o miłej twarzy i gładko uczesanych, ciemnych włosach. Usiadła na podsuniętym jej krzeselku, obciągnęła kretonową sukienkę, splotła ręce na kolanach i popatrzała na obu oficerów tak, jakby to ona miała ich przesłuchiwać.

- Nazywam się Antonina Ziętek - zaczęła bez pytania - pracuję jako salowa. Usłyszałam przez radio komunikat, więc pomyślałam sobie, że może on gdzieś wyjechał z tym chłopcem, co to leżał na moim oddziale. Z tym Borejka. Bo jak Borejko był jeszcze w szpitalu, to Jurek do niego przychodził.

- Może pani opowie nam, jak to było - zaproponował Szczęsny, naciskając kontakt magnetofonu. Magnetofon był w szafie, aby nie peszyć rozmówców i tylko na specjalne okazje wyjmowało się go, stawiając ostentacyjnie na biurku.
- Przede wszystkim: kiedy to było.

- Jak Jurek przychodził? Ano, chyba już ze trzy tygodnie temu. Dokładnie, to nie pamiętam. Ale, zaraz... można by obliczyć. Pamiętam, że Borejko wyszedł do niego wieczorem na dziedziniec, znaczy się do ogrodu, a kiedy wracał, doktor Biegańska powiedziała do mnie: „Borejko już chyba w porządku, można go wypisać”. I na drugi... nie, na trzeci dzień go rzeczywiście wypisała, bo już był zdrow.

- Doskonale. Sprawdzimy później, kiedy został wypisany. A więc jak to było tamtego wieczoru, kiedy Jurek Stawrowski przyszedł do tego swego znajomego Borejki?

- Właśnie, to nie był jego znajomy, tylko Jurek coś od niego chciał się dowiedzieć. Ja do państwa Stawrowskich chodziłam przez parę lat do prania i trochę do pomocy. Potem pani kupiła pralkę, no i jakoś... nie było trzeba. Tego chłopca lubiłam, greczny był zawsze dla mnie, ładnie umiał grać na pianinie i na gitarze. Pomógł mi czasem bieliznę zanieść na strych i rozwieszać. Potem przez dwa lata go nie widziałam. No, a wtedy przyszedł wieczorem do mnie, do szpitala, przywitał się grecznie, porozmawiał, a potem pyta: - Pani Antosiu, u pani jest może taki jeden chłopak, nazywa się Andrzej

Borejko? – Mówię mu, że jest, owszem. Przywieźli go mocno potłuczonego, ktoś go tam pobił, mówili, milicja nawet była, ale on nikogo nie widział, nie pamiętał, tak im mówił, więc potem dali spokój. Na to Jurek do mnie, że on by chciał się z tym chłopcem pilnie zobaczyć. Że go nie zna dobrze, ale wolałby rozmawiać z nim w ogrodzie, nie na sali, bo ma taką jedną sprawę, co się nie nadaje, żeby przy drugich o niej mówić. Złękłam się trochę, ale on się roześmiał, że to nic takiego, tylko o dziewczynę chodzi, więc musi być tajemnica.

– Czy powiedział, o jaką dziewczynę?

– Nie. Ja nie pytałam, to ich sprawy, chłopaków. Zdziwiłam się tylko, że Jurek był w okularach, bo przedtem nigdy nie nosił. Bandaż też miał. na rękę i, zdaje się, na twarzy. Powiedział, że spadł z motoru i się potłukł, a szkła nosi bo go oczy bolą. Trochę mi się to wszystko wydało dziwne, ale w końcu – nie moja sprawa. Borejko już chodził, więc poszłam na salę i powiedziałam mu, że ktoś na niego czeka na dole. No i poszedł.

– Długo rozmawiali?

– Nie, chyba parę minut. Przywitali się, ale co mówili to nie wiem, bo stali daleko.

Szczęśny sięgnął po słuchawkę i połączył się z mieszkaniem Stawrowskich. Odezwała się matka Jerzego.

- Dzień dobry pani, mówi kapitan Szczęśny. Chciałem zapytać, czy w ostatnim czasie syn państwa nosił okulary?... Nie?... Mówi pani, że nigdy. A przeciwsłoneczne?... Też nie. Jeszcze jedno: czy na krótko przed zaginięciem miał jakiś wypadek motocyklowy? Czy w ogóle ma własny motocykl?... Nie ma?... Po prostu, chodzi mi o to, czy nosił wtedy bandaż na rękę lub na twarzy?... Nie nosił. Dziękuję pani... Nie, nic takiego. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i przyglądał się w zamyśleniu siedzącej naprzeciw niego kobiecie.

- Zna pani może adres Borejki?

Potrząsnęła głową.

- W szpitalu mają.

- I od tamtego wieczoru już pani Stawrowskiego nie widziała?

- Nie.

Kiedy wyszła, mały porucznik powiedział z zafrasowaniem:

- Czuję, że dojdzie mi jeszcze jeden podopieczny, ten cały Borejko. Chcesz go tu przesłuchać?

- Tak, Kazik. Przepraszam cię, ale nie chciałbym tego powierzać któremuś z młodszych oficerów. Jeżeli się da, przywieź go od razu. Jeżeli wyjechał, trzeba będzie go odnaleźć.

Borejko jednak nie wyjechał. Siedział w domu, ubrany tylko w slipy z powodu upału. Na widok obcego mężczyzny zdziwił się i wyraźnie przestraszył. Oba te uczucia pogłębiły się, kiedy Kręglewski wyjaśnił, skąd przychodzi. Andrzej zbladł, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale opuścił tylko głowę i w milczeniu poprosił oficera do pokoju, po czym wsunął się za nim, narzucił płaszcz kąpielowy i otulił się nim, mimo gorąca.

Kręglewski pomyślał, że chłopak ma coś na sumieniu. Przypatrywał mu się przez chwilę, przypominając sobie to, czego dowiedział się w komendzie dzielnicowej o znalezieniu Borejki, pobitego i zakrwawionego, nad jeziorem Kamionkowskim. Na czole chłopca różowiała świeża, ukośna blizna.

- O co chodzi? - rzucił nerwowo.

- Och, nic takiego - odparł porucznik obojętnie. - Chcę pana zabrać na parę minut do Komendy Miasta. Mam wóz na dole, niech pan się ubierze, bo w slipach to jakoś nie bardzo.

- Po co do komendy?

- Chyba pan się nie boi? Milicja nie gryzie. No, niech pan się ubiera, szkoda czasu.

- Jestem jeszcze chory.

- To odwieziemy z powrotem. Boże, jaki pan nudny.

Te proste słowa sprawiły, że Andrzej zaczął ruszać się żywiej, nałożył spodnie i koszulę, wsunął nogi w sandały, przeczesał włosy.

- No? - mruknął, tak jakby to on czekał na porucznika.

Wyszli. Przed domem stał radiowóz. Chłopak mimo woli obejrzał go ze źle ukrywanym zainteresowaniem.

- Jeszcze pan tym nie jechał? - spytał Kręglewski, kiedy ruszyli i siedzący obok kierowcy milicjant łączył się z Centralą.

- Nie. Macie radar?

- Mamy, ale w większych wozach technicznych. Radar i wiele innych ciekawych rzeczy. Kto pana tak urządził na czole?

Borejko cofnął się w głąb siedzenia, najeżył i umilkł. Porucznik nie nalegał. Kiedy zajechali przed komendę, zauważył nowy błysk zainteresowania w

oczach chłopca: przed Pałacem Mostowskich stał właśnie jeden z wozów ekipy technicznej.

Szczęśny czekał w swoim pokoju. Przyjrzał się wchodzącemu, poprosił, aby zajął miejsce i dał Kręglewskiemu znak, że woli być z chłopcem sam. Porucznik wyszedł.

- O co chodzi? - powtórzył Borejko ostro. Siedział sztywno, ręce założył na piersiach, patrzył gdzieś w bok. Cały był sprężony w sobie, gotów do ucieczki, nieufny i czujny.

- Może kawy? - spytał kapitan, podsuwając mu papierosy. - Pali pan?... Nie? Napije się pan kawy?

Nadspodziewanie dla siebie, Andrzej odpowiedział: tak. Propozycja wytrąciła go z równowagi, nie był na nią przygotowany. Założył nogę na nogę, rozluźnił mięśnie. Szczęśny rzucił kilka zdań do słuchawki i zajął się porządkowaniem biurka. Nie odzywał się. Po paru minutach sekretarka naczelnika przyniosła dwie filiżanki kawy i cukier. Kapitan podziękował, ustawił filiżanki na biurku, przysunął chłopcu cukierniczkę.

- Ojciec prędko wraca? - spytał jakby mimochodem, rozglądając się za popielniczką.

- Mój?

- Oczywiście. Mój dawno nie żyje.

- Nie wiem, pewnie na jesieni. Albo pod koniec roku. A czy... czy to w związku z ojcem zostałem tu przywieziony? Stało się coś?

- Nie, skądże.

- Chyba nie powie pan mi, że po to, abyśmy wypili kawę! - wybuchnął nagle Borejko, odstawiając filiżankę. - Takich cudów nie ma. W końcu, tu jest milicja, komenda milicji.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Siedzę w niej ładnych parę lat. Może jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. Chodzi panu o to pobicie? Już mówiłem tyle razy, nie znam tych ludzi, nie znam ich twarzy.

- Ale zna pan Stawrowskiego, prawda?

- Jakiego Stawrowskiego?

- Jerzego. A czy zna pan kilku Stawrowskich?

- Nie znam żadnego. Ani Jerzego, ani nikogo o tym nazwisku.

- A tego człowieka pan zna?

Andrzej wziął do ręki podsunięte mu zdjęcie, przyjrzał się i zbladł. To był przecież ten, którego nad Jeziorem nazywali „Długi”, ten, który trzymał go za kołnierz wiatrówki, a potem pierwszy uderzył...

- No, więc dlaczego mówi pan, że go nie zna? - rzekł Szczęsny tonem lekkiego wyrzutu.

- Bo nie. Widziałem go kiedyś, ale nie znam.

- Rozmawialiście przecież ze sobą, bardzo niedawno. Mamy na to świadków, więc nie ma sensu się wypierać.

- Świadków?!

To ona, ta dziewczyna. I tamci. Ale dlaczego. Pewnie ich złapali. Te pieniądze... Powiedzieli wszystko, to jasne. Wkopali go na całego, nie dość, że zabrali pieniądze, jeszcze... Zacisnął pięści aż do bólu, opuścił głowę. Koniec. Teraz napiszą do ojca, on przyjedzie i dopięto się zacznie.

- Niech pan nie wzywa ojca - mruknął błagalnym tonem.

Szczęsny ukrył zdziwienie. Coś tu było nie tak ja myśleli.

- Chyba nie, ale musi pan być ze mną szczery, Być może wszystko zostanie między nami. Muszę jednak wiedzieć dokładnie, jak to było.

Nieznacznie uruchomił magnetofon. Specjalnym sygnałem wezwał Kręglewskiego, który po chwili wszedł cicho do pokoju i ulokował się koło szafy, na pozór nie zwracając na nich uwagi.

- To było... - zaczął Andrzej z wysiłkiem - tam, nad Jeziorem Kamionkowskim. Poszedłem za nią. Chciałem... miałem do niej pewną sprawę.

- Jaką sprawę?

- No... właśnie o tym.

- To znaczy, o czym? - Głos kapitana był łagodny, cierpliwy.

- O... o tych pieniądzach. Chciałem odebrać.

- Dużo to było?

- Dość. Osiemdziesiąt tysięcy.

Śniada twarz Szczęsnego nawet nie drgnęła, tylko czarne, wąskie oczy świeciły w niej jak karbunkuły. Kręglewski opuścił powieki i zdawał się drzemać.

- Tak, to rzeczywiście dość dużo. Gdzie ją pan znalazł?

- Barbarę?

- Naturalnie, przecież o niej cały czas mówimy.

- Na placu Konstytucji. A ona powiedziała, że gdzie?

- Ona? Że później. Po drodze.

- Bo nie widziała, jak za nią wsiadałem. Dojechaliśmy do Zielenieckiej, tam wysiadła, ja też. Nie zauważyła, potem dopiero... bo właśnie „Długi” już mnie wtedy zobaczył.

- Wolałbym, żeby pan nie używał pseudonimów.

- No, ten - Andrzej pokazał zdjęcie. - Ale ja nie znam ich nazwisk.

- W porządku. Niech pan zresztą mówi, jak chce. Wyszliście z tramwaju i co dalej?

- Poszedłem za Barbarą. Potem ją na chwilę zgubiłem. Potem usłyszałem ich głosy. Siedzieli z nią w zaroślach, nad jeziorem.

- Ilu ich wtedy było?

- Dwóch i ona. Mówili do siebie pseudonimami, więc dlatego nie znam nawet imion. Może Barbara to też pseudo...

- Jakie to były pseudonimy?

- „Śliczny” i „Cwaniak”. No i potem, kiedy zastanawiałem się, czy podejść do nich, bo byłem sam... wtedy „Długi” z tyłu nadszedł. No i... potem zaczęli mnie bić. Straciłem przytomność.

- Dlaczego pana bili?

- Że się upominałem o pieniądze. A oni co mówią?

- Trochę inaczej. Czy Stawrowski też bił?

- Ten ze zdjęcia? On zaczął. Uderzył mnie raz, potem „Cwaniak”. Ten umiał bić!

Borejko wstrząsnął się na wspomnienie ciosów i wtulił głowę w ramiona. Szczęsny rozrzucił przed

nim na biurku kilkanaście fotografii.

- Przypomina pan ich sobie?

- Tego. To jest właśnie „Śliczny” - pokazał zdjęcie Gałki. - A to Barbara. - Zachmurzył się, odął wargi. Kręglewski wstał cicho i podszedł do biurka. - „Cwaniaka” tu nie ma. Tego to nie znam, jego tam nie było - dotknął palcem zdjęcia Zbyszka.

- Kiedy pan ostatni raz widział Stawrowskiego?

- No, wtedy. Potem wzięli mnie do szpitala. Więcej już żadnego z nich nie widziałem.

- Na pewno?

Andrzej spojrział na kapitana ze zdziwieniem.

- Pan myśli, że ja bym chciał się z nimi spotkać? Przecież ich jest kilku, ja jeden. Nie dałbym rady, w żadnym wypadku. Burt Lancaster to ja nie jestem.

Szczęśny oparł się plecami o krzesło i milczał. Porucznik spojrział na chłopca, uśmiechnął się przelotnie.

- A jednak widział się pan potem jeszcze raz z Jerzym Stawrowskim - rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu. - Właśnie w szpitalu.

- Skądże! Przecież bym go poznał.

- Taki pan pewny?

Nagle Borejko zmarszczył brwi. Na jego okrągłej, dziecinnej twarzy odbiło się głębokie zdumienie. Podniósł wzrok na Kręglewskiego, przeniósł na kapitana, jakby chcąc sprawdzić, czy z niego nie kpią.

- Kazimierski? Ale przecież... to był on?

- Sprawdził pan, czy w neurologicznym jest ktoś o takim nazwisku i imieniu?

- Nie.

- Myśmy sprawdzili. Zresztą, mamy również inny dowód na to, że pod tym nazwiskiem ukrył się Jerzy Stawrowski, mniejsza o to, jaki. O czym pan z nim rozmawiał?

Andrzej, teraz dopiero kojarząc sobie pewne fakty, powtórzył treść rozmowy.

- Często pan słucha radia?

- Owszem.

- Nie słyszał pan komunikatu o Stawrowskim?

- Nie. A co się z nim stało?

- Naprawdę nie słyszał pan komunikatu?

- Bo ja słucham Luksemburga i Warszawy na ultrakrótkich. Tam jest jazz. Na innych programach ciągle tylko gadanie...

- O czym mówiło tych troje nad Jeziorem Kamionkowskim, zanim pana zauważyli?

- O niczym takim. O jakiejś babce, z którą ten „Śliczny” się zadawał i...

- Wymieniali jej imię?

- Zdaje się, Krysia. Krystyna. Ale nie pamiętam dokładnie.

Szczęśny przymknął na chwilę powieki. Pani Krystyna Bielińska? W takim razie Gałka był również w bandzie wabikiem, jak Jolanta. Gdyby mecenas to wiedział...

- O czym jeszcze rozmawiali?

Borejko zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba już o niczym. Pili z butelki, pewnie wódkę.

- A kiedy pana zobaczyli? Jak to było?

- No, pytali, po co przyszedłem. Więc ja powiedziałem, że po pieniądze. Jeden, ten „Śliczny”, zaczął się śmiać, że oni żadnych pieniędzy mi nie zabierali. Potem Barbara dowiedziała się, że ja za nią szedłem i tak, jakby zaczęła się bać. Dlatego była taka zła.

- Bać? Czego bać?

- Nie powiedziała wyraźnie, tylko tak: „czy wiecie, dokąd on mógł za mną pójść?” A oni też się trochę przestraszyli, no i zaczęli mnie bić, żebym zapomniał o nich, o pieniądzach i w ogóle.

- Taaak - powiedział Szczęsny bardzo wolno. Wpatrywał się w chłopca uważnie i powtórzył: - Więc pan sądzi, że oni się wówczas bali. Mógł pan przypadkowo odkryć jakąś ich kryjówkę, coś takiego?

- Tak to wyglądało.

- No, dobrze. A teraz, proszę nam powiedzieć, komu pan zabrał osiemdziesiąt tysięcy.

Rozdział 9

Po szaleńczych, afrykańskich upałach nastał pierwszy chłodniejszy dzień. Ludzie odetchnęli. Można było przejść się po parku, usiąść w którymś z kawiarnianych ogródków, można było wreszcie nie wyżymać z potu koszuli i nie wypijać po kilka litrów płynu dziennie.

We Wrocławiu i Opolu panowała ospa, dzienniki podawały poważne, oficjalne komunikaty i entuzjastyczne reportaże o pełnej poświęcenia – w te upały – pracy lekarzy, pielęgniarek i całego sztabu pomocników. Mieszkańcy Warszawy, spłoszeni perspektywą „dziobów”, ustawiali się w olbrzymie kolejki do szczepienia i niektórzy paradowali już z czerwoną plamką na przedramieniu. Tematem dnia było: „przyjęła się, czy nie?” albo: „zaklejać gazą, czy zostawić otwarte”. Skądinąd wiadomo było, że ospa nakrycia nie lubi.

Major Daniłowicz zarządził poprzedniego dnia naradę na siódmą rano, ze względu na upał, ale

zaspał i spóźnił się o pół godziny. Tej nocy wiele ludzi spało kamiennym snem, po raz pierwszy od kilku tygodni, kiedy duszne, pełne żaru noce nie pozwalały zasnąć.

- Zaczynamy, towarzysze - mruknął, wchodząc spieszenie do swego gabinetu. - Czy są wszyscy? Siadajcie.

- Tak - odparł kapitan Stablewski, rozglądając się po zebranych.

- Zaspaliście, majorze - powiedział inspektor Biłek z Komendy Głównej. Miało to wypaść dobrodusznie, ale Daniłowicz wyczuł w jego głosie lekką ironię. Zignorował ją.

- Sprawa kradzieży posunęła się nieco naprzód - zaczął, siadając za biurkiem i przesuwając teczki z dokumentami i notatkami. - Poproszę towarzyszy kolejno o zreferowanie mi, a raczej nam wszystkim, co kto ma w tej sprawie nowego. Kapitan Stablewski?

- Przeprowadziłem bardzo skrupulatne badanie mieszkania Barbary Stanek oraz wywiady w kamienicy. Niestety, o ile sąsiedzi mówili mi bardzo wiele o ciotce zmarłej, Witkowskiej, o tyle o samej Barbarze mało. Podobno była to dziewczyna sprytna, pełna temperamentu, na ogół dobrze ubrana, za

dobrze jak na niepracującą. Witkowska, ściągnięta przez nas z urlopu, przejęła się co prawda nagłą śmiercią bratanicy, ale nie umie czy nie chce absolutnie nic bliższego o niej powiedzieć. Owszem, przychodzili do niej czasem chłopcy, nie pamięta jednak żadnego nazwiska. Pokazywałem jej zdjęcia Stawrowskiego i tamtych: po chwili wahania wskazała tylko na jego zdjęcie. Zna go z widzenia, i tyle. Albo z jakiegoś powodu kłamie, albo rzeczywiście Barbara nie wtajemniczała ciotki w swoje sprawy.

- Mnie się może trochę lepiej powiodło z matką Suchockiego - rzekł porucznik Bogdanowicz, drobny blondynek z włosami ostrzyżonymi na jeża, absolwent prawa na Uniwersytecie Warszawskim. - Ona jest wyraźnie przez kogoś zastraszona, ale coś niecoś mi powiedziała. Kazimierz, jej syn, był w częstych kontaktach z Gałką i Jolantą, a także z młodym człowiekiem o przyzwisku „Cwaniak”. Ta czwórka trzymała się razem, jeszcze od szkolnych lat. Trudno to może nazwać przyjaźnią, raczej mieli od jakichś dwóch lat wspólne interesy. Suchocki dawał matce od czasu do czasu pieniądze, które zresztą, jak uczciwie przyznaje, od razu przepijała. Ona sama handluje wódką. Wypiłem u niej -

uśmiechnął się z zażenowaniem – już chyba w sumie ze dwa litry, jako przygodny klient... Uważa mnie, tak sędzę, za notorycznego pijaka z gotówką. Stawiam babce jej własną wódkę, a kiedy wleje w siebie ćwiartkę, zaczyna opowiadać. W ten sposób dowiedziałem się, że „Cwaniak” nazywa się Marcin Kęś, mieszka w annopolskich barakach w rodzinie starego złodzieja, Wacława Kęsia, zwanego „Mordką”.

- Ach, „Mordka”? - roześmiał się Szczęsny, siedząc jak zwykle na parapecie. - On już nie chodzi na robotę. Rozpił się, ręce mu się trzęsą. Jego żona handluje czym popadnie i gdzie się da. Latem sprzedają owoce, to jest całkiem niezły interes. Jak dobrze idzie, wyciągają i do kilkunastu tysięcy miesięcznie. Wtedy „Mordka” chodzi pijany przez całą dobę. Wracając do Suchockiej: czy naprawdę nie podejrzewa, kto zabił jej syna?

- Myślę, że ona wie - odparł z namysłem Bogdanowicz. - Ale chyba prędzej ja się rozpiję, niż to od niej wydobędę. Ona się tego człowieka boi. I to jak jeszcze!

- Sądziś, że do niej czasem przychodzi?

- Chyba nie. A zresztą, nie wiem.

- W dalszym ciągu żadnych wiadomości o Stawrowskim? - spytał Daniłowicz, kierując to pytanie pod adresem wszystkich zebranych. Nikt nie odpowiedział. Dopiero po chwili Szczęsny odezwał się zaczepnym tonem:

- Stawrowski nie żyje.

Wszyscy podnieśli na niego zdumione spojrzenie. Major ściągnął w dół jedną brew, zastukał ołówkiem w szklany blat biurka.

- Proszę o fakty, nie domysły - powiedział oschle.

- Będą i fakty. Trochę później. Na razie są domysły.

Biłek spojrzał na śniadą twarz kapitana z wyraźną dezaprobatą. Do milicji przyszedł z wojska i nade wszystko cenił dyscyplinę.

- Macie, kapitanie, zbyt pewny siebie sposób bycia - zganił.

- Rzeczywiście? - W głosie Szczęsnego była niebezpieczna nutka. Spod zmrużonych powiek patrzył na oczy inspektora, wąskie teraz jak szparki.

- To wam powiem jeszcze jeden domysł, który okaże się faktem: Suchockiego zabito dlatego, że sprzedał grubemu Frankowi skradzione ubranie. Szajka nic w Warszawie nie sprzedaje. Suchocki się z nakazu wyłamał i dlatego zginął.

- Powiedzmy - odparł Biłek niechętnie. - Teraz ja wam wyjawię mój domysł, jeżeli już bawimy się w chowanego. Szefem tej szajki był właśnie Stawrowski. Najstarszy z nich, sprytny, inteligentny. Zabrał pieniądze, biżuterię, może obcą walutę i zwiął. Przedtem zamordował Barbarę Stanek, bo prawdopodobnie domyślała się planów jego ucieczki.

- Dokąd zwiął?

- A, tego ja już nie wiem. Może i za granicę.

- Którędy? Statkiem? Wiecie chyba, że to bardzo ciężka sprawa.

Daniłowicz pokręcił głową z powątpiewaniem. Nie, taka koncepcja mu nie odpowiadała. Biłek uznał zresztą po chwili, że to rzeczywiście byłoby zbyt trudne w sytuacji „Długiego” i dodał:

- Albo zaszył się gdzieś w kraju i czeka na dogodną okazję. Co z tego, że to syn dyrektora, że z inteligenckiej rodziny? Mało mamy przykładów, ile takie „porządne” chłopaki potrafią narozrabiać?

- To znaczy, obciążenie Stawrowskiego śmiercią dwóch osób? - spytał major. - Barbara, a przedtem Suchocki. Dwudziestoletni chłopak i od razu w ciągu paru tygodni, dwukrotny morderca? W dodatku w taki wyrafinowany sposób?

- Bzdura! - doleciało od strony okna. - Wprawdzie zdarzyło się u nas kilka takich morderstw, popełnionych właśnie przez bardzo młodych ludzi. Ale Stawrowski nie zabił Barbary. To przecież była jego dziewczyna. Spotykali się w parku, przychodził do niej do mieszkania, razem chodzili „na robotę”. Ustaliłem te fakty. Poza tym, moim zdaniem, ten chłopak absolutnie nie nadawał się na szefa bandy.

- Graliście z nim w klipę? - zgryźliwie rzucił Biłek.

- Towarzysze! - Daniłowicz znowu stuknął ołówkiem w szkło na biurku. - Na czym opieracie swoje spostrzeżenie, kapitanie Szczęsny?

- Na tym, że nie mogło być dwóch szefów. A właściwym przywódcą tej szajki jest kto inny.

- Znowu domysły?

Szczęsny uśmiechnął się. Nie odpowiedział.

*

Mżył drobny, uparty deszcz. Popękana od żaru ziemia wchłaniała bez zastrzeżeń mokry upominek, jakiego niebo jej w tym dniu nie poskąpiło. Trawa nagle pozieleniała, jakby to była wiosna a nie sierpień. Pojawiły się grzyby i zaraz ktoś się zatruł. Handlarki

pouczały kupujących, że trzeba do grzybów w czasie gotowania włożyć cebulę: jak szernieje – musowo muchomory. Po czym wydobywały z koszyków piękne okazy borowików i lepkie maślaki.

Szczęśny wszedł do gmachu przy ul. Cyryla i Metodego, minął pierwsze piętro i na drugim zajrzał do jednego z pokojów Komendy Ruchu Drogowego, a ujrawszy tego, kogo szukał, trzepnął go bezceremonialnie w plecy.

– Cześć pracy! – rzucił, przysiadając na brzegu biurka. – Masz co dla mnie?

Kapitan Skowron wpierw roztarł ostentacyjnie łopatki, skrzywił się, udał przez chwilę, że się głęboko nad czymś namyśla. W rzeczywistości teczka, o którą Szczęsnemu chodziło, leżała właśnie na biurku.

– Tak – powiedział i nagle ożywił się. – Wiesz, że to jakiś dziwny facet. Taki kawał drogi gnać samochodem po to tylko, żeby po kilku godzinach zaraz jechać z powrotem, to trzeba mieć niepoukładane w głowie.

– Obawiam się, że on ma właśnie za dobrze poukładane. To bardzo sprytny gość, zaczynam co do tego mieć coraz mniej wątpliwości. Jak to było z tym wyjazdem i przyjazdem?

Skowron sięgnął do teczki, pogrzebał w niej i wyciągnął kilka wykazów.

- Tu. Patrz - podsunął Szczęsnemu. - Przyjechał z Zakopanego we wtorek, to było dwudziestego dziewiątego lipca. Nasi zanotowali, tak jak chciałeś, numer wozu, ale nie zatrzymywali go. O godzinie czternastej piętnaście twój pupilek zaparkował swojego wartburga wiesz, gdzie?

- Wiem. W Warszawie Zachodniej.

- Skąd wiesz?

- Bo mi pokazujesz palcem. W Zachodniej, na podwórzu... cóżeś tu nabazgrał?

- Tam jest taki warsztat naprawy samochodów. Ma go Pałka, on przed wojną, a może i po wojnie też trochę, brał udział w wyścigach motocyklowych, w Rajdzie Tatrzańskim, pamiętasz? Siedemset pięćdziesiątką, z przyczepą.

Szczęśny nie pamiętał. To nie było ważne. Ważne natomiast było to, że Karwa urządził sobie w tym warsztacie parking, być może zresztą wykonali mu tam jakąś drobną naprawę wozu. Z Warszawy Zachodniej Leopold pojechał na Dworzec Główny. Tak przynajmniej mieli prawo sądzić milicjanci z Komendy Ruchu, którzy wytrwale mieli go na oku od

chwili, kiedy pomarańczowo-biały wartburg minął w Załuskach granicę Wielkiej Warszawy.

Karwa wszedł do elektrycznego pociągu, jadącego w kierunku stolicy i w tym momencie zniknął im z pola widzenia. Co robił potem, tego oczywiście nie wiedzieli. Wiedzieli jednak, że późną nocą, a ściślej mówiąc we środę około drugiej nad ranem, samochód jego przejechał znowu granicę miasta, tym razem w odwrotnym kierunku.

- Z samej ciekawości - mówił kapitan Skowron, odkładając papiery do teczki - połączyłem się z komendą w Zakopanem. Poprosiłem, aby zwrócili na niego uwagę. W środę wieczorem dali mi znać, że jest. No, a we czwartek, gdzieś koło...

- Nie gdzieś koło, ale dokładnie o wpół do piątej - poprawił Szczęsny. - Przecież jego dom jest pod obserwacją. To już wiem. Dziękuję ci, Tadek. Sam nie wiesz, jak bardzo mi pomogłeś. Czy w dalszym ciągu mogę cię prosić o to samo? Myślę, że w najbliższych dniach znów wyjedzie. Miał kupiony bilet sypialny do Zakopanego, ale nie pojechał. Czekam więc i tak mi się zdaje, że znów wypuści się wozem.

- Słuchaj, to poważna sprawa?

- Bardzo. Sądzę, że wyprawił na tamten świat dwoje ludzi. Albo więcej. Obym się mylił.

- Cholera! - Skowron westchnął, odpiął, a potem zapiął kołnierz od munduru, przygładził włosy. - Ja go widziałem. Byłem akurat tego popołudnia na punkcie kontrolnym, wiesz, tam na skrzyżowaniu Alei Krakowskiej i tej... jakże się nazywa? Na Skraju, czy jak tam. Nasi zatrzymywali wtedy wszystkie wozy, bo był meldunek o jednym wartburgu i dwóch skradzionych motorach. Ja zobaczyłem numer, podszedłem i poprosiłem go o ogień, akurat palił. Przystojniak. Nawet grzeczny, nie mogę powiedzieć. Nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi, prawda?

- Tadeusz, ja przecież nie wiem. Może się mylę, może wszystko było zupełnie inaczej niż mi się wydaje. A jak się niedługo okaże, że Karwa jest zupełnie niewinnym, porządnym facetem, którego pewna szajka pozbawi całej posiadanej gotówki i innego dobra?

Skowron przekręcił się w krześle i przyglądał się mówiącemu z lekkim uśmiechem. Potem potrząsnął głową. Pamiętał przecież niejedną sprawę, w której instynkt i doświadczenie Białego Kapitana, jak go w milicji z powodu jasnych włosów nazywano, nieomylnie wygrywał wśród wielu hipotez i domysłów, a nawet poszlak.

- W takim razie - rzekł, wstając bo go wzywano na odprawę - bądź przygotowany, że zbudzę cię nawet w nocy, jeżeli ten facet wyjedzie poza Warszawę. A masz wóz? Czym go będziesz gonił?

- Nie mam wozu i nikt mi go nie da. To są przecież tylko moje domysły, a na to służbowych wozów się nie przeznaczają. Pojadę za nim pociągiem. Skontaktuj się tylko wówczas z Zakopanem, chciałbym wiedzieć, gdzie go szukać.

- Oczywiście. Zgłoś się po przyjeździe do nich, komendant będzie wiedział. A właściwie, co ty od niego chcesz? Rozmówkę uciąć? Przecież samemu nie dasz rady nic zrobić. Ech, Szczęśny... Ty - partyzancie!

*

Niedługo przyszło Szczęśnemu czekać na wiadomość z Komendy Ruchu. Już następnej nocy Skowron oznajmił zwięźle, że Karwa prysnął w wiadomym kierunku. Sam. Komenda w Zakopanem zawiadomiona.

Szczęśny miał od pewnego czasu przygotowaną delegację i pieniądze, a także małą walizeczkę

podróżną. Postanowił wyglądać jak wczasowicz, zwykły, szary człowiek na urlopie, dysponujący niezbyt okazałą gotówką, ubrany jednak przyzwoicie, po sportowemu.

Pojechał na dworzec. Pociąg do Zakopanego odchodził dopiero koło południa, ale znajomy kolejarz przeprowadził go do stojącego na bocznym torze specjalnego pociągu wycieczkowego, który miał wyruszyć do Zakopanego za kilka minut.

- Jak nie będzie miejsca, pojedzie pan kapitan służbowym wagonem - powiedział i zostawił go na chwilę, dojrawszy dyżurnego ruchu. Miejsca rzeczywiście nie było, wycieczkowicze spali już od paru godzin - wsiedli w Białymstoku - więc kolejarz przekazał Szczęsnego w ręce warszawskiego konduktora, bo właśnie zmieniła się obsługa, a kolejarz miał tutaj w każdym pociągu znajomych. Konduktor, stwierdziwszy od razu, że nie ma wolnych miejsc i w ogóle „ani szpilki wetknąć”, westchnął, przeprowadził kapitana przez kilka wagonów i otworzył mały, jednoosobowy przedział, na którym nalepiono karteczkę „zarezerwowany”.

- Dla dyrektora - powiedział, zasuważąc firanki na szybie we drzwiach od korytarza. - Ale nie pojedzie. Może pan tu spać aż do samego Zakopanego. Jakby

kontrola, to ja uprzedzę, że jedzie Komenda Główna Milicji, i już.

- Kiedy ja nie z głównej, a ze stołecznej - rzekł Szczęsny, kładąc walizkę na siatkę.

- Ojej, co za różnica? Pan się zna, ja nie muszę. A jak coś główne, to zawsze ważniejsze. Śpij pan spokojnie, dobranoc.

Rozśmieszony tą uwagą, kapitan wyciągnął się na gładkim, zielonym dermatoidzie, przymknął powieki i próbował zasnąć. Ale przed oczami miał ciągle twarz człowieka na małym, migawkowym zdjęciu, twarz pociągłą, z której spoglądały trochę w bok ciemne, podłużne oczy w oprawie długich, jakby kobiecych rzęs. Usta w tej twarzy były wąskie, z lekko wypukłą dolną wargą. Koło ust rysował się jakiś ledwo uchwytny grymas, ni to ironia, ni lekceważenie. Czoło było dość wysokie, gładkie, można by było nawet określić je jako „czoło szlachtetne”... I tylko broda, wąska i trochę wysunięta do przodu, zdradzała jakiś złowrogi, niepasujący do całości rys charakteru.

Nauczył się już tej twarzy na pamięć, rozpoznałby ją nawet w dużym tłumie. Nie wiedział jednak, czy mu się to do czegokolwiek i kiedykolwiek przyda, czy

nie wpakował się w zupełnie ślepy zaułek i zamiast iść normalną drogą, błądzi bez celu, po omacku.

Westchnął, poprawił się na posłaniu. Przez otwarte okno wpadał pęd powietrza, rozdmuchując na boki firankę. Znowu było gorąco, mimo nocy.

Nad Giewontem wisiała nieduża, szara chmura w kształcie walca. Nie było wiatru, ciśnienie spadało na łeb, na szyję. Większość przyjezdnych, a także sporo tubylców narzekało na serce. Ci, co byli tu po raz pierwszy, chcieli zaraz wyjeżdżać, bo zdawało im się, że nie mogą znieść wysokości Zakopanego. Więc zapewniano ich, że to nic, wcale nie wysokość, tylko od gór idzie halniak. Jak już przyjdzie, serca się uspokoją.

W pierwszych gwałtownych porywach wichury, Szczęsny skręcił z ulicy na wąską, polną drogę i zatrzymał się przed piętrową willą, widać niedawno budowaną, bo jeszcze czerwieniły się na niej surowe cegły. Pooglądał ją najpierw ze wszystkich stron, pokręcił głową, uśmiechnął się i wszedł na schodki, obok których sterczała płyta balkonowa, jeszcze bez balustradki. Poszukał oczami dzwonka, ale w tej chwili drzwi otworzyły się i wysoki, szczupły mężczyzna stanął w progu.

- Jak się masz, Staszek - powiedział kapitan, stawiając walizkę, aby uwolnić prawą rękę. - Widzę, żeście się pięknie pobudowali.

- Słowo daję, prędzej bym się!... Człowieku, ale żeś też nie dał znać, że przyjeżdżasz! - zawołał tamten, widać mocno uradowany. Zabrał walizkę, uchylił szerzej drzwi i puszczając gościa przodem, mówił, idąc za nim, z ożywieniem: - Właśnie wychodziłem wcześniej, żeby trochę siano porozrzuć na parceli, bośmy wczoraj kosili. Ale to nic, pójdę po obiedzie. Chodź tutaj, popatrz. Ładnie, co?

Szczęśny z uśmiechem rozglądał się dokoła. Na piętrze były dwa pokoje w amfiladzie, harmonijnie rozplanowane, pełne słońca, z dużymi oknami i dyskretnie schowanymi kaloryferami.

- Bardzo ładnie - odparł szczerze. - Masz nawet centralne ogrzewanie?

- Tak. Na dole, w suterenie. A w kuchni boiler. Wszystko sam zaprojektowałem. No i budowaliśmy właściwie sami, tylko bracia pomogli. - Wyszedł na schody i zawołał, przechylając się przez poręcz: - Maryśka! Pójdź haw.

- Cegoz kces? - Drobna, jasna blondynka o twarzy spalonej od słońca wyjrzała z kuchni.

- Gościa mosz.

Staszekowie byli góralami i między sobą mówili najczęściej gwarą, choć oboje znali dobrze zwykły - warszawski, jak go czasem nazywali - język. W ubiegłym roku sprzedali jedną z posiadanych parcel i za otrzymaną gotówkę postawili nowoczesną willę.

Kiedy po przywitaniu się Marysia poprosiła na śniadanie, Staszek smarując chleb rzekł z zadowoleniem:

- A wiesz, Szczęsny, że gdybyśmy nie rozpoczęli fundamentów tamtej jesieni, to już by tej willi nie było. Miasto ograniczyło zabudowę, pozwoliło tylko skończyć, co kto zaczął.

- Urbanistyczny plan rozbudowy Zakopanego, tak?

- Coś w tym rodzaju. Nam się jeszcze udało. Są partie miasta, w których naturalnie wolno budować, ale tutaj już nie.

- No, to mieliście szczęście. Jak ci się pracuje, Marysiu, w tej księgarni?

- Dobrze - odparła ze śmiechem. - Na długo przyjechałeś? Pójdiesz w góry?

Potrząsnął głową przecząco. Nie, tym razem nic z górskich wycieczek. Ostrożnie wyjaśnił, że to nie

urlop, tylko sprawa służbowa. Nie pytali więcej, znali przecież jego zawód.

Halniak wzmógł się pod wieczór, szarpiąc i gnąc do ziemi drzewa, zrywając zmurszałe deski z dachów i przewracając kopy siana. Niebo poczerwieniało, zrobiło się trochę chłodniej.

Szczęśny dowiedział się od komendanta, że Leopold Karwa zatrzymał się w hotelu „Orbis”, gdzie miał zarezerwowany pokój.

- Jeżeli można wam coś poradzić... my tego Karwę od pewnego czasu mamy na oku. Doszły do mnie słuchy, że odwiedza w Nowym Targu takich ludzi, których mocno podejrzewamy o przemyt i paserstwo. Na razie brak jeszcze dostatecznych dowodów, a bez tego lepiej towarzystwa nie płoszyć.

- Słusznie. Obawiacie się, żebym to ja ich nie spłoszył?

- Tak - wyznał szczerze komendant. - Mogłoby to nam położyć całą robotę.

- Dobrze - powiedział Szczęśny po krótkim namyśle. - Ale ja chcę wystąpić w charakterze wczasowicza, którego Karwa pozna przypadkiem w knajpie czy kawiarni. I niech wasi obserwatorzy z kolei nie przeszkadzają, bo to człowiek bystry i przebiegły. Mógłby się prędko zorientować.

Dogadali się szczegółów i komendant zapewnił kapitana, że w razie potrzeby dostarczy mu jeszcze dwóch wypróbowanych oficerów do pomocy. Szczęsny zostawił swój adres, dodając nawiasem, że zamieszkał u swoich dawnych znajomych. Komendant rzucił kilka słów pochwalnych pod adresem Staszka; tu, w Zakopanem, wszyscy się znali.

Kiedy wyszedł na ulicę, poryw halnego rzucił nim o mur, aż się zatoczył i o mało nie upadł. Mocno zapierając się nogami przebrnął jakoś na drugą stronę ulicy. Hotel „Orbisu” był o parę kroków, na rogu.

Wszedł do hallu, przeciąg z hukiem zatrzęsął za nim drzwi, aż portier wychylił się zza barierki i mruknął coś z niezadowoleniem.

- Przepraszam - uśmiechnął się Szczęsny, podchodząc do niego bliżej. - Taka wichura, że wydarło mi po prostu klamkę z ręki.

- To halniak - odparł portier. - Pan kogoś szuka?

- Nie, ja do kawiarni. Pomyliłem wejście.

- Może pan przejść i tędy.

Odchodząc, kapitan rzucił okiem na tablicę z kluczami. Dwieście szesnaście, powiedział komendant. Nie ma... Więc Karwa jest u siebie. Albo,

jeżeli los jest łaskawy, pan kontroler siedzi w tej chwili w kawiarni.

Los był jak widać zajęty czymś innym, bo Karwy nie było ani w kawiarni, ani w restauracji. Szczęsny usiadł więc przy jednym ze stolików, poprosił dużą kawę i zagłębił się w lekturę czasopism. Od czasu do czasu uważnym spojrzeniem przebiegał po niemal pustej kawiarni, palił papierosa, w końcu zażądał jeszcze jednej kawy.

Minęło pół godziny, potem godzina. Za oknami, po gwałtownych podmuchach następowały minuty zupełnej ciszy, w czasie której halniak jak gdyby zbierał siły do nowej zabawy.

Dochodziła dziewiąta, kiedy ręka, którą kapitan trzymał ostatni numer „Przekroju”, drgnęła nieznacznie, a czarne wąskie oczy ukryły się na oka mgnienie pod powiekami. Nie było żadnej wątpliwości, że Leopold Karwa przesuwał się powoli między stolikami, szukając wolnego miejsca.

Od pół godziny Szczęsny wytrwale i bardzo stanowczo bronił krzeselka przy swoim stoliku. W kawiarni było teraz tłoczno i na to krzeselko zwracały się co chwila groźne lub proszące spojrzenia. „Zajęte” – odpowiadał niezmiennie, słowami albo wymownym wzrokiem. Wiedział, co

robi. Komendant poinformował go wyczerpująco o zwyczajach Karwy w Zakopanem. Nie było wieczoru, w czasie którego nie zaszedłby do kawiarni. Przestępca czy ofiara - Karwa był mimo wszystko warszawiakiem.

Wreszcie stanął tuż przy stoliku i zawahał się przez chwilę. Szczęsny wyjrzał spoza gazety; miał twarz zakłopotaną, wzrok trochę nieobecny. Bez zachęty spojrzął na intruza, który widocznie chciał mu przeszkodzić w czytaniu.

- Przepraszam - powiedział Karwa. Uśmiechnął się zdawkowo, ale grzecznie. - Czy pozwoli pan, że skorzystam z tego miejsca? Jest taki tłok...

- Właściwie, to czekam na kogoś - kapitan spojrzął na zegarek - ale pewnie już nie przyjdzie. Proszę, niech pan siada.

I schował twarz w „Przekroju”. Karwa rozsiadł się wygodnie, rozejrzał dokoła, a napotkawszy wzrok kelnerki, rzucił z daleka: - Kawę! - Potem wyjął pudełko „Gauloise’ów” i małą niemiecką zapalniczkę, położył obok siebie na stoliku, przesunął trochę w bok wazonik z kwiatami.

Mimo iż miał oczy utkwione w opowiadaniu Fałkowskiej, Szczęsny czuł, że jest przez cały czas obserwowany. Była to obserwacja dyskretna,

pozornie nieuważna, ale czujna. Rezultat jej był widać zadowolający, bo Karwa wyraźnie rozluźnił mięśnie twarzy i powiedział:

- Widać, że pan ma zdrowe serce, bo halniak panu nie przeszkadza.

- Ja? - Szczęsny złożył „Przekrój”, uniósł wysoko brwi. - Ja, wie pan, od samego rana czułem, że on przyjdzie, tak mi serce nawalało. Teraz przeszło, po kawie. A pan tutejszy?

- Nie. Mieszkam w hotelu.

- Tu się coś paliło w tym roku, prawda?

- Tak, dach i zdaje się górne piętra. Pan też tu mieszka?

- Nie, ja mam w Zakopanem rodzinę i zawsze na urlop przyjeżdżam. Moja żona jest góralką, wie pan - uśmiechnął się. - Tylko teraz przyjechałem sam, bo ona ma urlop we wrześniu. Tak nam się głupio w tym roku złożyło. Słomiany wdowiec jestem, widzi pan...

- No, to niech pan korzysta - roześmiał się Karwa.
- Papierosa?

- Dziękuję. Co to, francuskie? Skąd pan wytrzasnął?

- A, jeszcze z Warszawy. Jeżeli pan nieprzyzwyczajony, to trzeba trochę uważać. Są bardzo mocne.

- Myślałem, że pan był we Francji. Już chciałem pozazdrościć. Ja poza Czechosłowacją nigdzie nie byłem. Na przyszły rok wybieramy się z żoną do Bułgarii. Mamy już trochę odłożone.

- Gdzie pan pracuje, jeżeli wolno...?

- Ja jestem technik. A żonę mam dentystkę. Pracuję na montażu, w Fabryce Samochodów na Żeraniu.

- Wiem. Duża fabryka - rzucił Karwa, aby coś powiedzieć. Rozglądał się za kawą, której jeszcze mu nie przynieśli. - Kiedy wreszcie będą te silniki gómozaworowe?

- A, już są! Chodzi panu o silniki do warszawy, tak? Bo do syreny, to teraz wartburgowskie.

Przez dłuższy czas rozważali wspólnie wszystkie plusy i minusy nowych silników, przy czym Karwa wykazał zupełnie dobrą orientację w konstrukcji samochodów w ogóle, a wartburgów w szczególności. Na zdziwione pytanie rzucił mimochodem, że ma od dwóch lat wartburga, nawet przyjechał nim do Zakopanego, bo tak mu wygodniej.

Kiedy przynieśli wreszcie kawę i obaj mężczyźni doszli do wniosku, że należy tę przypadkową znajomość obu miłośników motoryzacji uczcić kieliszkiem czegoś mocniejszego - Szczęsny gładko

ześliznął się z tematu czterech kółek, przechodząc na warszawskie plotki. Opowiedział kilka ostatnio krążących dowcipów, a Karwa odwzajemnił się paru starszymi nieco, ale za to bardzo słonymi.

- Panie, co to będzie z tą warszawską chuliganerią! - rzekł w pewnym momencie kapitan, sącząc powoli złocisty koniak. - Ostatnio aż dwa napady w Komorowie, jeden gdzieś we Włochach i jeszcze, zdaje się w Pruszkowie... A milicja zawsze przyjeżdża po wszystkim.

Mówiąc to, wyobraził sobie nagle zmartwioną i urażoną twarz swojego szefa, przy czym mało nie parsknął śmiechem.

- E, milicja! - Karwa machnął ręką lekceważąco. - Do ściągania od kierowców mandatów to oni pierwsi, a za byle co od razu płacić im pięćdziesiąt czy sto złotych. Ale jak przyjdzie do prawdziwej, trudnej roboty, to ich nie ma.

Szczęśny najeżył się wewnątrz, ale przełknął te słowa bez zmrużenia oka.

- Tak, tak - podjudzał bolesnym szeptem. - Ma pan zupełną rację. Podobno jest pełno takich spraw, których od lat nie mogą wykryć. Gdzie im tam do angielskich detektywów... A wie pan, jak wczoraj wyjeżdżałem z Warszawy, nasza dozorczyń, z którą

jechałem akurat tramwajem na dworzec, opowiadała mi jakąś makabryczną historię. My mieszkamy na Świerczewskiego, niedaleko kina „Muranów”. Więc podobno gdzieś w tamtej okolicy, na Nowotki czy Nowolipkach, nie pamiętam dokładnie, pękła rura i woda zalała piwnicę. Przyjechała straż pożarna, zaczęli wypompowywać, ale trzeba było dostać się do jednej z piwnic, która była zamknięta, właściciele wyjechali, pewnie na urlop. Więc zawołali milicję, no i otworzyli tę piwnicę i zaczęli borować jedną ścianę, gdzie szła ta rura.

Od paru chwil Karwa słuchał bardzo uważnie, zaciągając się mocno dymem „Gauloise’a”. Szczęsny plótł beztrosko, uśmiechając się, gestykulując, jak człowiek, który podochocił sobie trochę dwoma kieliszkami koniaku. Nerwy jego były jednak napięte do ostatnich granic. Rozpoczął trudną grę, na której końcu wciąż była tylko wielka niewiadoma.

- No i niech pan sobie wyobrazi, że jak rozborowali kawałek... Józek, jak się masz?! Skąd cię tu przyniosło? Stary byku, jak się cieszę, że cię widzę!

Do ich stolika podszedł mały, krępy mężczyzna o twarzy zaczerwienionej i oczach zbyt błyszczących, by można było mieć wątpliwości co do przyczyny

tego stanu. Chwiał się lekko na nogach, ugiął i kołysał, usiłując za wszelką cenę utrzymać równowagę.

- Sie masz, Jurek! Sto lat cię nie widziałem - wybełkotał, uśmiechając się szeroko. - Witam się z sz... panem - wyciągnął zamasyście rękę do Karwy, który ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się tej niespodziewanej scenie.

- Co było w tej ścianie? - rzucił, nie patrząc na stojącego.

- A w tej ścianie, niech pan sobie wyobrazi... nie, Józek, cholero jedna, niech ja skonam, jeżeli się, ciebie tutaj spodziewałem! Czekał, musimy to oblać.

Szczęśny uniósł się na krześle, ale zaraz opadł bezsilnie z powrotem. Przetarł czoło, mokre od potu.

- Zalałem się? - mruknął ze zdziwieniem, - Chodź, Józek! Do baru. Napijemy się. I pan też - kiwnął ręką w stronę Karwy. - Chodźmy, ja stawiam. - Trzepnął przybyłego w plecy, aż tamten ugiął się i stęknął. - Idziemy, Józek. Proszę pani, płacimy...

- Co znaleziono w tej ścianie? - powtórzył Karwa bezbarwnym głosem. - Mówże pan, do cholery ciężkiej. No?

- A... wie, pan, że zapomniałem - Szczęśny uśmiechnął się rozbrajająco. - Jutro sobie... tego.

Jutro. Chodź pan do baru. Albo, jak nie chcesz, to jutro. Ja tu przyjdę rano. O dwunastej. Mam urlop, czy nie mam urlopu? Co, Józek?

Rozdział 10

Kwadrans po dziewiątej, właśnie kiedy Staszek odeszli do swojej sypialni, a kapitan z mydłem i ręcznikiem w ręku schodził do łazienki, u drzwi rozległ się trzykrotny dzwonek.

- To do mnie - powiedział Szczęsny, zbiegając szybko po schodach.

- Nie dadzą ci nawet jednej nocy przespać spokojnie - z wyrzutem zawołała Marysia, wyglądając za nim, ciekawa, kto też przyszedł. Ale nie dojrzała nikogo. Szczęsny poszeptał z kimś w drzwiach, po czym jeszcze szybciej niż schodził, wrócił z powrotem i rzekł z przepaszającym uśmiechem:

- Marysiu, muszę jechać. Nie gniewajcie się, narwany ze mnie gość.

- To wracasz do Warszawy? - zdziwił się Staszek.
- Ani na góry nie popatrzyłeś, taka to u was robota.

- Ano, taka.

Wrzucił rzeczy do walizeczki, pożegnał miłych gospodarzy i wybiegł w ciemny wieczór, borykając się z porywami wichury. Na dole, przed kinem, rzuciło nim tak, że aż dech stracił na chwilę i mimo woli pożałował, iż nie waży ze sto kilo. Byłoby mu łatwiej iść. Na Krupówkach porywy trochę zelżały; przytłoczone domami po obu stronach ulicy. Dobrnął do gmachu Komendy Milicji, okazał wartownikowi legitymację i dowiedział się, że komendant jest w gabinecie. Widocznie wolał jednak zobaczyć się z nim przed wyjazdem.

- Więc tak - powiedział komendant, kiedy Szczęsny znalazł się w pokoju. - Pół godziny temu Karwa wyszedł na podwórze i zaczął krzątać się przy swoim wartburgu. Wyglądało na to, że szykuje go do drogi. Ponieważ takich rzeczy na ogół nie robi się o tej porze, chyba że chce się zaraz wyjechać, dałem wam znać. Teraz czekam na wiadomość, czy rzeczywiście wyjechał. Siadajcie, poczekamy razem.

W kilka minut później na progu gabinetu stanął jeden z funkcjonariuszy, ubrany po cywilnemu i zameldował, że Karwa wyprowadził samochód przed hotel, a sam poszedł na górę, pewnie po rzeczy. Inny pracownik, czuwający w hallu, da znać, czy naprawdę Karwa zejdzie z walizką i wymówi pokój.

- Bo może jechać na przykład tylko do Nowego Targu - wyjaśnił. - On potrafi czasem na całą noc się ulotnić.

- Do Nowego Targu wyjeżdża właśnie dla różnych podejrzanych transakcji, o których wam poprzednio mówiłem - wtrącił komendant. - W sumie sprzedał tam już chyba na kilkaset tysięcy. Ale oczywiście, że te podejrzenia, które wy macie, są daleko ważniejsze - dodał jakby z żalem, że taka oto wielka afera wymyka mu się z rąk.

- Jeżeli wszystko, o czym myślę, okaże się prawdą - odparł kapitan - transakcje w Nowym Targu będą jednym z podstawowych punktów oskarżenia. A wówczas...

Przerwał, gdyż na biurku zadzwonił telefon. Komendant wziął słuchawkę. Pracownik z hallu hotelowego zawiadomił umówionym szyfrem, że Karwa uregulował rachunek i wyjeżdża z Zakopanego.

- Dobrze - odrzekł komendant i odkładając słuchawkę, zwrócił się do Szczęsnego: - Bierzcie maszynę. Pojedzie z wami kierowca, w razie czego pomoże. W Krakowie będziecie na pewno przed Karwą. Nasza warszawa chodzi jak mercedes, słowo

dają. Aha, jeszcze jedno. Na wszelki wypadek wóz ma cywilne znaki, krakowskie.

- Dziękuję, komendancie.

Mocno uścisnęli sobie ręce i Szczęsny wybiegł na podwórze, gdzie stała milicyjna warszawa. Kierowca w stopniu plutonowego, śniady, nieduży, uśmiechnął się tylko, kiedy kapitan zapytał, czy i kiedy przegonią wartburga, który przed kwadransem wyjechał sprzed hotelu „Orbis”.

- Bez obawy, kapitanie - odparł krótko. Ruszyli z miejsca tak ostrym zrywem, że obu rzuciło na oparcie siedzenia. Po trzech minutach zobaczyli przed sobą na szosie biało-pomarańczowego wartburga.

- On - mruknął Szczęsny.

- Minąć, tak? - upewnił się kierowca.

- Tak. I jazda, żeby mu coś tam nie przyszło do głowy.

Plutonowy dodał gazu, śmignęli obok samochodu prawie ocierając się o niego, ale kapitan zdołał kątem oka dostrzec sylwetkę mężczyzny za kierownicą. Karwa był sam.

W Krakowie zajechali prosto przed mieszkanie zastępcy komendanta, który był dobrym znajomym, a właściwie przyjacielem Szczęsnego. Rozbudzony i

wyciągnięty z łóżka, drapał się przez chwilę po bujnej czuprynie, po czym poszły w ruch telefony.

- Dobrze - powiedział w pewnej chwili do słuchawki. - Dziękuję ci, Tadek. Zrewanżuję się przy okazji. Sam polecisz?... Doskonale. Szczęsny będzie na lotnisku za, powiedzmy kwadrans. Cześć, stary. I jeszcze raz dziękuję.

Plutonowy z Zakopanego zawiózł jeszcze kapitana na lotnisko, po czym pożegnał się i odjechał. Krótco potem z szarej płyty betonu wystartowała mała awionetka z pilotem i jednym pasażerem. Lot był cichy, szybki, bez przeszkód.

W Warszawie znaleźli się przed świtem. Uprzedzony przez Kraków telefonicznie, na lotnisku czekał już radiowóz z Komendy Miasta.

- Do Pałacu Mostowskich, kapitanie? - spytał starszy sierżant Bocheński, zapuszczając motor.

- Nie. Na Nowotki trzydzieści jeden. Szybko.

- Wiadomo, że z panem kapitanem to zawsze szybko.

Zatrzymali się dwa domy dalej. Szczęsny wyskoczył, rozejrzał się dokoła. Na ulicy nie było śladu wartburga, ale garaż, w którym Karwa trzymał swój wóz, był o dwie przecznice dalej. „Prawie niemożliwe, żeby już przyjechał” - pomyślał kapitan.

Serce biło mu mocno, niecierpliwie. Wielka gra, czy wielki... bluff?

Odprawił radiowóz zostawiając w nim walizkę. Wolnym krokiem, niedbale oglądając wystawy, zbliżał się do domu oznaczonego numerem trzydzieści jeden. Wreszcie wszedł do bramy i stanął przed tablicą z nazwiskami lokatorów, udając, że kogoś szuka.

Ktoś cicho zszedł ze schodów, zatrzymał się na chwilę koło niego, poprawiając zmiętą marynarkę.

- Jeszcze nie wrócił - szepnął, prawie nie poruszając wargami. I odszedł w głąb bramy.

Szczęśny odetchnął. Przeczekał kilka minut, potem podszedł śpiesznie do tamtego i chwilę coś mu szeptał na ucho. Mężczyzna w zmiętej marynarce kiwnął głową, wsadził ręce w kieszenie i wyszedł na ulicę. Kapitan został sam.

Nie czuł głodu ani potrzeby snu. Wiedział, że postawił wiele, bardzo wiele na tę kartę, która może okazać się fałszywą. Ale wiedział również, że jeśli postawił dobrze, to przed sądem stanie wkrótce morderca i złodziej szczególnie wyrafinowany i niebezpieczny, tym niebezpieczniejszy, że działający cudzymi rękami, z ukrycia.

Jeżeli rzekoma plotka, której celowo nie dokończył przy kawiarnianym stoliku, dotarła do właściwego ucha, Karwa powinien zjawić się tu jeszcze tego ranka gnany szaleńczym niepokojem. Powinien zjawić się tylko na chwilę, aby sprawdzić, czy to naprawdę tutaj rozborowano ścianę. A jeżeli tutaj, to powinien natychmiast uciekać.

Szczęśny wsunął się w niszę bramy, oparł plecami o mur i nadśłuchiwał. Wywiadowca, który przedtem pilnował domu, pewnie był już od dawna w Komendzie i dzwonił, gdzie trzeba. Może nawet w tej chwili porucznik Kręglewski zbiera już pracowników, wydając polecenia, a kapitan Stablewski ściąga wóz techniczny. Zaś major Daniłowicz, zbudzony o tak wczesnej porze, leży nie śpiąc i zastanawia się, co też będą mówić w Komendzie Głównej, jeżeli wszystko okaże się fikcją.

Wyjął paczkę „Silesii” i nagle znieruchomiał. Był dobrym znawcą samochodów, a jego czułe ucho dosłyszało, że przed domem zatrzymał się na pewno jakiś wartburg. Wcisnął papierosy do kieszeni, przykleił się niemal do muru, ostrożnie odwrócił głowę w stronę bramy.

Karwa wszedł cicho, ledwie widoczny w mroku sieni. Skierował się od razu w stronę schodów,

prowadzących w dół, do piwnicy. Szczęsny odczekał parę sekund, potem ruszył w ślad za nim. Miał pantofle na cienkiej mikro gumie, które nie sprawiały szelestu. Tak zeszli kilka stopni niżej i Karwa zapuścił się w zupełnie ciemny piwniczny korytarz, nie zapalając nawet zapałki. Widocznie orientował się dobrze w rozkładzie drzwi.

Szcześnie wyczuł raczej niż dosłyszał, jak tamten przystanął wreszcie, gdzieś w połowie korytarza. Był tak blisko, że w niesamowitej, jakby grobowej ciszy Szczęsny słyszał jego przyśpieszony oddech. Rozległ się delikatny dźwięk kluczy i lekki chrobot. Karwa otwierał drzwi do którejś piwnicy. Błysnęła zapałka i na moment kapitan dojrzał zarys jego głowy i duży, migotliwy cień na ścianie.

Zapałka zgasła. Karwa syknął, widocznie sparzyła go w palce. Przez chwilę macał po kieszeniach, potem wyciągnął zapalniczkę, zaświecił, podszedł do ściany przy oknie. Szczęsny usłyszał coś jakby westchnienie ulgi. Wtedy zdecydował się.

W piwnicy zabłysło nagle mocne światło latarki. Karwa odwrócił się gwałtownie, sięgając ręką do kieszeni. Ale jego zdumione oczy dojrzały jakąś postać, stojącą w progu, która - trzymając w prawej dłoni pistolet - powiedziała ostro:

- Ręce do góry, tu milicja!

Bez słowa wolno uniósł obie ręce w górę. Wciąż trzymając na jego twarzy snop rażącego światła, kapitan zbliżył się, dotknął prawej kieszeni jego spodni, potem błyskawicznym ruchem wyjął z niej pistolet. Karwa zaklął, ale nie ruszył się. Oślepiony latarką, nie mógł zorientować się, kto przed nim stoi. Wiedział już jednak, że był to tylko jeden człowiek i osądził, że ma do czynienia bynajmniej nie z milicją, lecz ze złodziejem. Toteż, kiedy się odezwał, głos miał spokojny, a nawet pewny siebie.

- Słuchaj, ty... Wiem, o co ci chodzi. No, więc dobrze. Ile chcesz?

Szczęśny nie odpowiedział. Bacznie przyglądał się to twarzy Leopolda, to ścianie tuż za jego plecami. Po chwili dojrzał na niej jak gdyby leciutki zarys świeższego tynku. Ale może było to złudzenie?

- Nie bądź idiotą, pytam się ciebie, ile chcesz? Beze mnie i tak nic nie znajdziesz. Pośpiesz się, już jest rano i zaraz ktoś może przyjść do piwnicy... Cholera, czyś ty rozum stracił? Na co tak patrzysz?

- Odwróć się - mruknął Szczęśny przez zaciśnięte zęby.

- Co?

- Odwróć się. Twarzą do ściany.

Karwa przestraszył się i pobladł.

- O co chodzi? - Oddychał szybko, po twarzy spływał mu pot. - Chcesz mnie zabić?

- Nie. Odwróć się. Szybko!

Z wolna, nie dowierzając jego słowom, Leopold odwrócił się do niego plecami.

- Opuść ręce... Bierz to, co tam stoi przed tobą, oskard czy motykę... Szybko! Jak się odwrócisz, strzełę.

Jeszcze nie rozumiejąc, Karwa ujął w prawą ręką oskard. Przez mgnienie oka przemknęła mu myśl, że mógłby tym narzędziem... Ale nie. Tamten trzyma przecież oba pistolety i w razie potrzeby zrobi z nich użytek.

- Teraz rozbijaj ścianę w tym miejscu, w którym pada brzeg światła z latarki. Rozumiesz? Bij oskardem w ścianę, tu gdzie ci pokazuję światłem. Szybko!

Zrozumiał już, że tamten wie o wszystkim. Powoli, bardzo powoli uniósł w górę oskard. Ostrze brzęknęło, osunęło się płytko po tynku.

- Mocniej!

Uderzył mocniej. Za uderzeniem duży kawał tynku odpadł na ziemię. W powietrzu rozszedł się cikliwy, słodkawy zapach. Szczęsny zacisnął szczęki.

A więc jednak... Nie czuł triumfu, że oto instynkt i doświadczenie nie zawiodły go i tym razem. Wiedział tylko, że za chwilę widok będzie trudny do zniesienia.

Dosłyszał na piwnicznych schodach liczne kroki - znajome, mocne, energiczne kroki - i westchnął z ulgą. Skronie i policzki miał mokre od potu, wargi spieczone niby w gorączce. Zęby drżały mu i postukiwały jak w febrze.

W drzwiach stanął kapitan Stablewski, a za nim kilku funkcjonariuszy i mały porucznik, zaspany, przyglądający się całej scenie zdumionym wzrokiem.

Oficerowie podeszli bliżej i Szczęsny z ulgą opuścił ręce. Z otworu w ścianie wystawało ugięte, nagie kolano... Zapach był już nie do wytrzymania.

- Stawrowski - powiedział Szczęsny ochrypłym głosem. Oparł się o jakiś stary fotel, wyrzucony tutaj widać przy porządkach domowych, wytarł twarz. Pistolet Karwy, trzymany wciąż za lufę, oddał jednemu z milicjantów i patrzył mało przytomnie, jak tamten zawija go ostrożnie w papier i wsuwa do walizki śledczej.

Kapitan Stablewski, krzywiąc nos, wydał polecenie, aby natychmiast zawiadomiono

prokuratora i lekarza medycyny sądowej. Karwę, z kajdankami na rękach, wyprowadzono do radiowozu.

Kiedy przybył lekarz, a w chwilę potem prokurator, ekipa śledcza wydobyła z otworu w ścianie zwłoki Jerzego Stawrowskiego.

*

- Komenda Powiatowa w Zakopanem miała dobrego nosa - powiedział major Daniłowicz, strzepując z obrusa okruchy tytoniu. - Bardzo starannie rozpracowali tych dwóch handlarzy w Nowym Targu. Karwa zostawił u nich część rzeczy, między innymi biżuterię, skradzioną u adwokata Bilińskiego.

- A jego żona się przyznała? - spytał Szczęsny, głaszcząc leniwie szarego kota, który zwinął mu się w kłębek na kolanach.

- Do czego miała się przyznać?

- Do romansu ze „Ślicznym”, czyli Józefem Gałką.

- Owszem. Tam się chyba skończy rozwodem, bo to przecież wypłynie na rozprawie i pan mecenas będzie skompromitowany. W każdym razie, jako mąż.

- Wiesz, Stefan, że ta mała chciała się zabić w areszcie?

- Jolanta? Tak, wiem. Ona chyba naprawdę kochała, a może jeszcze kocha, tego Karwę. Szkoda dziewczyny. Jej zeznania nic nam nie dadzą, broni go tak głupio, że aż trudno słuchać.

- Za to Zbyszek Rakowski i Marcin Kęś śpiewają jak z nut.

- Sądzę, że istotnym powodem ich zeznań jest świadomość, że Karwa nabierał ich szpetnie, zagarniając sobie lwią część skradzionych rzeczy. Są na niego wściekli.

- Nie widziałeś ostatnio Waligórskiego?

- Spotkałem go kiedyś w kinie. Zdaje się, że wraca do normy. Dyrektor naczelny Zakładów wydał o nim bardzo dobrą opinię. Nie sądzą jednak, żeby Waligórski utrzymał się na dotychczasowym stanowisku. Będzie zeznawał, prasa to rozdmucha... Sensacja, taki proces.

- A jednak - rzekł Szczęsny w zamyśleniu - gdyby nie fakt, że Waligórski naprawdę zakochał się w tej dziewczynie, kto wie, jak długo jeszcze szukalibyśmy sprawców pięciu poważnych kradzieży. Jego subtelna „Tereska” okazała się wprawdzie wielkim draniem, ale obawiam się, że Karwa stopniowo pozbyłby się wszystkich pozostałych członków bandy. Uzbierał już

wystarczającą ilość biżuterii i gotówki, aby przez długi czas żyć bez żadnych kłopotów.

- Trzy zabójstwa... Prokurator zarzuca nam, że zebraliśmy zbyt mało dowodów na zamordowanie Barbary.

- Ech, oni zawsze wszystkiego mają za mało. Prędzej czy później Karwa przyzna się i do tego. Dwudziestego dziewiątego lipca przyjechał nagle z Zakopanego do Warszawy, zaparkował wóz w Zachodniej. Po co? Miał przecież garaż w mieście. Dozorczyni domu, w którym mieszkała Barbara, zauważyła go, jak wchodził tego wieczoru do bramy. On był nieostrożny. Zapomniał, że takiego przystojniaka, to ludzie na ogół zapamiętają, zwłaszcza kobiety. No, a potem ten wariacki powrót do Zakopanego, gdzieś nad ranem. I następnego dnia znowu jazda apiać do Warszawy. Mało dowodów?

- No, na morderstwo, to mało. W każdym razie, dowodów jest aż nadto na zabójstwo Stawrowskiego. Sądowi to chyba wystarczy. Mówiłeś Waligórskiemu, że w schowku mieszkania Karwy była reszta jego rzeczy?

- Tak. Ale on się wtedy nawet nie ucieszył. Jeszcze przeżuwał swój upadek i klęskę, rozumiesz? Z

„Teresa”. Ze złotowłosą dziewczyną-wabikiem, która kochała mordercę... Daj, Stefan, papierosa.